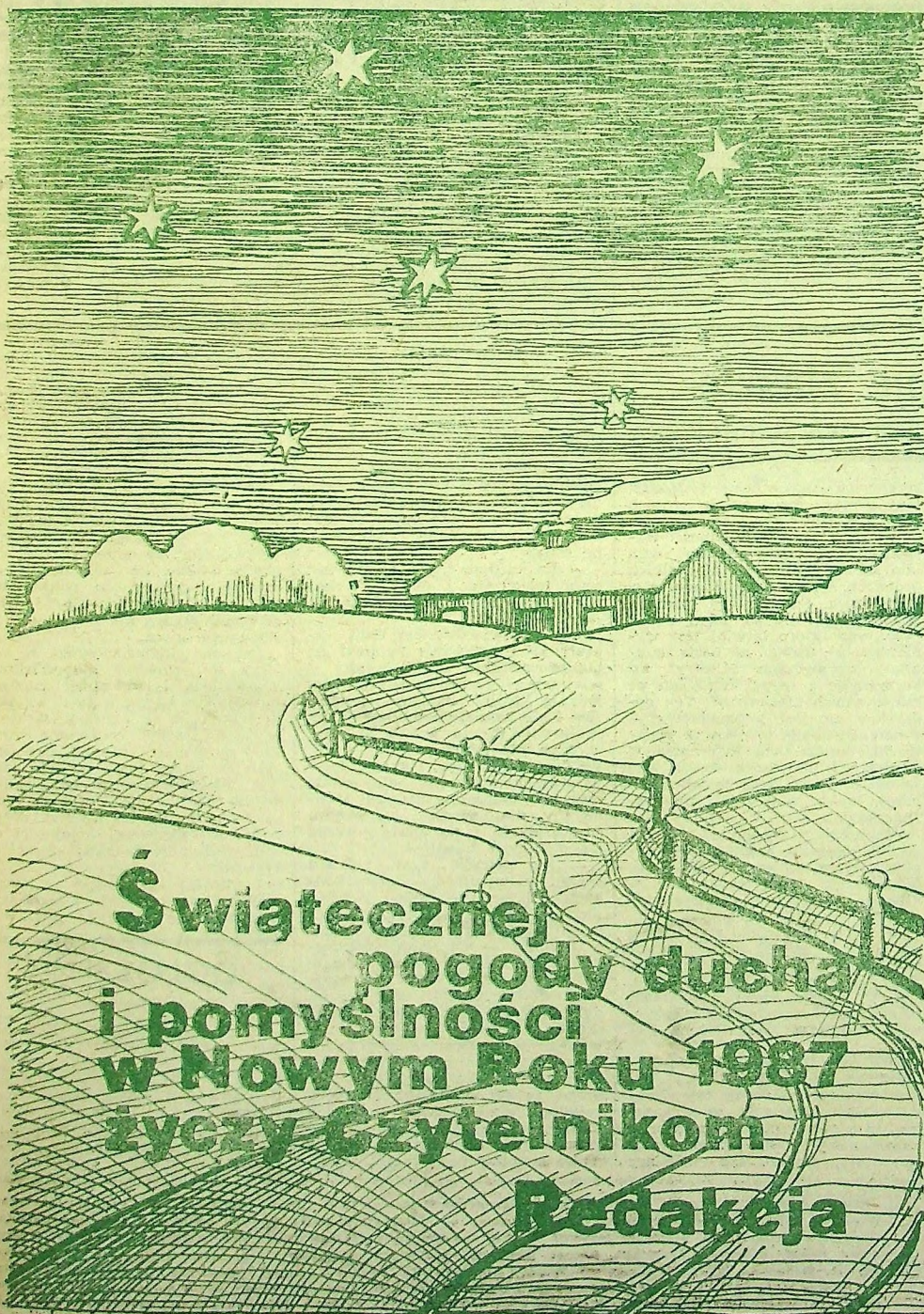


POLSKA MIEDŹ

Rok IV, nr 51/52 (198/199)

18 XII 1986 r. — 7 I 1987 r.

Cena 24 zł



Świątecznej
pogody ducha
i pomysłowości
w Nowym Roku 1987
życzy Czytelnikom
Redakcja

Choinkowe

caraka

str. 7



Wycieczka
w przeszłość

str. 8



Świąteczna
ryba

str. 10 - 11



Na spotkanie
z wielką
historią

str. 12



Paryż, Paryż,
Paryż, Paryż

str. 16 - 17



Wszystko
rozstrzygnie
się na wiosnę

str. 27



Potrzebowali
forsy

str. 30

KRONIKA TYGODNIA

województwo

— 7 bm. w USC w Lubinie odbyła się uroczystość z okazji złotych godów państwa Anieli i Antoniego Radomskich z Lubina. Wręczono im nadane przez Radę Państwa medale „Za długoletnie poświęcenie małżeńskie”. Dostojni Jubilatki dochowali się czwórki dzieci (troje jest inżynierami, a jedno — technikiem, wszystkie pracują w przemyśle miedziowym) oraz pięcioro wnucząt. Obecni byli też przedstawiciele zakładów pracy, tj. z ZG „Lubin” i Cechu Rzemiosł Różnych, którzy swoim bytym pracownikom wręczyli okolicznościowe prezenty.

— 11 bm. na posiedzeniu Komisji Wychowania, Oświaty i Kultury MRN w Lubinie rozpatrzono materiały na najbliższą sesję, która oceni stan realizacji uchwał dot. rozwoju oświaty i kultury. Radni negatywnie odnieśli się do wykonania zadań w tych dziedzinach. Miano nadać priorytet inwestycjom oświatowym, tymczasem w ciągu 3 lat nie oddano ani jednego przedszkola, nie jest ciągle jasna sprawa budowy zespołu szkół ponadpodstawowych, dramatycznie wręcz przedstawia się dojazd młodzieży do szkół w Legnicy, a w ciągu 2 lat liczba ta wzrosła z 500 do 1000 uczniów. Nie widać też zakładanych efektów w kulturze. Do tych spraw ustosunkuje się rada 18 bm.

— 12 bm. Prezydium WRN zapoznalo się z informacjami na temat pracy MRN w Głogowie i Legnicy oraz GRN w Rudnej. Uznano, iż prawidłowo kierują

one rozwojem terenu, co nie jest łatwe, gdy zważy się dysproporcje między uzasadnionymi potrzebami a ograniczonymi możliwościami realizacyjnymi. Stąd też kluczowego znaczenia nabiera sprawa właściwego sformułowania planów terenowych i konsekwentnej realizacji ujętych w nich zadań. Rozpatrzono materiały na sesję WRN, która odbędzie się 19 bm. Będzie ona poświęcona problematyce rozwoju drobnej wytwórczości i usług w woj. legnickim do 1990 roku.

— 12 bm. obradowało Prezydium RM PRON w Głogowie, zajmując się projektem powołania rzecznika praw obywatelskich. Stwierdzono, iż jest to instytucja potrzebna, a pieczęć nad nią winien sprawować bezpośrednio Sejm. Wiele spraw szczegółowych wymaga jednak dopracowania, ale w tych kwestiach członkowie prezydium nie zajęli jednolitego stanowiska. Uważać należy, aby urząd ten nie stał się jeszcze jedną instytucją skarg i wniosków, bo utopi się w powodzi spraw indywidualnych.

— 16 bm. zebrała się na plenarnym posiedzeniu RM PRON w Lubinie, inaugurując przedkongresową kampanię sprawozdawczo-wyborczą na terenie miasta. Podsumowano dotychczasową działalność, wskazując na osiągnięcia, jak i słabości. Udało się nawiązać współpracę z MRN, stwarzając tym samym szerszą możliwość udziału mieszkańcom we współdecydowaniu o sprawach Lubina. PRON stał się organizatorem wielu konsultacji oraz spotkań radnych z wyborcami. Największą słabością jest mały udział młodzieży w strukturach ruchu. Za najważniejszy cel uznano poszerzenie bazy społecznej PRON. W dniach od 5 do 24 stycznia 1987 r. odbędzie się otwarte zebranie w 17 ogniwach zakładowych, 3 — śródowniskowych i 8 — osiedlowych.

kombinat miedzi

— 8 bm. w miejscowości Górnicych miało miejsce spotkanie Sprawozdawczo-Wyborcze PZPR, w której wzięli udział sekretarz KW PZPR Krzysztof Jeż i I sekretarz KM PZPR w Lubinie Władysław Bartkowiak. Podsumowano dotychczasową działalność zakładowej organizacji partyjnej, wytyczono program pracy do 1990 r., a także wybrano nowe władze. I sekretarzem został Jerzy Mazur — sztygar z oddziału górniczego w rejonie RG. Funkcję przewodniczącego ZKKR powierzono Tadeuszowi Musiałkowi.

— 10 bm. w Hucie Miedzi „Głogów” odbył się finał zakładowego konkursu bhp zorganizowanego przez ZZ ZSMP. W finałowych zmaganiach spotkało się 28 osób — reprezentujących 14 wydziałów drużyn. Zespołowo wygrała drużyna z Wydziału Przygotowania Wsadu I. Franciszek Waszczuk — Ryszard Lysakowski, przed Wydziałem Metalurgicznym I. Czesław Piotrowski — Andrzej Małczewski i Wydziałem Automatyki: Bogusław Koziczka — Bogusław Gałęziowski. W klasyfikacji indywidualnej zwyciężyli: Jerzy Stanisławski — Elektrociepłownia I, Ryszard Lysakowski, Franciszek Waszczuk. Laureaci otrzymali nagrody rzeczowe i dyplomy.

— 11 bm. odbyło się posiedzenie Przedstawicielstwa Związku KGHM z udziałem wiceprzewodniczącego FZZG Stefana Piwońskiego, szefa Branży Metali Nieżelaznych Edmunda Dzieli, przewodniczącego Komisji Miedzowej KW PZPR Jana Uniato-wicza, przewodniczącego RP KGHM Andrzeja Zymalskiego i dyrektora ekonomicznego kombinatu Witolda Parchimowicza. Oceniając roczną działalność przed-

stawicielstwa stwierdzono, iż struktura ta zdała egzamin, ale wymaga pewnych udoskonaleni. Kilkunastu działaczom wręczono odznaki „Zasłużony dla górnictwa i ruchu związkowego”.

11 bm. w kopalni „Sieroszowice” odbyło się ostatnie zebranie sprawozdawczo-wyborcze w OOP-3 w rejonie PZ, w którym uczestniczył wiceprzewodniczący FZZG Stefan Piwoński. W dyskusji poruszono zagadnienia rozwoju szeregu partyjnych i związkowych zawodowych, a także rozbudowy zakładu. Na I sekretarza wybrano Ryszarda Martyniaka — elektryka z oddziału E-11.

— 12 bm. z okazji XV-lecia istnienia zakładowej organizacji młodzieżowej w kopalni „Rudna” odbyło się uroczyste Plenum Zarządu Zakładowego ZSMP. Bogaty dorobek organizacji i zadania ją oczekujące w najbliższych latach przedstawił przewodniczący ZZ Andrzej Kowalski. W szeregach ZSMP skupionych jest 712 młodych górników, działających w 29 kołach. Największym osiągnięciem organizacji było utworzenie młodzieżowej spółdzielni mieszkaniowej, w ramach której na osiedlu Polanka — I w Polkowicach wybudowano i zasiedlono już 53 domki, a następnych 29 znajduje się w stadium wykończenia. Wiosną przyszłego roku rusza budowa 143 domków na os. Polanka — II. W uznaniu zasług sztafard zakładowej organizacji młodzieżowej odznaczony został Złotą Odznaką im. Janka Krasińskiego. Srebrne Krzyże Zasługi wręczono Andrzejowi Zakrzewskiemu, Franciszkowi Syposzowi, Hieronimowi Skórzewskiemu i Mieczysławowi Cwikowi, Brązowe Krzyże Zasługi: Grażynie Szule, Andrzejowi Sidorowi i Ryszardowi Dacyszynowi. Srebrną Odznakę im. Janka Krasińskiego otrzymał Józef Kostecki, a Brązowe Złotą Biedrzycki i Jan Matuszewski.

Kolejka faluje złością

BOGUSŁAWA MACHOWSKA

— Tu się bez ZOMO nie obejdziesz, zobaczysz pani, jaka będzie awantura w dniu sprzedaży. A my nie ustąpimy, nie dopuścimy nikogo do chwili, aż ostatni z listy nie wyjdzie ze sklepu z kolorowym telewizorem.

Pod sklepem firmowym „Unitry” w Lubinie kilkanaście osób prezentuje swoje racje. Od miesiąca z blisko dwustu tysiącami w kieszeni stoją pod sklepem na ul. Kościuszki w nadziei, że wreszcie uda się kupić marzenie całej rodziny — kolorowy telewizor. Ostatnia dostawa tych tak poszukiwanych odbiorników telewizyjnych miała miejsce w pierwszych dniach listopada. Ci, którym wówczas nie udało się kupić, postanowili ustawić się w zwartą kolejkę, dzień i noc wyczekującą kolejnej partii towaru.

— Wszyscy kolejkowicze spisani są na liście, jest na niej ponad dwadzieścia nazwisk. Ustaliśmy dyżury, sposób kontaktu z pozostałymi. Dyżury trwają cztery godziny, także przez całą noc.

Wreszcie nadeszła dostawa. 27 listopada przywieziono czterdzieści telewizorów marki „Helios”, produkowanych przez Warszawskie Zakłady Telewizyjne. Na fakturze widnieje jednak adnotacja: „leżakowanie 30 dni”.

— Leżakować może wino, ale telewizory?

Pani Bożena Lesińska, szef kontroli jakości WZT, twierdzi, że jednak mogą.

— Na całym świecie producen-

ci sprzętu elektronicznego stosują tzw. proces sezonowania swoich wyrobów, sprzyjający szeroko pojętanemu określeniu jakości wyrobów. WZT przez ostatnie dwa lata robiły analizę na niewielkich próbkach kilkudziesięciu aparatów tygodniowo. Po miesiącu magazynowania ujawnia się od 4 do 10 proc. wad, które łatwiej jest wyeliminować, usunąć na bazie urządzeń naprawczych „Unitry”, niż korzystając z usług krawca po mieszkaniach „fachowca”. Ten cudysłów nie jest przypadkowy — z naszych analiz wynika, że praktycznie każda taka ingerencja w mechanizm telewizora obniża jego jakość o klasę. Taka jest bowiem jakość usług większości radiomechaników.

Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby pomysł z leżakowaniem realizować na miejscu, w WZT. Te jednak nie mają magazynów, w których miesięczne sezonowanie mogłoby się odbywać.

— Nasze magazyny wystarczają na potrzeby jednej zmiany, praktycznie wszystkie odbiorniki prosto z taśm są rozsyłane po kraju. Jak w takich warunkach ma być przestrzegane wymogów jakościowych? — pyta pani Bożena Lesińska.

— Uzgodniliśmy z „Unitra-Service”, że przez trzydzieści dni przetrzymają nam te telewizory w swoich sklepach, w magazynach o odpowiedniej temperaturze, wilgotności. To są jeszcze nasze telewizory, dopiero po miesiącu

zostaną bardzo dokładnie sprawdzone, zostanie dokonany przegląd techniczny i wówczas można będzie je sprzedać.

Kolejkę te argumenty nie bardzo przekonują, tym bardziej że nikt nie wie, od kiedy należy liczyć owe trzydzieści dni: czy od daty produkcji, której nigdzie nie można odnaleźć, czy od daty dostawy? A co będzie z ceną, może to wyekwiwanie przyniesie tylko zmianę ceny?

— Na każdym pudle nabita jest cena telewizora i ona jest obowiązująca, zapewnią szefowa ds. jakości WZT.

Trudno stwierdzić, czy WZT wybrały sobie właściwy moment na dopracowywanie spraw jakości — wprawdzie sezonowanie dotyczy jedynie partii 7 tysięcy telewizorów i nie zmniejsza ogólnej oferty rynkowej (a ta jest o 30 proc. większa niż przed rokiem, w br. WZT wyprodukują 110 tys. telewizorów kolorowych), ale mimo słusznych założeń, z którymi trudno się nie zgodzić, wprowadza rozdrażnienie i nerwowość wśród potencjalnych klientów.

— Nie potrafię tym ludziom sprzed sklepu udzielić żadnej konkretnej informacji, mówi kierowniczka zakładu handlowo-usługowego elektroniki „Unitra-Service” w Lubinie. — Otrzymałam czterdzieści kolorowych telewizorów w swoisty depozyt, wiem, że mają leżakować trzydzieści dni, ale co dalej — tego na razie nie wiadomo. Ja też muszę czekać, chociaż wolalabym ten wartościowy towar sprzedać jak najprędzej, bez strachu przed wiamaniem. Tyle dobrego, że stojąca dniem i nocą kolejka nie pozwoli niczego ukraść.

Oczekujący mają znacznie mniejsze poczucie humoru. Star-

za pani ze łzami w oczach skarży się na mroźne poranki.

— A mamy przed sobą jeszcze miesiąc czekania bez żadnej pewności, że w dniu sprzedaży nie znajdą się jacyś znajomi, którzy wyniosą telewizory innymi drzwiami.

Dzwoniliśmy do wrocławskiej hurtowni z pytaniem, jak długo to wszystko ma trwać, czego możemy się spodziewać. Od dyrektora usłyszeliśmy, że mamy siedzieć cicho i czekać, bo jeśli nadal będziemy rozrabiać, to połowę tej dostawy prześle się innym, grzeczniejszym klientom, np. w Zielonogórskim.

Personel sklepu twierdzi, że kolejka stoi zupełnie niepotrzebnie. Wprowadza tylko zamęt ciągłym nasyłaniem kogoś, a to z wydziału handlu, a to z prasy. Wystarczyłoby, gdyby codziennie rano ktoś przyszedł i zapytał, czy dzisiaj telewizory będą sprzedawane.

A jeśli usłyszysz w odpowiedzi, że już ich nie ma? Czy ktoś może zagwarantować, że zakupu dokonają w pierwszej kolejności ci, którzy stoją w kolejce od sześciu tygodni?

— Takiej gwarancji nie mogę udzielić — odpowiada kierowniczka lubińskiej „Unitry”.

OGŁOSZENIA

ZGUBIŁO przepisy służbową wydaną przez ZG „Polkowice” na nazwisko Andrzej Kowalczyk, ul. Lipowa 20/14 Polkowice. 87932-g
ZGUBIŁO pieczęćkę o treści: Zakłady Górnicze „Lubin”. Kierownik Działu Administracyjno-Gospodarczego: Jacek Kłifczyk. 87933-g

LOKALE
ZAMIENIE M-3 spółdzielcze na większe w Lubinie. Wiadomość Lubin, Niepodległości 19/2. 87932-g

POLSKA MIEDŹ

ISSN 0239-2024

Plano KGHM Wydawca: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Podwale 62, 50-010 Wrocław. Redakcja „Polskiej Miedzi”: 59-309 Lubin, al. Skłodowskiej-Curie 66, tel. 46-46-46, redaktor naczelny 610-20, sekretariat 610-25, sekretarz redakcji i pokój redaktorów 610-21, a kierunkowy KGHM — 4. Zespół: Włodzisław Hanaś, Stanisław Jabłoński, Bożena Kończal, Jan Kurasz, redaktor naczelny, Bogusława Machowska, Barbara Machulicka, Mieczysław Machnicki, Wiesław Piotrkowski, Danuta Samiec, Stanisław Brokowski. Korekta: Agnieszka Kleszczyńska i Maciej Zalewski. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. Prenumerata: Płatówki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo do skrótów.

Miedź znów na Egzekutywie

JAN KURASZ

Nie od dziś wiadomo, że Legnickie miedzią stoi i najprawdopodobniej nie byłoby na mapie Polski tej jednostki administracyjnej, gdyby nie rozwinął się na tym zwartym obszarze Kombinat Miedzi. Za sprawą odkrytych w rejonie Lubina i Sieroszowice bogatych złóż rud miedzi powstały nie tylko kopalnie i huty, ale także nowe miasta i osiedla, cała wielka aglomeracja przemysłowo-miejska, której rytm życia wyznacza przemysł miedziowy. Daje on bezpośrednio zatrudnienie 1/4 ludzi pracujących w gospodarce społecznej i wytwarza 70 proc. produkcji globalnej województwa.

To, co się dzieje w kombinacie rzutuje od razu na sytuację w całym regionie. Nie więc dziwnego, iż władze naszego województwa poświęcają problemowi KGHM i jego załogom szczególnie wiele uwagi. Raz po raz zajmuje się nimi m. in. Egzekutywa KW PZPR. W lutym br. na wyjazdowym posiedzeniu dokonała oceny funkcjonowania przemysłu miedziowego w latach 1983—1985 oraz zapoznała się z długoterminową prognozą rozwoju Kombinatoru Miedzi, opowiadając się za wariantem stabilizacji wielkości produkcji miedzi. Od tego czasu wiele spraw się wyjaśniło i w centrali przedsiębiorstwa opracowano konkretny projekt programu rozwoju przemysłu miedziowego w latach 1986—1990 i perspektywę do 2000 roku. Dokumenty te zostały rozpatrzone przez Egzekutywę KW na wyjazdowym posiedzeniu w kombinacie 10 bm. Podobnie jak tamte, sprzed kilku miesięcy obrady, tak i te poprzedzone zostały spotkaniami konsultacyjnymi członków Egzekutywy z kierownikami społeczno-politycznymi kopalni i hut, jak również rozmowami z robotnikami na stanowiskach pracy.

W HUCIE „GŁOGÓW”

Towarzysze wojewodzie Ryszardowi Jelonkowi i sekretarzowi KW PZPR Krzysztofowi Jeżowi, którzy udają się do HM „Głogów”, jednego z kluczowych zakładów przemysłu miedziowego.

W małej salce o godz. 8 zebrało się kierownictwo zakładu: dyrektor naczelny Jan Bisztyga, I sekretarz KZ PZPR Janusz Chorażyczewski, przewodniczący RP Adam Butyński, wiceprzewodniczący ZZ NSZZ Eryk Ratajczak i wiceprzewodniczący ZZ ZSPM Marek Kud.

Wszyscy wiedzą jaki jest cel spotkania i od razu przystąpiono do rzeczy.

Sekretarz K. Jeż chce poznać stanowisko szefów hut w takich sprawach: czy lepiej koncentrat miedzi eksportować czy magazynować, czy przeznaczony przez KGHM środki na inwestycje i na ochronę środowiska w hucie są wystarczające, czy myśli się o budowie mieszkań, zakładach, i jak jest chętnych na dyktando budowlane, jak ocenia się funkcjonowanie służby zdrowia, jaka jest atmosfera polityczna w hucie.

Wojewoda R. Jelonk pyta o: stan rozwoju szeregów partyjnych oraz przyczyny skrajności, hamulec w realizacji programu ochrony środowiska (potencjał czy środki).

Dyr. J. Bisztyga stwierdza, że atmosfera wśród załogi jest dobra, mimo że trzeba było pokonać wiele losowych przeciwności. — Mocno daliśmy we znaki nieprzewidywane awarie. Mobilność jest duża i podstawowe zadania roczne zostają wykonane, zarówno gdy idzie o rudę i srebro jak i o wydobycie na wydziale zdrowia i służby zdrowia.

sieczny postój w związku z wyburzeniem kolumny. Nie zrealizujemy jedynie w pełni zaplanowanej wielkości kwasu siarkowego — braknie 5,1 tys. ton. Odczuwamy boleśnie brak stali, a zwłaszcza w gatunkach kwasoodpornych niezbędnych dla FKS. Robimy jednak wszystko, aby prace modernizacyjne posuwały się do przodu. Pod przewodnictwem dyr. techn. działa specjalny sztab, który rozlicza codziennie stan robót. Wczoraj włączaliśmy elektrofiltr po modernizacji. Podjęte doraźnie przedsięwzięcia sprawiają, że zbliżamy się do osiągnięcia w HM-I odzysku siarki na poziomie 69 proc., bo w Głogowie-II nie ma problemu i tam wypulpuje się 90 proc. Taki poziom w starej hucie uzyskamy dopiero w 1990 r., po zbudowaniu nowych węzłów w FKS. Zakończono prace przy wylaniu fundamentów pod nowy komin, konstrukcję, robi ZBGH, ZUG „Lena” i ZM „Legmet”. Siłami kombinatu zostanie ona także zamontowana. Nowy komin będzie gotowy do końca 1987 r. W przyszłym roku winniśmy wyprodukować 300 tys. ton miedzi elektrolitycznej, a pod koniec bieżącej pięciolatki — 307

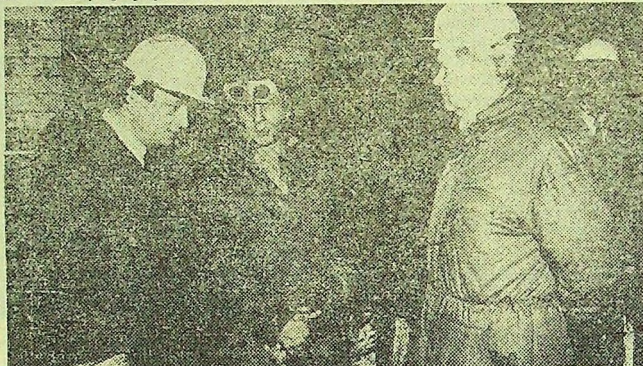
realizowane w wymiarze zaproponowanym przez hutę.

R. Jelonk: — W latach 70, gdy inne zakłady kombinatu budowały ośrodki wczasowe, kolonijne nasz zakład nie wiadomo na co czekał. Przepaliliśmy istniejącą wówczas szanse.

— Za to można obwiniać dyrektorów — powiada E. Ratajczak — ale dlaczego ma cierpieć załoga. Huta nie może ciągle wisieć na łasce innych 1500 dzieci trzeba wysłać na kolonie, a my nie mamy obiektu. Rozwój szeregów związkowych nie jest imponujący, ale nie chcemy nikogo na siłę ciągnąć. Odeszliśmy od polityki poprzedniego kierownictwa ZZ, które traktowało dozor jako wrogów. Trzeba jednak widzieć, że część kadry odnosi się do związkowców lekceważąco.

J. Bisztyga: — Przystępujemy do budowy ośrodka wypoczynkowo-sanatoryjnego w Uście na 300 miejsc.

Rozmowy trwają już 1,5 godz. i niebawem trzeba wyjeżdżać do Lubina, ale towarzysze Jelonk i Jeż chcą koniecznie odwiedzić jeden z wydziałów. Idziemy na Wydział Wlewków HM-I.



K. Jeż (z lewej) i R. Jelonk rozmawiają z I rafinierzem J. Milewskim.
Fot. R. Szczeradek

tys. ton, aby po 1990 r. osiągnąć 313 tys. ton. Żeby zrealizować program produkcyjny i ochrony środowiska, bo te sprawy huta traktuje integralnie, trzeba wydatkować w tej pięciolatce 21 mld złotych. Podobnego zdania jest KGHM. Różnimy się natomiast, jeśli idzie o wysokość nakładów na przyszłą pięciolatkę. Koncentrat, bez obawy o obniżenie jego parametrów i zanieczyszczenie środowiska, można magazynować. Dlatego budujemy magazyny. Zakładowy fundusz mieszkaniowy wystarcza jedynie na pożyczki i wkłady. Nie stać nas na budownictwo zakładowe. Jeden blok kosztuje 200 mln złotych, a my mamy ledwie 10 mln złotych.

Włącza się do rozmowy A. Butyński: — Będzie większe zainteresowanie budownictwem jednorodzinnym, gdy nastąpi podwyżka kredytów i polepszy się zaopatrzenie w materiały. Dziś nawet niektórzy oddają działki, budowlane. A co do służby zdrowia: trzeba więcej lekarzy, no i należy szybciej budować przychodnię międzyzakładową w Głogowie. Przecież na dojazd do huty na 2 godz. nie ma chętnych. Dlatego przeniesliśmy naszą przychodnię do hotelu kopalni „Sieroszowice” w mieście.

J. Chorażyczewski podkreśla z naciskiem: — Nie możemy sobie pozwolić na opóźnianie realizacji programu ochrony środowiska, bo nie będziemy w stanie przeciwstawić się żądaniom ludzi na podnoszenie dodatków zdrowotnych, plac itp. Pamiętajmy, iż inwestycje te będą też płatne na wieloletni

I rafinierz Józef Milewski nie narzeka na warunki pracy. Jest tutaj znośnie — mówi. — Tylko zarobek nie najwyższy — 30 tys. złotych. Przy obecnych cenach to mało. Złazszcza iż starsza córka uczy się w Cieplicach. A szkoła kosztuje. Na czasach zakładowych w Sianożętach byłem dwa lata temu.

— O widzę gości z województwa — wita się z przybyłymi przedstawicielami władz Ireneusz Malatynski, frezer-słusarz. — To bardzo dobrze, bo mam do pana wojewody prośbę w imieniu hutników, budujących domki jednorodzinne w Bytomiu, Odrzańskim, a więc parę kilometrów stąd, ale już w innym województwie. Teren tam ładny, powietrze zdrowe, działki duże. Tylko się budować. Ale mamy wielkie problemy ze zdobyciem materiałów. Raz, że ich nie ma, a jak się pokażą, no to miejscowe urzędniki mówią, że należą się tylko tym na stałe zameldowanym. A my z Legnickiego: i co pan na to?

— Postaramy się wam pomóc — mówi wojewoda Jelonk. — Będę rozmawiał z wojewodą zielonogórskim, aby generalnie uregulować sprawę, bo widzę, że głogowscy hutnicy pokochali Bytom Odrzański.

NA SALI OBRAD

W sali kolegialnej KGHM o godz. 11 zebrał się nie tylko członkowie Egzekutywy KW partii, są także I sekretarze instancji partyjnych Głogowa i Lubina. Pierw-

jak również kierownictwo społeczno-polityczne i administracyjne kombinatu.

Posiedzeniu przewodniczy I sekretarz KW PZPR Henryk Nowak. Zebrani otrzymali wcześniej obszerne materiały na piśmie, ale mimo to szef Kombinatu Miedzi Mirosław Pawlak robi blisko godzinne wprowadzenie do tematu.

Naprzód informuje o stanie realizacji wniosków z poprzedniego posiedzenia. W lutym Egzekutywa KW sformułowała 8 wniosków. W planie wieloletnim założyliśmy — mówi — kontynuowanie niezbędnych inwestycji w kopalniach „Rudna” i „Sieroszowice” oraz prac modernizacyjnych - odtworzeniowych w HM „Głogów”. W latach 1986—1990 na te trzy zakłady przeznaczamy 44,6 proc. naszych nakładów inwestycyjnych (36,5 mld zł), zaś w następnej pięciolatce 42 proc. (blisko 15 mld zł). W efekcie tego zdolność wydobywcza „Rudnej” osiągnie 12 mln ton rudy miedzi rocznie, a „Sieroszowice” — 2,7 mln ton, natomiast HM „Głogów” dojdzie do 307 tys. ton miedzi elektrolitycznej w 1990 r. W bieżącym pięciolciu będą nadal realizowane wszystkie obiekty związane z ochroną środowiska, a zwłaszcza fabryki kwasu siarkowego, o-czyszczalnie ścieków, strefy ochronne w obydwu hutach, odpylnia gazów konwertorowych w „Głogowie” oraz zawroty wód przemysłowych w ZG „Lubin”. Ale realizacja programu ochrony środowiska — podkreślił — będzie przebiegała nieco wolniej niż zakładaliśmy we

wstępnych projektach. Powód? Ograniczenie nakładów na inwestycje kombinatu oraz trudności wykonawcze. Egzekutywa zaleciła, aby nie lokalizować w województwie inwestycji zwiększających zagrożenie ekologiczne. Musimy jednak zbudować wydział ołowiu w hucie „Głogów”, bo nie udało się tego zrobić na Górnym Śląsku. Uczynimy to tylko wówczas, jeśli znajdziemy technologię, która zapewni, iż emisja zanieczyszczeń będzie mniejsza niż przy obecnym poziomie produkcji 7 tys. ton ołowiu w „Głogowie”. Szefowie MHiPM, MF oraz NBP przyjęli ustalenia dotyczące sposobu finansowania programu rozwoju przemysłu miedziowego w latach 1986—1990 (zapewniono kredyt inwestycyjny, pozostawił się całość odpisów amortyzacyjnych, finansowanie inwestycji z Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, ulga w podatku dochodowym), a minister handlu zagranicznego wprowadził na miedź i srebro ceny transakcyjne. Jeśli te decyzje będą konsekwentnie stosowane, kombinat zdola zgromadzić niezbędne środki na realizację programu, zapewniającego utrzymanie zdolności produkcyjnych przemysłu miedziowego. Minister hutnictwa podjął decyzję o odroczeniu przystąpienia do likwidacji wydobycia rudy miedzi w „Konradzie”, ale na wniosek OPZZ rząd powołał zespół rozpatrujący tę sprawę z punktu widzenia makroekonomicznego. W każdym razie KGHM nie jest w stanie dalej pokrywać deficytu tej kopalni. Widzimy tam możliwości eksploatacji anhydrytu i skaleni, produkcji wyrobów z gumy i podzespołów do maszyn górniczych, co pozwoli wykorzystać istniejący majątek i ludzi. Włączymyśmy do planu inwestycyjnego zagospodarowanie pola „Malomic” w ZG „Lubin”. W la-

(Dokończenie na str. 4)

Miedź znów na Egzekutywie

(Dokończenie ze str. 3)

tach 1988—1995 trzeba będzie na to wydatkować 9,6 mld zł. W ramach posiadanych mocy wytwórczych w zakładach zaplecza zwiększiliśmy produkcję i sprzedaż poza kombinat takich wyrobów, jak odlewy żeliwne i stalowe, zaciski hamulcowe „Goodrich”, wozów kopalnianych itp., ale możliwości są ograniczone z uwagi na trudności zaopatrzeniowe. Przymierzamy się do produkcji pomp odwadniających. Zwiększył się udział eksportu walcówki z 25 tys. ton w 1985 r. do 36 tys. ton w br. Pomyślnie rozwija się sprzedaż myśli technicznej i usług. W tej pięciolatce kombinat zbuduje w różnych formach 2 tys. mieszkań w budownictwie wielorodzinnym oraz 1200 domków jednorodzinnych. Zostaną wyodrębnione wydziały budowy mieszkań w ZRM i ZBGH, ale nie widzimy celowości tworzenia specjalnego zakładu. Zwiększyło się zaangażowanie KGHM w rozwiązanie problemów Polkowic. Deklarujemy pomoc w utworzeniu przedsiębiorstwa budownictwa ogólnego, przez wyposażenie go w sprzęt budowlany.

Dalej dyrektor kombinatu przedstawił założenia planu na lata 1986—90 i zamierzenia inwestycyjne do 2000 roku.

Na bieżącą pięciolatkę — powiedział — zakładamy utrzymanie obecnego potencjału wydobywczego i przetwórczego oraz umiarkowany wzrost produkcji finalnej. Wydobycie rudy miedzi zwiększy się z 29,5 mln ton w br. do 30 mln ton w 1988, by w 1990 r. spaść do 29,5 mln ton. Produkcja miedzi elektrolitycznej wzrośnie z 378 tys. ton w br. do 392 w ostatnim roku obecnej pięciolatki. Jest to maksimum możliwości — przy założeniu pełnej i terminowej realizacji programu inwestycyjnego oraz ograniczeniu, a nawet zaniechaniu eksportu koncentratu.

Na inwestycje w tym pięcioleciu trzeba wydatkować 82 mld złotych, z czego 64 proc. środków ma pochodzić z własnych funduszy KGHM.

Każdego roku kombinat musi więc wypracować zysk w granicach 18—20 mld złotych, co nie będzie sprawą łatwą, biorąc pod uwagę pogarszające się warunki eksploatacji górniczej, które wpływać będą na stały wzrost kosztów i obniżanie rentowności. Aby temu przeciwdziałać, nadajemy duże znaczenie działaniom proefektywnościowym. Zaostrzy się reżym oszczędnościowy. Tylko w tym pięcioleciu chcemy zaoszczędzić na materiałach, energii, paliwach — 13 mld złotych. Stawiamy na postęp techniczny.

A co planje się na lata 1991—2000? Zamierza się wydatkować 114 mld złotych na inwestycje, w tym 68 mld złotych w następnej pięciolatce. Chce się przez to osiągnąć dwa cele: po pierwsze — utrzymać produkcję miedzi elektrolitycznej w granicach 370—380 tys. ton rocznie, po drugie — osiągnąć wydatną poprawę w ochronie środowiska. Żeby zachować taki poziom produkcji, trzeba będzie zwiększyć wydobycie rudy miedzi z 29,4 mln ton w 1991 r. do 31,4 mln ton w 2000 r., jako że jej okruszczenie będzie ciągle spadać.

Po 1990 roku coraz większe znaczenie mieć będą inwestycje restrykcyjne. Zużyte maszyny i urządzenia trzeba będzie wymienić na nowe. Nadal trwać będzie budowa I etapu kop. „Sieroszowice” wraz z ZWR. Będzie zagospodarowywane pole „Małomice” w kop. „Lubin”. Kontynuowana będzie rozbudowa zbiornika odpadów poftotacyjnych „Żelazny Most”. Prowadzić się bę-

dzie modernizację hut. Główną inwestycją drugiej połowy przyszłej dekady będzie kop. „Sieroszowice”, która wzbogaci się także o II etap ZWR. Wydobycie zwiększy się tam z 4,8 mln ton do 7,5 mln ton i będzie ono rekompensować spadek produkcji w pozostałych zakładach górniczych LGOM.

Później szef kombinatu musiał jeszcze przez pół godziny odpowiadać na pytania i wątpliwości uczestników posiedzenia, po czym rozwinęła się długa, nierzadko burzliwa i kontrowersyjna dyskusja, ale prowadzona była ona w zupełnie innej tonacji niż kilka miesięcy temu.

Wtedy nad KGHM wisiało widmo bankructwa i zabierający głos zastanawiali się, co zrobić, aby największe w Polsce przedsiębiorstwo, dające gospodarce narodowej pół miliarda dolarów rocznie, nie poszło pod młotek. Inni wyrażali zdziwienie, jak to się dzieje, że firma wypracowująca zysk w wysokości 20 mld złotych jest tak „skubana” przez fiskusa, iż nie ma wystarczających środków na rozwój. Wówczas Egzekutywa jednoznacznie wsparła wysiłki kombinatu, zmierzające do stworzenia mu przez centrum odpowiednich warunków, uwzględniających specyfikę przemysłów przetwórczych. I to się stało, takie decyzje zostały podjęte. KGHM skonkretyzował swoją perspektywę.

Obecnie więc dyskusja koncentrowała się wokół innych zagadnień. Debatowano głównie nad tym, co i jak zrobić, aby najlepiej wykorzystać środki rozwojowe. Dlaczego tak długo wlecz się sprawa „Konrada”, kiedy zacznie się samofinansować kopalnia „Sieroszowice”, w jakim stanie są prace nad skonstruowaniem maszyn do eksploatacji niskich pokładów, jak przebiegają prace nad nowymi technologiami odzysku miedzi i srebra itp.

Istotny nurt w dyskusji stanowiły sprawy ochrony środowiska. Padły głosy, by za wszelką cenę zrealizować w przewidzianych terminach zadania z tego zakresu.

W wielu wypowiedziach akcentowano potrzebę udziału KGHM w rozwiązywaniu problemów ogólnowojevodzkich. Postulowano m. in. włączenie do kombinatu cementowni „Podgórze” lub wspomoczenie ją kwotą 300 mln złotych na niezbędną modernizację, wyasygnowanie pieniędzy na budowę dla „Elpo” zakładu w Polkowicach, dającego zatrudnienie kobietom, budowę sztucznego lodowiska w Legnicy i obiektu kultury w Lubinie itp.

Ustosunkowując się do zgłoszonych pod adresem KGHM wniosków, M. Pawlak stwierdził, iż kombinat w dalszym ciągu będzie partycypował w rozwoju województwa. W pełni — powiedział — wywiążemy się z zadań, wynikających z porozumienia podpisanego z wojewodą. Dodatkowo bierzemy na siebie zagospodarowanie polkowickiej cehowni na górnicy ośrodek kultury i sportu. Innych rzeczy, dziś tu sugerowanych — podkreślił z naciskiem — nie możemy się podjąć, bo musielibyśmy przeznaczyć na nie 90 proc. naszych środków rozwojowych. Musimy przyjąć program realny, program marzeń nie jest nikomu potrzebny.

Opinię tę podzieliła także Egzekutywa KW PZPR, akceptując generalnie przedłożone przez KGHM kierunki działań do 2000 r. Podkreślono, że realizacja przedstawionych zadań wymagać będzie zwiększenia roli wszystkich organizacji społeczno-politycznych w życiu kombinatu. Wsparła również zamierzenia kierownictwa firmy w dziedzinie poprawy efektywności gospodarowania i rozwiązywania potrzeb społeczno-bytowych załóg i ich rodzin.

JAN KURASZ

Tegoroczne święto górnicze zapisał się w pamięci załogi Zakładów Górniczych „Polkowice” w sposób szczególny. W uznaniu zasług tej kopalni minister hutnictwa i przemysłu maszynowego na-



dał jej sztandar. Jego uroczyste wręczenie nastąpiło podczas akademii barbórkowej, którą swoją obecnością zaszczył m.in. sekretarz KW PZPR Zbigniew Korpaczewski, dyrektor departamentu spraw społeczno-zawodowych MHiPM Waldemar Jedynak, naczelnik Polkowic Bolesław Kocwa, dyrektor rozwoju KGHM Witold Grabowski i komendant IV Wojewódzkiego Szpitala Klinicznego we

sad reformy gospodarczej, program oszczędnościowy, wdrażanie postępu technicznego. Pełnym powołaniem zakończyła się inicjatywa zakładowego zespołu racjonalizatorów, który zaprojektował i skonstruował maszyny do eksploatacji niskich pokładów. Pierwsze już pracują i pozwoliły na urobienie rudy pozabilansowej. Zastosowanie 197 rozwiązań racjonalizatorskich przysporzyło kopalni ponad 200 mln złotych korzyści. W ruchu wynalazczym uczestniczy nie tylko kadra inżynierska, ale coraz szerzej także górnicy, mechanicy, elektrycy.

To wszystko — mówił dyr. Foligowski — rokuje nadzieję, że kop. „Polkowice” upora się z oczekującymi ją zadaniami w przyszłych latach. A nie będą one łatwe. Spadek zawartości miedzi będzie pogarszał sytuację finansową.

SZTANDAR DLA „POLKOWIC”



Sztandar — symbol górniczego trudu. Z rąk W. Jedynaka odbiera go dyr. Jan Foligowski.

Wrocławiu plk. Kazimierz Wdrowski.

O tym, iż załoga tej kopalni w pełni zasłużyła na takie uhonorowanie świadczy bilans dokonań polkowickich górników, przedstawiony w okolicznościowym referacie wygłoszonym przez dyrektora Jana Foligowskiego.

Najbardziej charakterystyczną cechą mijającego roku — powiedział on — było to, że był to rok normalny, bez wielkich burz i niepokojów, lecz coraz wyższego uświadomienia skali stojących przed nami problemów i coraz lepszego zrozumienia, że tylko razem i wspólną pracą możemy rozwiązywać nasze problemy.

Tylko w takiej atmosferze załoga kopalni mogła uorać się z trudnymi zadaniami. W ciągu 11 m-cy górnicy wydobyli ponad 7 mln ton rudy miedzi, tj. 6,3 proc. więcej niż zaplanowano i 0,7 proc. więcej niż w analogicznym okresie ub.r. Zawierała ona 148,841 ton metalu, czyli o 6,8 proc. więcej niż zakładał plan, ale o 2,1 proc. mniej niż w takim samym czasie poprzedniego roku. Wiąże się to ze spadkiem zawartości miedzi w rudzie z 1,72 proc. w 1985 do 1,67 proc. w br. W kopalnianym ZWR przerobiono nie tylko własny urobek, ale i z „Sieroszowic” — łącznie ponad 7,5 mln ton, z którego wytworzono 453 tys. ton koncentratu, zawierającego ponad 102,6 tys. ton miedzi i 170 ton srebra.

Uzyskano także dobre wyniki ekonomiczne. Bieżący rok zamknął się zyskiem w wysokości 2,3 mld złotych, a więc wyższym o 600 mln złotych od planowanego. Jest to efekt konsekwentnej realizacji za-

Jedyną drogą do zapewnienia samofinansowania zakładu jest obniżka kosztów produkcji. I załoga do tego przysposabia się już dzisiaj. Dlatego stawia się na postęp techniczny, na usprawnienia organizacyjne.

Przykładów na zaradność polkowickich górników jest wiele. Gdy dowiedzieli się o ministerialnej decyzji nadania ich kopalni sztandaru sami zebrali środki finansowe na jego wykonanie. W zbiorze funduszy przodowały oddziały G-21, PM-1, E-21, G-12, G-37, G-31, M-1, stacja ratownictwa górniczego, straż przemysłowa, KZ PZPR, NSZZ, ZSMP, Stowarzyszenie Księgowych, zakładowe koło wędkarzy. A więc te kolektywy i organizacje, których działalność jest także najbardziej widoczna na co dzień.



Podczas tegorocznej Barbórki wysokie wyróżnienie spotkało nie tylko kopalnianą zbiorowość, ale również jej najbardziej zaangażowanych zawodowo i społecznie członków 307 pracowników przyznano odznaczenia, a 172 stopnie górnicze. Wśród nich było 197 jubilatów, spośród których niektórzy przepracowali w górnictwie 40 i 45 lat.

W czasie akademii Orderami Sztandaru Pracy II klasy zostali odznaczeni Marian Golaszewski, Kazimierz Nowak, Leszek Szpakowski i Mieczysław Wach.

E.K.



Odkąd ludzie wymyśliли pismo, starał się wypisywać w różnych miejscach co się tylko dało. Starożytni Grecy umieścili nad portykiem świątyni Apolla w Delfach wielce głęboką myśl: „Gnothi seauton”. Co znaczyło „Poznaj siebie samego”. Twórcy XIV-wiecznego Orderu Podwiązki opatrzyli go dewizą: „Hañba temu, kto widzi w tym coś złego”. Miejscem jakby stworzonym dla wzniosłych i łzawych sentencji były cmentarze. Oskar Kolberg zanotował taki napis na grobie rodziny Boskich, znajdującym się w Słupcy: „Tu leży i Matka Boska i Syn Boski. Nie dziwiecie się głupcy, że tu leża w Słupcy”.

Istną plagą było i jest nadal wypisywanie na murach imion, dat i westchnień od ukochanych. Musiało to dopieć już starożytnym, skoro pozostało po nich powiedzenie: „Imiona głupców są napisane na każdym miejscu”. Oglądałem ruiny zamku w Kazimierzu. Na murach odnotowali swoją obecność wycieczkowicze z XIX w. W kraju akurat były powstania listopadowe i styczniowe, a ci skrobali swoje inicjały. Historia przebiegała w huku dział, ale też jest odmierzana drapaniem ryłca czy szczyrorką.

Cmentarze, będące miejscem spoczynku zmarłych czyli ludzi wolnych od wszelkich namienności, nie są uwolnione od snobizmów i ambicji tych, którzy żyją. Dość popularnym w dawnych czasach napisem nagrobnym (wtedy, gdy łacina była językiem ogólnie znanym wśród warstw oświeconych), był trzyliterowy skrót: D.O.M. Znaczyło to: „Deo Optimo Maximo” czyli „Bogu Najlepszemu i Największemu” polecana jest dusza

pochowanego tu człowieka. Na cmentarzu we wspomnianym już Kazimierzu dostrzegłem okazały grób na płycie którego widniał napis: DOM Rodziny Iksów. Rodzina Iksów nie bardzo wiedziała, co znaczą owe litery, przyjęła je więc dosłownie uznając, że wzorze ze starych szacownych grobowców są godne zapożyczenia w czasach obecnych.

Różne napisy i hasła mogą wywoływać znacznie wesele i wrażenia, niż w przypadku sprostowań z cmentarzy. W latach pięćdziesiątych na murze biegnącym w pobliżu torów kolejowych w jednym ze śląskich miast widniało duże hasło: „Przekuliemy w czyn myśl Stalina”. Trzeba trafić, że mur okalał

wielkiej stacji w okolicach Wrocławia w. Wieszono na fasadzie budynku dwa wizerunki osób będących wówczas na szczycie władzy. Kolejarze zupełnie zapomnieli, że tuż obok portretów widniała nazwa stacji „Szewce”, co podróżni komentowali z uśmiechem.

Naprzeciwko redakcji, w której dawniej pracowałem był samoobsługowy sklep mięsny. Zbliżało się jakieś święto, obsługa sklepu wywiesiła więc w witrynie portret przywódcy. Tuż nad nim dyndał duży napis: SAM. Był to rok 70 i przywódca znajdował się w nie-malych opalach. Następny przywódca wpadł na prosty pomysł. Zarządził, aby przy żadnych okazjach nie wywieszano jego portretu. Za to pokazywał się bez umiaru w telewizji.

wąstką osobom z zakładów przemysłowych, instytucji, urzędów... Zecer pomylił wiersz i coś zobaczyli czytelnicy popularnej gazety? Tekst zaczynał się w ten sposób: „Dziękuję za przysłanie mi żydów przemysłowych...”. Również w tych latach tygodnik „Przegląd Kulturalny” opublikował tekst poświęcony Nikicie Chruszczowowi. Tytuł tej publikacji brzmiał: „Chruszczow”. Nie zauważono w redakcji ani w drukarni, że poprzedzając tekst stronę zawiera tytuł innej publikacji: „W skórze szatana”. Nie chciałbym być w skórze ówczesnego redaktora naczelnego pisma.

Parę lat temu papież Jan Paweł II odbywał podróż po Filipinach. W tym czasie nawiedziło ten kraj trzęsienie ziemi. Podczas przejazdu papieża ulicami Manili policja zatrzymała jakiegoś osobnika z nożem za pazuchą, biorąc go za potencjalnego zamachowca. „Wieczór Wrocławia” połączył te wydarzenia i relację z podróży papieża zatytułował: „Trzęsienie ziemi na Filipinach. Czyżby nowy zamach na papieża?”.

Poligonem, gdzie wypróbowywano w ubiegłych latach wszelkie rodzaje propagandy wizualnej były zakłady pracy. Zatrudnieni tam plastycy urabiali sobie ręce po łokcie, by ozdobić stosownymi malowidłami, hasłami i tablicami opiewającymi osiągnięcia korytarze, ściany hal produkcyjnych, stolówki i skłery fabryczne. Z tychże lat zapamiętałem sobie zaskakujący napis, widniejący w jednej z hal produkcyjnych dzierżonowskiej „Diory”: „Próżnowaniem poniżasz dary natury”.

Przejąłem się tym hasłem i dzięki temu powstał ten felieton.



ŚMIEJ SIĘ POWOLI

STANISŁAW JABŁOŃSKI

składnicę złomu. Wędrowałem niedługo z plecakiem ulicami Zielonej Góry. Na szybach pewnego budynku dostrzegłem gustowne plakaty z popularnym wówczas hasłem: „Damy więcej, lepiej i taniej”. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie szły w wejścia do gmachu. Była to bowiem siedziba Ligi Kobiet. W tymże mieście obejrzałem sobie tabliczkę z osobliwą osnovną nazwiska patronki: Ulica Curi; Skłodowskiej Okazuje się, że kuria dostarcza natchnienia nawet autorom tabliczek z nazwami ulic.

Czasem najlepsze chęci dają nieoczekiwane skutki. Dawnymi laty panował zwyczaj wywieszania przy różnych okazjach portretów dostojników państwowych. Na nie-

Niewyczerpanym źródłem zabawnych lapsusów jest prasa. Znam ludzi, którzy kolekcjonują rozmaite gąfy, ale żaden z nich nie pokusił się o zebranie ich w jakiejś publikacji. Niestety, koturnowy i pomnikowy sposób traktowania naszych rodzimych polityków nie pozwala przedstawiać ich w intymnym świetle czy zartobliwym kontekście. A często owe prasowe błędy dotyczą właśnie dostojników państwowych.

W latach 60 ukazało się w „Życiu Warszawy” podziękowanie ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza za złożone mu życzenia imieninowe. Wedle zamysłu autora (lub jego sekretarza) miało ono brzmieć: „Dziękuję za przysłanie mi życzeń imieninowych

dziesiątego kraju świata, spadliśmy wprawdzie nie do poziomu Bangladeszu, ale w towarzystwo narodów borykających się z poważnymi kłopotami gospodarczymi.

Trudno więc się dziwić temu, że ludzie źle oceniają rzeczywistość. Czy w związku z tym opowiadają się jednogłośnie i ochoczo za zmianami? I jakimi zmianami? Tutaj byłbym nieco ostrożniejszy w sądach.

Z uchwali kongresu związków zawodowych i stanowiska zajętego wobec planu na lata 1986-1990

Opowiedzenie się za reformami i przeciwko próbom zawrócenia z tej drogi jest bardzo cenną postawą. Związkowcy wykazali tu instynkt samozachowawczy, gdyż tylko w gruntownych przeobrażeniach naszej gospodarki można upatrywać szansę poprawienia sytuacji i zaspokojenia potrzeb społecznych.

Niestety, między jak najbardziej słusznymi deklaracjami i faktycznym postępowaniem, zdarzają się spore różnice. Wiele przedsiębiorstw stosuje bowiem metody

nie wspierają swoich dyrektorów w staraniach o specjalne dostawy surowców, dotacje i ulgi. Godzą się też na wejście w duże związki branżowe — nawet gdy grozi to utratą samodzielności — jeśli nagrodą jest podwyżka płac. Bronią zażarcie swojej firmy przed upadkiem, domagając się pomocy finansowej ze strony państwa. W wielu zakładach nie jest najlepiej z organizacją i wykorzystaniem czasu pracy, dyscypliną, rzetelnością zawodową, a to są przecież subiektywne czynniki, wpływające na złą sytuację przedsiębiorstw. Usunięcie owych mankamentów to bezinwestycyjny sposób poprawienia wyników gospodarczych.

Czy w tym niespójnym postępowaniu jest coś nienormalnego? Powiedziałbym, że jest to całkiem naturalne. Ludzie chcieliby żyć lepiej, pragną więc zmian. Jednocześnie tkwią w utrwalałym systemie przyzwyczajęń i sposobów działania. System ten w rozmaitych sytuacjach okazywał się skutecznym, nie chcą więc z niego łatwo rezygnować. Zmiany tworzą sytuacje nowe i nieznane czego wielu się boi. Może to bowiem powodować selekcję kadr a niekiedy nie będą mogli sprostać wymaganiom.

Dlatego ważne jest poparcie reform, choćby wóz nimi wypel-niony ciągnął nieliczną. Czasem okrzyk zachęły wzmacnia wysiłek.



Ciągnąć co sił

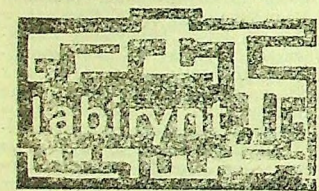
STANISŁAW JABŁOŃSKI

wynika, że reprezentanci tej ogromnej społecznej organizacji oceniają krytycznie dotychczasowe metody zarządzania gospodarką i przyjęła na przyszłość strategię postępowania. Jest to swolne woluntaryzm dla ludzi odpowiedzialnych za politykę gospodarczą i społeczną. Ludzie ci ustami premiera Zbigniewa Messnera, bronią swojego stanowiska, tłumacząc przyjęcia strategię różnicami ograniczeniami i potrzebą realizmu.

Jeśli obecna polityka gospodarcza nie przynosi oczekiwanych efektów, a koncepcja rozwoju także nie jest obiecująca, to wniosek jest jeden: trzeba to zmienić i zaproponować inne skuteczniejsze rozwiązania. Cóż, tego akurat w uchwale nie ma, ale też kongres nie mógł takich koncepcji wypracować. Ich bazą muszą być bowiem dane o gospodarce, nie zaś nasze życzenia.

postępowania, które nie mają nie wspólnego z efektywnością gospodarczą. Wspierają swoją strategię na nieograniczonym wzroście zużycia surowców i energii, powiększaniu zatrudnienia, wolno zwracających się inwestycji, walce o przydziały zaopatrzeniowe i rozmaite ulgi. Podwyższają ceny swoich wyrobów, zamiast obniżyć koszty. Załogi wywierają z kolei presję na podwyżki płac. Dotychczas zdarzył się jedynie przypadek, że załoga ustami swoich reprezentantów zaprotestowała przeciw podwyższaniu cen towarów przez nią wytwarzanych. Miało to miejsce w „Polarze”. Nic też nie słychać o tym, by członkowie samorządu czy związkowcy, wywierali nacisk na dyrekcję, przeciwdziałając zanieczyszczaniu środowiska. Wydatki ponoszone na ten cel mogłyby przecież uszczuplić zysk.

Samorządy i związkowcy dziel-



Gdyby zapytać dziś stu Polaków, czy pragną utrzymać stan obecny w życiu codziennym, gospodarce, instytucjach publicznych, to zapewne trzy czwarte z nich odpowiedziałyby przecząco. Jesteśmy bowiem niezadowoleni z naszej rzeczywistości, która pozostawia wiele do życzenia. Na rynku orakuje towarów, a te, które są, bywają kiepskiej jakości. Kolejka do mieszkanie jest coraz dłuższa. Ceny rosną, odczyny nie nadążają za nimi. Wiele rodzin żyje na granicy niedostatku albo w biedzie. Pogarsza się stan środowiska przyrodniczego, a w ślad za tym sytuacja zdrowotna ludności, zwłaszcza na terenach narażonych na zanieczyszczenia. W wielu zakładach są złe warunki pracy, narażające ludzi na szybszą utratę sił, zdrowia, a niekiedy na wypadki powodujące śmierć lub kalectwo. Dostrzegamy powiększający się dystans między poziomem cywilizacyjnym Polski i krajów rozwiniętych.

Eksperti Międzynarodowego Funduszu Walutowego zaliczyli nasz kraj do regionów rozwijających się czyli postawili nas w równym rzędzie z krajami Trzeciego Świata. Jest to wygodne ze względu na warunki otrzymania kredytów, ale bardzo zasmucające prestiżowo. Z wyżyn iluzji przewidywanych przez społeczeństwo

Zawikłana sytuacja gospodarcza świata, którego strapienia są także naszymi kłopotami, pobudza do poszukiwań — niekiedy nawet rozpaczliwych — odpowiedzi na pytania, czym są spowodowane owe perypetie, co z nich może wyniknąć i w jaki sposób zapobiec przyszłym nieszczęściom. Te pytania są kierowane najczęściej — choć niekoniecznie słusznie — ku ekonomistom. To ekonomia, nauka zajmująca się stosunkami gospodarczymi i badająca prawa rządzące produkcją, podziałem, wymianą i konsumpcją, ma możliwość udzielenia wyjaśnień i dostarczenia wskazówek, jak należy postępować, by zapanowała harmonia i ogólne zadowolenie. Tym samym od ekonomii wymagamy, aby była czymś w rodzaju Archimedesy precyzującego prawa przyrody. Pytają delficką przepowiadającą przyszłość i skrzynką z narządzeniami pomagającymi w najstraszliwszym przy mechanizmach gospodarczych.

Ta wielorakość funkcji przypisywanych ekonomii zaszczyca może ekonomistów, którzy postrzegają siebie jako postaci łączące cechy uczonego, proroka i ślusarza, ale tym bardziej zasmuca wszystkich, dostrzegających ograniczenia i słabości uprawianej przez siebie dyscypliny. Kwestie przetrwania współczesnej cywilizacji zajmują dziś bez wyjątku zarówno ekonomistów socjalistycznych, jak też mieszczańskich i obie te grupy są świadome własnej niedostatecznej kompetencji i braków nauki, zapowiadającej się tak świetnie za czasów Adama Smitha, Davida Ricarda czy Karola Marksa.

Ocena niedostatków ekonomii politycznej nie jest wytworem dnia dzisiejszego; dokonania każdej nauki są oświetlane reflektorem bezlitosnej nieraz analizy. Mało było jednak okazji po temu, by wątpliwości stały się przedmiotem publicznej dyskusji. Uznawano, że prawdy zawarte w wykładzie ekonomii politycznej socjalizmu noszą charakter niepodważalnych dogmatów. Do rewizji takiego poglądu skłoniła potrzeba poznawania coraz to bardziej skomplikowanych zjawisk i procesów gospodarczych, praktycznego rozwiązywania zagadnień w dziedzinie gospodarowania oraz przewidywania przyszłych zdarzeń. Przydatność teorii była w tych dziedzinach zbyt mała.

Wyraz tym niepokojom dał prof. Mieczysław Mieszczańkowski publikując w jednym z tegorocznych numerów „Życia Gospodarczego” artykuł „Luki teorii ekonomii socjalizmu”. Przedstawił w nim 10 najważniejszych niedostatków owej teorii.

Zdaniem autora teoria nie zajmuje się w ogóle stosunkami między podmiotami gospodarczymi to znaczy między robotnikami i ogółem pracowników w przedsiębiorstwie, między pracownikami i kadra kierowniczą, między kolektywami różnych przedsiębiorstw, między centrum gospodarczym i przedsiębiorstwami oraz samorządami itp. Skoro tak jest, to teoria nie jest w stanie wiele wyjaśnić ze złożonych stosunków w procesie gospodarowania społecznego.

Z tego spostrzeżenia wynika jeden z najpoważniejszych mankamentów teorii: pominięcie robotników oraz samorządów jako podmiotów gospodarczych. To uchybienie było następstwem systemu nakazowo-rozdzielczego, który uwzględniał jedynie stosunki między państwem i przedsiębiorstwem. Kolektywy nie miały nie do gadania. Ow ten brak zainteresowań nie pozwala więc teoretykom objaśnić należycie istoty relacji zachodzących między poszczególnymi podmiotami gospodarczymi, a zwłaszcza wytłumaczyć sprzeczności między nimi występujących.

Dotychczasowa teoria nie dostarcza wiedzy pozwalającej na właściwe rozumowanie stadiów rozwoju gospodarstwa socjalistycznej o-

raz odpowiadających im modeli gospodarowania.

Wychodząc z powyższych rozważań prof. Mieszczańkowski uznaje, że przypisane do poszczególnych etapów rozwoju gospodarki socjalistycznej modele gospodarowania — nakazowy i parametryczny — są zbyt proste i nieadekwatne. Niedoskonałość metody parametrycznej na etapie obecnego rozwoju sił wytwórczych zmusiła do opracowania modelu łączącego zasady gospodarki planowej z instrumentami rynkowymi.

Pochodną opisanych tu niedoskonałości jest brak sformułowania prawideł rządzących gospodarką i jej rozwojem. Nie wiadomo właściwie, na czym polegają prawa specyficzne dla socjalistycznej gospodarki. Tłumaczy to bezradność teorii próbującej charakteryzować zjawiska ekonomiczne. Zdaniem prof. Mieszczańkowskiego ekonomia nie dostarczyła politykom wspartych na solidnych podstawach wskazówek, które mogłyby

nie należących do grona fachowców, ma wartość przede wszystkim użytecznej wiedzy dostarczającej wskazówek i instrumentów służących efektywnemu gospodarowaniu. Opisywanie prawideł rządzących gospodarkami z okresu wspólnoty plemiennych, niewolnictwa i feudalizmu ma bardzo piękny walor poznawczy, ale w niczym nie wpływa na świat, w którym żyje Kowalski. Ciekawe, że ktoś do tej pory nikt nie poddał druzgocącej krytyce opisu owych odległych formacji, co może wywołać przekonania, że ekonomia polityczna lepiej sobie radzi z przeszłością niż z teraźniejszością, a już zupełnie jest bezradna w przewidywaniu przyszłości.

Niektórzy czytelnicy zadają sobie w tym miejscu pytanie, jakie znaczenie dla ogółu, pomijając teoretyków i polityków, ma uświadomiona słabość teorii ekonomicznej i dlaczego zaprzatamy tym uwagę ludziom sięgającym po reklamowy numer świąteczny „Pol-

stwem obciążać za nasze gospodarcze niepowodzenia wyłącznie teoretyków, którzy nie dość się starali by opracować spójną i sprawdzalną w praktyce teorię ekonomiczną. Ekonomia nie jest bowiem ani matematyką, ani fizyką, lecz nauką społeczną, której weryfikacja odbywa się na innych zasadach. Uczciwie będzie powiedzieć, że mimo wszystkich ograniczeń ekonomia dostarcza sporą wiedzę tym, którzy chcą ją respektować. Zbyt wielu było polityków i działaczy gospodarczych, którzy nie przyjmowali do wiadomości prostych prawd i za to nie można obciążać winą ekonomistów.

Jednakże w wytyczaniu dróg gospodarczego rozwoju mają swój udział ci, którzy uznawali domysły za prawdy absolutne, a pobożne życzenia brali za pewniki. Dogmatyzm nie służy rozwojowi żadnej nauki.

Istota ekonomii, zakres jej możliwości, użyteczność i związki z innymi naukami były i są przedmiotem rozważań najwybitniejszych uczonych po tej i drugiej stronie granicy dzielącej obie formacje ustrojowe. Świadomość jej ograniczeń i niedostatków jest dość powszechna. Uważa się na przykład, że ekonomia nie uzbudowała świata zachodniego w narzędzia, zdolne dostarczyć informacji o zmianach mających miejsce w gospodarstwach kapitalistycznych. Nie przewidziała żadnego z kryzysów ujawniających się po ostatniej wojnie, nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jak długo potrwa recesja, a także jakie przedsięwzięć kroki, by skutecznie rozwiązać wiele niekorzystnych zjawisk. Recesja, bezrobocie, inflacja, słabość państwa opiekuńczego, przepaść dzieląca rozwinięte kraje kapitalistyczne od krajów zacofanych, zadłużenie wielu państw grożące zniszczeniem światowego systemu finansowego — to najgłośniejsze tylko problemy, wobec których ekonomia jest bezradna.

Czym jest więc ekonomia?

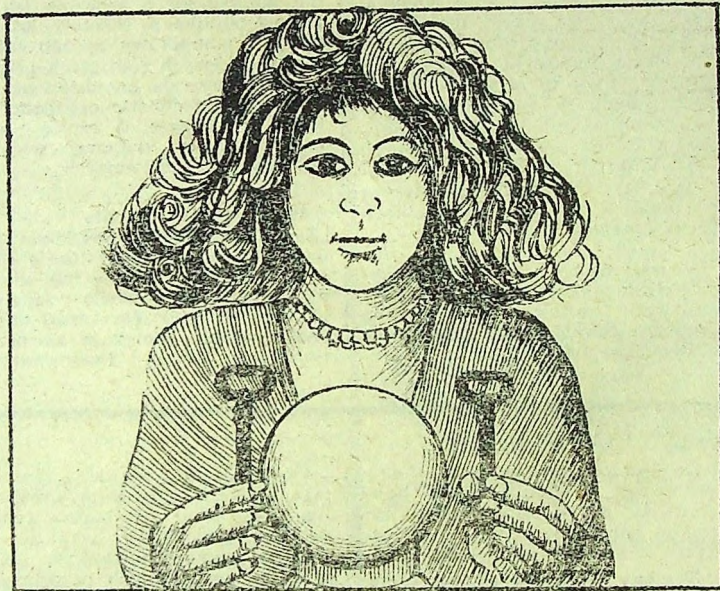
Według wybitnego uczonego Roberta L. Heilbronnera, profesora New School for Social Research w Nowym Jorku, największy urok ekonomii polega na zdumiewających zdolnościach tej dyscypliny do wyjaśniania problemu zmian historycznych i społecznych w wielkiej skali. Granice użyteczności ekonomii polegają na tym, że może ona trafnie objaśnić konstrukcję gospodarki, ale nie można na niej polegać, gdy chcemy wiedzieć, które z części składowych owej gospodarki zostaną uruchomione odpowiednimi bodźcami ekonomicznymi. „W efekcie ekonomia buduje swe przewidywania tak, jak gdyby bodźce i ograniczenia rynkowe były jedynymi siłami wkraczającymi w działalność ludzi, pomijając całkowite społeczne, polityczne i psychologiczne aspekty działania ekonomicznego” — pisze Heilbronner. Ekonomia utraciła wiele ze swej ubiegłowiecznej pewności siebie. Zbudowanie możliwego do przyjęcia modelu zmian społecznych jest dziś znacznie trudniejsze niż w prostszych warunkach ubiegłego stulecia. Jednakże nie można z tych wysiłków zrezygnować.

W opinii Franka H. Knighta, uczonego amerykańskiego zajmującego się chemią, literaturą niemiecką, ekonomią i filozofią, ekonomia jest wielce abstrakcyjną nauką, podobną do geometrii lub do matematycznej mechaniki. Jej dane są jednak znacznie bardziej intuicyjne niż w naukach ścisłych.

Przypisywanie więc ekonomii czarodziejskich właściwości w porządkowaniu i ulepszaniu naszego świata musi prowadzić do rozczarowań. Tak jak wskazując do tramwaju dobrze wiedzieć, czego się chwycić, pożyteczną bywa świadomość, czego można oczekiwać od ekonomii, a czego ona nie jest w stanie dostarczyć.

Smutek ekonomii

STANISŁAW JABŁONSKI



naprowadzić centrum na właściwą drogę postępowania. Uchwycenie zaś prawidłowości rządzących gospodarką jest trudne na obecnym poziomie jej rozwoju.

Zrozumiałe, że owe niedostatki wpłynęły na niezadowalające opracowanie teorii podstawowych zjawisk i kategorii ekonomicznych, a zwłaszcza cen, płac, zysku czy inwestycji. Nie całkiem wykręte są prawidłowości kształtowania cen, ich obiektywnych tendencji, roli czynników subiektywnego. Dopiero obecnie, w dobie reformowania gospodarki, teoretycy próbują analizować mechanizm funkcjonowania gospodarki, aby zdobyć o nią większą wiedzę.

Zdawałoby się, że teza o wszechwładzy centrum potrafiącego skutecznie wpływać na rozwój gospodarki. Zamierzania i decyzje są uzależnione od obiektywnych procesów gospodarczych, nieprzewidywalnych czynników społecznych. Jednym słowem dobre chęci nie wystarczą. Teoria nie zajmowała się dotychczas ani badaniem struktury gospodarki ani opracowaniem naukowej analizy porównawczej socjalizmu i kapitalizmu.

Bez względu na to, czy zastrzeżenia prof. Mieszczańkowskiego podziela masowo inni ekonomiści (są już przykłady, że nie negując rozlicznych wad i luk teorii polemizują wytknięli autorowi także niemało błędów), wywoły te ujawniają słabość nauki wobec praktycznych i całkiem konkretnych wyzwań współczesności. Ekonomia bowiem dla wielu ludzi,

skiej Miedzi”. Wbrew pozorom jest to ważne dla nas wszystkich.

Nie jest bowiem tajemnicą, że w przeszłości ekonomiści, politycy i praktycy gospodarczy korzystający ze wskazań teorii popełnili rozliczne błędy w planowaniu kierunków rozwoju gospodarczego, kształtowaniu struktury gospodarczej, relacji między akumulacją i konsumpcją, w konstruowaniu technik zarządzania i mechanizmów chłonących postęp techniczny. Traktowali niezwykle prymitywnie procesy rynkowe, ignorując mechanizmy rynkowe. Jednym z najcięższych błędów było rozwijanie gospodarki nie patrząc na koszty i nieodwracalne szkody. Ochrona środowiska pojawiła się w ślad za alarmami podniesionymi w krajach zachodnich. Tamtejsi uczeni dostrzegli pierwszy potrzebę zharmonizowania cywilizacyjnych — w tym głównie gospodarczych — działań człowieka z przyrodą. Po to, by uchronić nasz świat przed zagładą.

Wielu z tych błędów można było uniknąć, gdyby teoria ekonomii socjalizmu była lepiej rozwinięta.

Jej niedostatki wpłynęły też na niepewność i doraźny eksperymentalny charakter niektórych rozwiązań obecnej reformy gospodarczej. Niewykluczone, że porażki poniesione w pierwszych latach przeprowadzania reformy byłyby mniej dotkliwe w sytuacji, gdyby ekonomiści wiedzieli, jakie dzwignie pociągnąć, aby osiągnąć zamierzone rezultaty.

Byłoby prawdziwym omarzaniem

Choinkowe cacka

WIESŁAW PIOTRKOWSKI

Łatwo ją stłuc. Nie obrazi się, ale rozsypie na tysiąc drobnych szkiełek i już nie będzie bombką. Na zielonej gałązce choinki jednego świecidelka będzie mniej.

Na bombki zwracamy uwagę raz w roku, kiedy wiszą na choince, kiedy pojawiają się w wielu sklepach, często nie mających nic wspólnego z branżą zabawkarską czy zdobniczą. Przez pozostałą część roku pudełka z kolorowymi bombkami leżą na półkach magazynów i zbierają pył. Nikogo wówczas nie cieszą, nikogo nie nęcą. Nawet dzieci nie zwracają na nie uwagi.

Wszystko to jest normalne i tak być powinno. Jest jednak jedno miejsce, gdzie ten naturalny porządek zostaje zakłócony. W Spółdzielni Pracy „Vitrum” w Złotoryi zainteresowanie bombkami trwa przez cały rok na okrągło. Dzieje się tak już od 30 lat, tj. od czasu, kiedy spółdzielnia podjęła produkcję ozdób choinkowych. Dzis pracuje tu 420 osób, w 85 proc. kobiety, a spółdzielnia produkuje nie tylko bombki, ale i organizuje pracę nakiadczą chałupniczek, a ponadto produkuje regulatory obrotów do maszyn szycących oraz styczniki elektryczne. Wszystko to jednak schodzi na drugi plan, kiedy przychodzi czas świąt Bożego Narodzenia, a do spółdzielni przychodzą zamówienia na bombki.

Aż nie chce się wierzyć, że z długich, cienkich rurek, wykonanych ze szkła sodowego, powstają delikatne cacka choinkowe. Na



wydziale dmuchania pracują same kobiety. One właśnie jako pierwsze obrabiają szkło — rozgrzewają, dmuchają i nadają kształt przyszłym bombkom przy pomocy specjalnych form. Dzięki tym formom możliwe jest powielanie jednakowych kształtów. Tylko szpic choinkowe są dmuchane bez użycia form — na wycucie i doświadczenie „dmuchaczki”. Jak wydmucha 65 szpiców, to osiągnięta jest dzienna norma. Nie dziwnego, że pracujące w akordzie „dmuchaczki” nie mają czasu na pogawędkę. Na hali słychać tylko szczerzenie palników gazowych, służących do podgrzewania szklanych rurek.

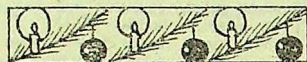
Nadmuchane bombki, które jeszcze właściwie nie są bombkami, ale przezroczystymi bańkami z cienutkiego szkła, przenoszone są w wielkich plastikowych skrzyniach na wydział srebrzalni. W jednej skrzyni jest ich kilkaset i aż trudno sobie wyobrazić — czemu się nie tłuką, skoro są tak delikatne.

Srebrzenie bombek jest niezbędne. Gdyby je malować tylko po zewnętrznej stronie, to nie przetrwałyby przezroczyste. Dzięki posrebrzeniu sprawiają wrażenie zrobionych z niewiadomo czego. Bo czy szkło może być jednocześnie delikatne jak bańka mydlana i kolorowe jak tęczą? Może, bo właśnie bombki choinkowe takie są.

Krystyna Ancan — pracownica srebrzalni — wlewa do środka bombki roztwór srebrzący, potem bierze po kilka z nich do obu rąk i zagurza je w wannie z gorącą wodą, zatykając otwory, żeby roztwór nie rozlał się w wannie. Dzięki temu cały szpic czy bomb-

ka są posrebrzone od środka. W roztworze srebrzącym jest amoniak, stąd na hali ostry, drażniący nozdrza zapach.

Po srebrzeniu te jeszcze niebombki są myte, żeby farba mogła dobrze chwycić. Bo ostatecznie srebrzenia przechodzą do malowania. Odbija się ono przez zanurzenie w wiadrze z lakierem. Pracująca tu osoba, po zanurzeniu bombek w wiadrze nadziewa je na gwoździe w tunelu-suszarni i przesuwa dźwignię popychającą do przodu drążki z gwoździami i kwitacjami na nich bombkami. Z



drugiej strony tunelu na potakierowane bombki czeka inna pracownica, która je obeina i pakuje do pudełek. Bombki w tunelu schną dzięki żarówkom dającym dużo ciepła. Taki oświetlony tunel z bombkami jest szczególnie miłym tematem dla fotoreportera — Jurka Kosińskiego, który kilka klatek filmu poświęca tunelowi.

Teraz dopiero bombki zapakowane w tekturowych pudełkach, wędrują do dekoratorów — tak się nazywa duża hala pełna kobiet, które dodając do bombek różne ozdoby, czynią z nich istne cacka.

Joanna Dąbrowska najpierw nakłada pędzelkiem ciekłą warstwę kleju na bombki, potem już sprawa jest prosta — wystarczy obtoczyć je w brokacie i w miejscu, gdzie był klej pojawiają się błyszczące paski brokatu. Ozdoba ma też swoją ozdobę.

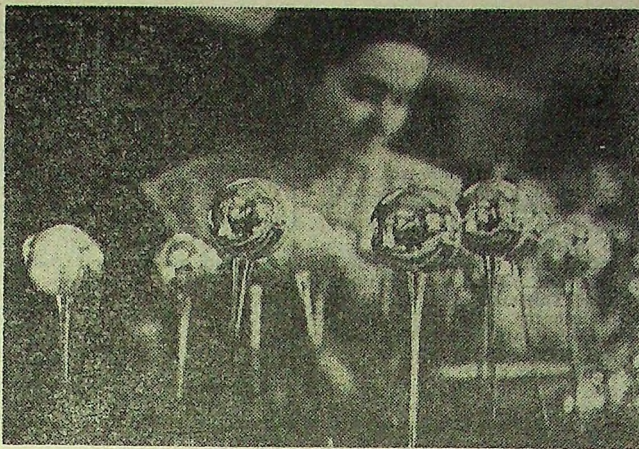
Zdarzają się tu czasem jakieś pomyłki. Tadeusz Brzozowski — prezes ds. technicznych w złotoryjskiej spółdzielni — zapewnia, że wszystkie nieudane bombki są wyrzucane do kosza. Odzyskuje się z nich srebro.

Pozostałe — dobre i błyszczące bombki — wędrują do mniejszych i większych pudełek tekturowych, które łączy się po kilka i ustawia w dużych stosach. Aż 3/4 spośród całej bombkowej produkcji „Vitrum” trafi w tym roku do Holandii. Reszta zostanie w kraju, głównie w województwie legnickim.

Spółdzielnia „Vitrum” ma tylko jeden automat do produkcji bombek. Obsługiwany jest przez 3 osoby a zastępuje pracę 10–15 „dmuchaczek”, w zależności od asortymentu, tj. od kształtu bombek. „Vitrum” wyprodukuje w tym roku 1,2 mln bombek „automatycznych” i 1,6 mln „ręcznych” oraz ok. 50 tys. szpiców choinkowych. W sklepach ich nie zabra-



knie — jak co roku zresztą. A jednak — na dobrą sprawę — cały ten bombkowy interes nie przynosi zysku spółdzielni. Robią bombki na eksport, żeby zarobić na maszyny do produkcji bombek. W ten sposób będzie można wyeliminować dotychczasowy, przestarzały system produkcji bombek. Bedzie ich więc i będą tańsze (jeśli nie bierzemy pod uwagę inflacji). Znikną wówczas ręcznie malowane bombki. Czy zwrócimy na to uwagę?



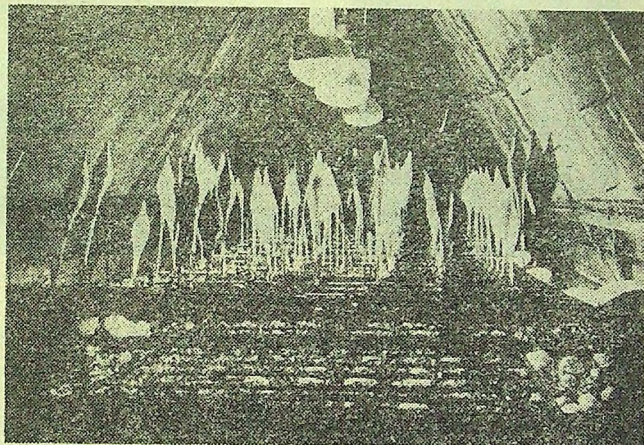
Tę „nogę” się utnie.



Ręczne srebrzenie bombek.



Dmuchiwanie bombek.



Bombki suszą się w tunelu.

Fot. J. Kosiński



SADURSKI.



Literatura i pomysły scenarzystów filmowych pozwalają nam przenieść się w odległą przeszłość. W tych przypadkach oglądamy obrazy będące wytworem fantazji autorów. Po stokroć ciekawsze są prawdziwe wycieczki w głąb minionego czasu.

Wsiadłem więc któregoś dnia w samochód i po niedługiej podróży znalazłem się w miejscu, które już tysiąc lat temu nie było pustkowiem. Wehikuł czasu cofnął mnie o dziesięć wieków. Tak, tak... Jeśli wierzyć starszemu Thietmarowi, biskupowi z Merseburga, autorowi cennej dla nas kroniki, w pewnej okolicy nad Nysą Szaloną istniało osiedle zaludnione przez słowiańskie plemię. W pobliżu tej osady zwanej Starym Jaworem wybudowano miasto Jawor, które swe prawa

by Śląsk rozkwitał gospodarczy i jednocześnie doznając okrutnych ciosów podczas wojen i rozruchów. W XIII i XIV w. Jawor był stolicą samodzielnego państwa rządzonego przez książąt piastowskich.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rozdrobnienie Śląska było następstwem nie tylko rozbięcia dzielnicowego, zapoczątkowanego po zgonie Bolesława Krzywoustego, ale też konsekwencją procesu historycznego, mającego olbrzymi wówczas zasięg. W XII i XIII w. modą była w całej Europie decentralizacja władzy. Rozmaite księstwa, miasta i marchie urządziły się na własną rękę wybierając niezależność od podległości temu czy innemu cesarzowi. Śląsk w węższym testamencie królewskim przysięgi synowi Bolesława Krzywoustego

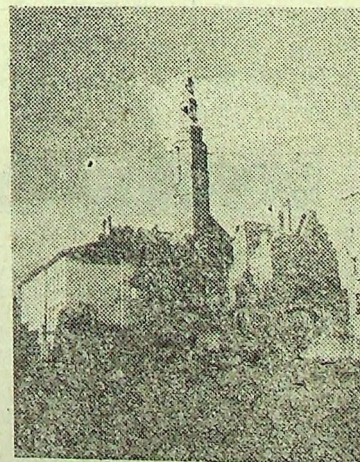
wreszcie: „Partykularny, ciasny interes zasłania wszystko”.

Król czeski Jan Luksemburski podporządkował sobie wiele śląskich księstw. Nie wszyscy jednak książęta ulegali obcym wpływom. Marsz wojsk czeskich i krzyżackich w 1331 r. został właśnie powstrzymany przez wojska książąt śląskich w Niemczy i Głogowie. Próby przyłączenia Śląska do Polski spełziły na niczym. W XIV w. król Kazimierz Wielki rzekł się praw do Śląska. Kraina ta przeszła pod panowanie Habsburgów. Już wcześniej zaczęli napływać tu Niemcy, napór germański był jednak słabszy niż na Pomorzu.

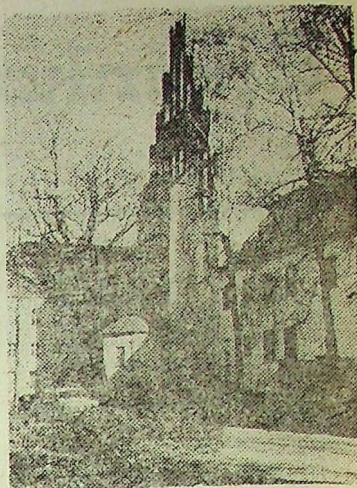
Jawor nierozłącznie związany z losami całego Śląska rozwijał się z początku bujnie, w czym dopomagało mu położenie na skrzyżowaniu ważnych szlaków handlowych między Dreznem i Wrocławiem oraz między Legnicą i Czechami. Handlowano płodami rolnymi, bydłem i wełną. Pobudowano młyny kramy mięsne szpital miejski łaźnię. W 1373 r. powstał cech sukienników. Ten okres świetności przerwała zawierucha dziejowa — wojny husyckie. Przyniosły one ogromne spustoszenia. Miasto dźwignęło się ze zniszczeń dopiero w XVI w. stając się głównym ośrodkiem produkcji lnu na Dolnym Śląsku. Odbływały się tu dwa targi tygodniowo i trzy jarmarki roczne. Wyroby lniane sprzedawano do różnych krajów Europy Afryki i Ameryki. Miasto sprawiło sobie drugi solidny pierścień murów obronnych, wybudowano też kamienny most na Nysie. Mury nie zapobiegły epidemii, gród został też mocno zniszczony pożarami. W trakcie wojny 30-letniej (1618—1648) w mieście stacjonował garnizon szwedzki. Napadł nań dowódca cesarski płk Villam. Zdobył miasto, a przy okazji podpalił je w kilkunastu miejscach. Ocalał tylko ratusz, klasztor, dwa kościoły i kilka domów. Ludność zmalała do 150 osób. Ostateczny upadek grodu spowodowały wojny śląskie i podboje Napoleona. U schyłku XIX w. pożar zniszczył zabytkową część Jawora.

Ta burzliwa i nie sprzyjająca zachowaniu pamiątek przeszłości historia powinna — zdawałoby się — pogodzić miasto z zabytków. Miary zniszczeń dopełniły przecież działania wojenne 1945 r. Jednakże przechadzając się ulicami miasta odnosi się wrażenie, że jest w nim coś ze starego średniowiecznego grodu. Sprawiają to wąskie uliczki z kamieniczkami okalającymi rynek z imponującym ratuszem i przylutonymi doń sukiennicami, w których mieści się obecnie ośrodek kultury robotniczej.

Trzeba przyznać, że włożono wiele wysiłku by jaworski rynek stał się wizytówką miasta. Ratusz z wysoką XIV-wieczną wieżą jest wielce zadbanej kamieniczki z podcieniami zbudowano



Najbardziej okazałym zabytkiem Jawora jest ratusz z XIV-wieczną wieżą.



Odrestaurowany kościół i klasztor pofranciszkański.
Fot. St. Jabłoński

na wzór starych budowli, które tu stały przed 1945 r. Powierzchnię rynku wyłożono kamiennymi płytami, ozdobiono kwiatami.

O przeszłości mówią fragmenty starych murów obronnych, wieże i basteje. Zbudowany w XIV w. i przebudowywany w latach późniejszych kościół św. Marcina jest oryginalną kamienną budowlą gotycką, zawierającą elementy renesansowe (portal, stalle w prezbiterium, płaskorzeźba i chrzcielnica) oraz barokowe wnętrza. Są tu obrazy malarza śląskiego baroku Michaela Leopolda Wilimana. Ciekawym obiektem jest Kościół Pokoju, należący niegdyś do gminy protestanckiej. Wnętrze mieści cztery piętra empor czyli galerii wspartych na filarach. Dzięki temu może pomieścić kilka tysięcy wiernych. Również na uwagę zasługują kościół i klasztor pofranciszkański, po części odrestaurowane na potrzeby muzeum regionalnego.

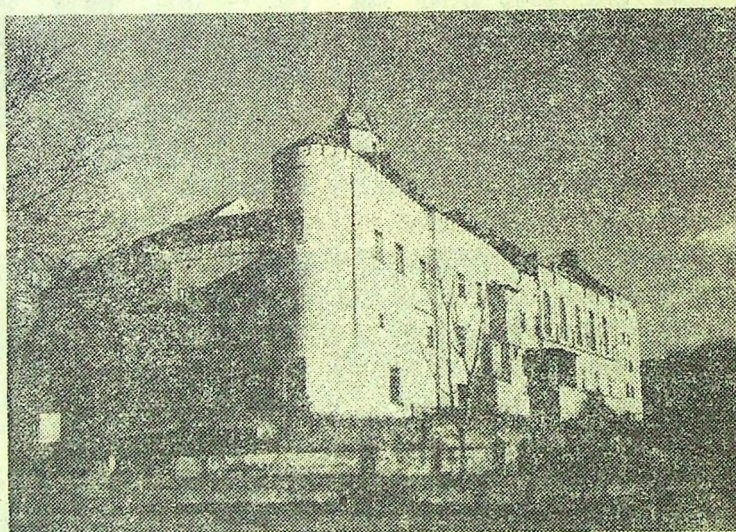
Nie ukrywam, że zabytkiem, który upatrzyłem sobie najbardziej planując podróż do Jawora był stary zamek książęcy Wzniesiony w połowie XIII w. był z początku siedzibą księcia Bernarda. W budowlę murowaną przeobraził go Bolko I świdnicko-jaworski; mieszkali tu książęta piastowscy aż do czasów gdy linia ta wymarła. Zamek przeszedł na własność królów czeskich i w końcu Habsburgów. Jako ciekawostkę można podać, że dwukrotnie przebywała tu królowa Marysieńka Sobieska. Przebudowany niszczony i restaurowany utracił wiele z dawnej świetności. W XVIII w. przestał być rezydencją i został przekształcony w zakład dla umysłowo chorych. Z czasem Prusacy zamienili go w więzienie, która to funkcję pełnił zamek do 1945 r. Za czasów hitlerowskich przetrzymywano tu i męczono francuskie więźniarki.

Jest to posępna, zwalista budowla, ustawiona na skarpie, u podnóża której płynie rzeczka. Wygląd ma zaniedbany, choć część jego pomieszczeń jest wykorzystywana na biura i magazyny. Z ponurego podwórka wiodą drzwi do wnętrza, gdzie mają swoje siedziby orkiestra, muzyczne TPD, ZHP i składy WRHW. Wokół roztacza się nieprzyjemny zapach; widać pobliską piłnią piwa nie dysonansu zbył wygodna ubikacja. Nie ma jakos szczęścia siedzieć dawnych Piastów śląskich, gdyż część z nich znajduje się w stanie godnym ubolewania. Trudno jednak o wygląd zamku mieć pretensje do gospodarzy Jawora, gdyż koszt restauracji budowli byłby zapewne olbrzymi.

Wycieczka w przeszłość ma swoje przyjemne i mniej radosne strony. Potwierdzając że los ludzki i grodów są zmienne, a dni pełne blasku przeplatają się z pochmurnymi. Obecne czasy są dla Jawora pomyślne, dla zamku zaś nader smętne...

Wycieczka w przeszłość

STANISŁAW JABŁOŃSKI



Zamek książęcy w Jaworze jest posępną budowlą, choć prezentuje się ciekawie w zimowym słońcu.

miejskie otrzymało ok. 1242 r. Nazwa ta została wymieniona po raz pierwszy w dokumencie klasztoru lubińskiego z 1242 r. Wspomina też o niej piętnastowieczny geograf Śląska Bolesław Stenus: „...ongis Polacy posiadali cały Śląsk, oprócz języka polskiego (...) dowodzą tego stare nazwy miast jak Brzeg, albo Strzegom, a także Jawor”.

Skąd wzięła się nazwa Jawor? Zapewne musiały tu rosnąć jawory i rosły od dawna, gdyż przed Stenusem nazwę miasta wymieniali różne dokumenty z XIII w. Jak pisze prof. Stanisław Rospond w „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” drzewo jaworowe było podówczas wysoko cenione i dzięki temu dość często występowało w nazewnictwie. Rzeczywiście, jest to piękne rozłożyste drzewo z gatunku klonów, dające deski o jasnym odcieniu z wyraźnym dekoracyjnym rysunkiem słojów. Polska nazwa jaworu jest wymieniana w XIII-wiecznej „Księdze Henrykowskiej”, zawierającej pierwsze zdanie w naszym rodzimym języku wśród zabytków ówczesnego piśmiennictwa. Dziś słowo jawor i jego pochodne występują w 150 nazwach miejscowości.

Od chwili swojego powstania miasto przechodziło zmienne koleje losu przeżywać tak jak ca-

Władysławowi II, Dzierżąc ponadto Małopolskę był princepsiem, co nie wzbudzało zachwytu w braciach Bolesław Kędzierzawy przegnał go do Niemiec, wypędził też jego synów ze Śląska. Wrociął dzięki poparciu cesarza dając początek rodom rządzącym trzema śląskimi krainami — wrocławską, raciborską i głogowską. Dalsze podziały były już tylko kwestią czasu. W początkach XIV w. Było tu już 17 księstw.

Mimo licznych związków z Polską Śląsk coraz bardziej skłaniał się ku Czechom. Książęta najchętniej nie podlegaliby nikomu, ale nie będąc w stanie utrzymać swej niezależności decydowali się złożyć hołd temu, kto był silniejszy. Polska będąca w tarapatkach nie dawała gwarancji, że potrafi zapewnić bezpieczeństwo księstwom.

„Jakie czynniki wyznaczały kierunek dążeń feudałów śląskich?” — pisał prof. Ewa Maleczyńska w „Historii Śląska” — „Pierwszym, najczęściej decydującym był własny, doraźny interes materialny zabezpieczenia i zaokrąglenia własnych dzierżaw, zaopatrzenia dzieci, słowem, pogoni za ziemią, a nawet w wielu wypadkach za gotowizną, choćby w zamian za te czy inne prawa do ziemi. Ta sprężyna góruje nad wszystkimi i jest wszystkim wspólna: polskim Piastom, czeskim Przemysłodm czy Podiebrzdom, Sasom i czy Brandenburczykom. Węgrom



Tadeusz Ślodyczka przy pracy.
Fot. J. Kosinski

Ciekawe czy państwo odgadnięcie, jakie środowisko twórcze Lubina znane jest najbardziej w Polsce i ma do odnotowania osiągnięcia liczące się w skali międzynarodowej? Zapewne wiele osób wskazuje na plastyków lubińskich: Hannę Jelonek i Andrzeja Owczarkę, których prace zdobywały nagrody i wyróżnienia na wystawach w różnych europejskich krajach. Ale okazuje się, że jeszcze znaczniejsze sukcesy odnoszą nasi lutnicy. Aby się o tym przekonać wystarczy zapoznać się z wynikami najbardziej liczących się w świecie konkursów lutniczych czy też treścią czasopism muzycznych, zarówno w języku polskim, jak i obcych. Od trzech lat przewijają się tam coraz częściej nazwiska lutników z Lubina — Tadeusza Ślodyczki, Jerzego Piórki, Tadeusza Jasiurkowskiego.

Oczywiście przeciętny czytelnik nie ma na co dzień dostępu do werdyktów jury czy specjalistycznych wydawnictw, przynajmniej zatem tylko najbardziej znaczące wydarzenia, ze świata lutników, w których swój udział zaznaczyli wyraźnie lubinianie. Oto w **Krajowym Konkursie im. Zdzisława Szulca w Poznaniu** — na budowę altówki i skrzypiec dziecięcych 1/2,



odbył w 1984 r., nasi lutnicy nabierali wiele nagród, wyróżnień i pochwał, choć przecież do faworytów wówczas nie należeli. Jako że byli dopiero co świeżo upieczonymi członkami Związku Polskich Artystów Lutników. Wystarczy powiedzieć, iż Tadeusz Ślodyczko zdobył III nagrodę oraz dwie — IV nagrody, no a przewodniczący jury dr Kamiński za uważył, że „nie uczestniczyłem jeszcze w konkursie, w którym laureat zdobyłby aż 3 nagrody”. A do tego jeszcze dodajmy, że Jerzy Piórko zamkasował IV nagrodę i dwa wyróżnienia. Triumf lubinian był absolutny. 4 nagrody na 6 możliwych pojechały do stolicy polskiej miedzi. Środowisko lutników i muzyków było tym ogromnie zaskoczone.

Następny rok przyniósł lutnikom z Lubina również duże sukcesy. Powodzeniem zakończył się ich start w Konkursie im. O. Nedbala w Hradec Kralowe w Czechosłowacji — na budowę altówki. Wśród 11 polskich instrumentów, które weszły do II etapu aż 5 było z Lubina, a Jerzy Piórko zajął tam V miejsce.

Dobrze zaprezentowali się na IV Konkursie Lutniczym im. A. Stradivariusza w Cremonie — na budowę skrzypiec, altówki i wiolonczeli, na który nadesłano z całego świata ponad 300 instrumentów. Do II etapu dotarły tylko 4 polskie instrumenty, w tym 3 z Lubina: J. Piórki, T. Jasiurkow-

skiego i T. Ślodyczki. I wszystkie znalazły się w katalogu stu najlepszych instrumentów, który jest rozsyłany do najbardziej liczących się w świecie placówek kulturalnych i muzycznych.

Jednakże wśród lutników całego świata największą renomą cieszy się **Międzynarodowy Konkurs im. H. Wieniawskiego w Poznaniu**. I bynajmniej nie dlatego, iż jest to najstarszy konkurs w świecie, lecz z uwagi na jego obiektywizm, jako że w jury zasiadają najwybitniejsi muzycy i lutnicy z różnych krajów. Nie tylko nagroda, ale nawet zakwalifikowanie się do finału tego konkursu nobilituje. W 1986 r. nadesłano nań 166 skrzypiec z 17 krajów, z których do finału dostało się zaledwie 20 instrumentów: 6 — polskich, 5 — z Włoch, 5 — z Japonii, 2 — z RFN i po jednym z Portugalii i ZSRR.

Wśród 6 instrumentów z Polski, 3 były dziełem lutników z Lubina. Ale na tym nie koniec wielkiego sukcesu lubinian. Ostatecznie skrzypce J. Piórki uplasowały się

sprawą lubinianki, którą poślubił. Za moją namową przyjechali też trzej koledzy, a z własnej inicjatywy jeszcze dwie koleżanki. No i tak z jednej klasy było nas sześć osób. A wcześniej zaczęło się trzech starszych kolegów. Pracowaliśmy na stanowiskach, gdzie wymagało się większych umiejęt-



ności, a więc przy budowie wiolonczel, kontrabasów oraz gitar klasycznych. Dziewczyny natomiast rzeźbiły ślimaki do skrzypiec. Z biegiem czasu przyszły awanse, ja nawet zostałem mistrzem na oddziale lutniczym, na którym pracowałem 8 lat. Ale nasze umiejętności nie były w pełni wykorzystane. Toteż postanowiliśmy zacząć się budować instrumentów o wyższych walorach użytkowych, lecz na własną rękę, bo dyrekcję to nie bardzo interesowało. Stwierdziliśmy, że nabyta w szkole wie-

Lubińscy lutnicy

JAN SZARUK

na III i XIX miejscu, a Tadeusza Ślodyczki — na IX.

Takie rezultaty nie mogły nie zostać zauważone przez ludzi zajmujących się życiem muzycznym. O lutnikach z krainy miedzi, którzy wdarli się przebojem do polskiej i światowej czołówki, przeczytać można było nie tylko w wydawanym w naszym kraju miesięczniku „Ruch Muzyczny”, ale także w czasopiśmie muzycznym CSRS pt. „Hudební nástroje” nr 1/83. Na kolumnie poświęconej wiadomościom ze świata pisze się, że „W Lubinie powstał silny ośrodek lutniczy, bo dotąd znany był tylko Poznań”. Dalej stwierdza się tam, iż stało się to za sprawą takich ludzi, jak Jerzy Piórko i Tadeusz Ślodyczka, którzy bardzo udanie wystąpili w konkursie w Hradec Kralowe.

Z biuletynu Związku Polskich Artystów Lutników dowiedzieliśmy się, że od jakiegoś czasu lutnictwo przeżywa swój renesans, iż w tej chwili w świecie liczą się Japonia, Włochy i Polska. A w naszym kraju, największymi ośrodkami są Poznań, Zakopane, Nowy Targ i... ostatnio Lubin, który zalicza się do najprężniejszych.

Dlaczego właśnie Lubin? Stwierdzenie, że tu znajduje się Dońskiego Fabryka Instrumentów Lutniczych wszystkiego nie wyjaśnia, choć jakiś związek pośredni istnieje. Przecież fabryka ta liczy już sobie około 40 lat, ale dopiero od niedawna Lubin w lutnictwie zaczął się liczyć. Co zdecydowało, iż dopiero teraz?

Pytam o to 32-letniego artystę lutnika Tadeusza Ślodyczkę, którego odwiedzam w pracowni mieszczącej się na strychu w 11 piętrowym bloku przy ulicy B. Szukowskiego 9 na osiedlu Ustronie, gdzie również „urzęduje” drugi z tuzów lubińskiego lutnictwa Jerzy Piórko.

— Pochodzę z Zakopanego, z samej Gubałówki. Każdy góról ma smykalkę do dubania w drewnie. Wybrałem Technikum Budowy Instrumentów Lutniczych w Nowym Targu. Z Lubinem zetknąłem się dzięki praktykom odbywanym w DFIL, ale zostałem tu na stałe za

dza nie była wystarczająca, trzeba było się uczyć sztuki lutniczej u doświadczonych mistrzów. Dlatego zacząłem spędzać urlopy w Zakopanem, praktykując u znanego lutnika Franciszka Marduly. Doskonaliłi swoje umiejętności też inni z „grupy nowotarskiej”, ale z różnych przyczyn zaczęli się zwalniać z DFIL-u. Odszedłem i ja w 1984 r. Dlaczego? Zbliżał się II Krajowy Konkurs Lutniczy im. Z. Szulca w Poznaniu. Czulem, że stać mnie na to, aby „powalczyć”. Ale żeby się dobrze przygotować potrzebowałem 4 miesięcy, aby oderwać się od innych spraw. Poprosiłem o bezpłatny urlop. Jednak szefowie nie przystali na to. Zwolniłem się sam. Zdecydowałem się na ten krok, choć wielu pracowników z fabryki doradzało mi, abym porzucił w ogóle lutnictwo i poszedł do kopalni. Wiem, że ryzykowałem bo w domu nie było za wiele odłożonego grosza ze skromnej pensyjki. Całymi godzinami siedzieliśmy z Jurkiem Piórko nad naszymi instrumentami na konkurs.

Wiemy już że obydwa lubińscy lutnicy zadebiutowali bardzo pomyślnie w poznańskim konkursie im. Z. Szulca. Pisaliśmy wyżej, że równie udane były ich starty w prestiżowych imprezach lutniczych, chociaż instrumenty robili w domach.

I właśnie stworzenie warsztatu pracy uznali za jedno z ważniejszych zadań, jakie przed sobą nakreślili. Dzięki zrozumieniu i przychylności Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego dostali małe pomieszczenie suszarni, które własnymi rękami zaadaptowali na pracownię lutniczą.

Jeszcze wcześniej i T. Ślodyczka i J. Piórko zostali przyjęci do Związku Polskich Artystów Lutników. Ich śladem zaczęli iść także inni. Od kilku lat należą do ZPAL ich koledzy Wojciech Bętkowski i Krzysztof Węgrzyn, którzy zostali wierni DFIL-owi. Członkiem związku jest również inny mieszkaniec Lubina Tadeusz Jasiurkowski. Do grona lubińskich artystów-lutników trzeba także zaliczyć wieloletniego pracownika DFIL-u Władysława Kure, przebywającego od jakiegoś czasu na rencie.

I tak oto w ciągu trzech lat powstało kilkusetosobowe środowisko lutnicze, które ma wszelkie szanse jeszcze bardziej się rozwinąć. Okazuje się bowiem, że sztuką lutniczą interesują się nie tylko ci, którzy byli związani z „grającą

fabryką” w naszym mieście. Pochłania ona także ludzi innych zawodów, w czym niemałą rolę odgrywa T. Ślodyczka wraz ze swoimi kolegami, którzy sporo czasu poświęcają przekazywaniu wiedzy o lutnictwie innym. Wszystko wskazuje na to, iż artysta lutnikiem zostanie nawet... inżynier górnik. Tym bakcyłem zaraził go wprawdzie inny lutnik, Krzysztof Mróz, ale nad szlifowaniem jego talentu pracował głównie duet Ślodyczka—Piórko. To właśnie pod ich okiem zbudował on troje skrzypiec, które przeszły przez komisję kwalifikacyjną i teraz czeka już tylko na decyzję zarządu ZPAL.

— No i widzi pan — śmieje się mój rozmówca — nikt z naszej grupy nie poszedł do kopalni, ale za to już niebawem górnik zostanie lutnikiem.

Czymże lutnictwo kusi tych ludzi? Wielką forszą? Urokami wojnego zawodu?

— Artysta lutnik — jak powiada T. Ślodyczka — nie ma łatwego życia, chociaż nie jest ono pozbawione swobodnego uroku. Można uzyskać dochody, jakie osiąga górnik, ciągnący szczyty i w wolne soboty. Ceny instrumentów muzycznych różnie się kształtują. Z skrzypce można wziąć od 40 do 110 tys. złotych, altówkę 40—120 tys., a wiolonczelę nawet i 250 tys. Należy jednak od razu dodać, że około połowy ceny instrumentu stanowi wartość materiałów, akcesoriów, strun oraz lakierów.

Jak każdy artysta, również i lutnik jest wolnym strzelcem i nie musi pędzić do zakładu, aby przed 7 rano podpisać listę obecności. Ale w tej dziedzinie wymagana jest wyjątkowa samodyscyplina, zaradność, przedsiębiorczość, nie mówiąc już o talencie, czułym uchu, sprawnej ręce i wrażliwej duszy. W pracowni lubińskich lutników na Ustroniu pracuje się od 10 do 22, z krótką przerwą na obiad.

— Budowa instrumentu „na biało” — mówi p. Ślodyczka — trwa około miesiąca. Później przychodzi długi okres lakierowania, sięgający również czterech tygodni. Czynności te muszą być wykonane w odpowiednim czasie. Sporo zachodu pochłania zdobycie materiałów. Na płytę spodnią, boczki i szyjkę



potrzebny jest jawor falisty, po który jeżdżą do znajomych na Podhalę. Płytę wierzchnią robi się ze świerku lub jodły o odpowiedniej twardości, drobnych, równo rozłożonych na całej szerokości słojkach. Takie właśnie drewno po wiatrolomach przywozilem. Z Hali Gąsienicowej. Jeszcze trudniej jest o dobre lakiery, które nie powinny ujemnie wpływać na brzmienie instrumentu. Nielatwo jest też o narzędzia, akcesoria. W ich zdobyciu pomaga związek, ale najczęściej trzeba je na własną rękę sprowadzać z zagranicy.

Trzeba mieć wielki szacunek i uznanie dla tych kilku młodych lutników, dzięki którym Lubin słynie już nie tylko z miedzi i I ligi w piłce nożnej. Nie biadoliłi na brak siły przebicia, jak czyni to wielu etatowców od kultury, nie domagali się od nikogo cieplarnianych warunków. Sami poszli przebojem i to na własny rachunek. Zaszli już wysoko. Jestem pewien, że zająd jeszcze wyżej.

W świecie żyje około 20 tys. gatunków ryb, w naszych wodach słodkich występuje ich tylko 45, w handlu pojawia się od czasu do czasu zaledwie kilka. Ale ta jedyna, która musi się znaleźć obowiązkowo na wigilijnym stole, jest karp. Zanim więc zasiadamy do wspólnej wieszery i ze smakiem zabierzemy się za karpia w galarecie czy smażonego, warto co nieco dowiedzieć się o tej świątecznej rybie.

A ma ona odległą, sięgającą zamierzchłych czasów, historię. Pierwotną ojczyznę dzikiego karpia, zwanego sasonem, było zlewisko Morza Czarnego, a zwłaszcza do-



rzecze Dunaju. Zresztą do dziś dziki karp zamieszkuje zlewiska Morza Czarnego, a także Kaspijskiego oraz Jeziora Ałaskiego.

Ale już w starożytności Grecy i Rzymianie, jak również Chińczycy hodowali go. Później umiejętności tej nauczyli się ludy Europy środkowej. W Polsce z hodowlą karpia spotykamy się już w XII wieku, co było efektem wpływów czeskich. Zasadniczą rolę odegrali w tym zakonicy, którzy przenosili na północ materiał hodowlany, aby zapewnić sobie stawę na okres postu.

Największy rozkwit gospodarki rybackiej na ziemiach polskich nastąpił w XVI wieku. Zakładano nowe stawy, a gospodarstwa rybne były otoczone specjalną troską dziedziców. Była to jakby zabawa, która dostarczała dużo przyjemności i urozmaicała monotonię pracy folwarcznej, a do tego przynosiła korzyści. Również szlachta zajmowała się stawami, uważając ten rodzaj pracy za szlachetniejszy. W 1573 r. ukazała się nawet książka Olbrycha Strumińskiego „O sprawie, sypaniu, wymierzeniu i rybieniu stawów”, instruująca dokładnie o tym, jak należy zakładać stawy, zarybiać je i spuszczać wodę.

Jednakże w późniejszych wiekach gospodarka hodowlana upadła, szczególnie w czasach rozbiór Polski zanika produkcja karpia, a wiele stawów uległo zniszczeniu. I dopiero po II wojnie światowej hodowlę karpia zaczęto odbudowywać. W najlepszych latach ryba ta była hodowana w 800 gospodarstwach, które dysponowały stawami o powierzchni 75 tys. ha. Na skutek zaniedbań uległa ona zmniejszeniu o 10 tys. ha. Karpie stanowią około 50 proc. rocznej produkcji ryb słodkowodnych.



Najslawniejsze hodowle karpia znajdują się w stawach doliny Baryczy w okolicy Milicza na Dolnym Śląsku. Zajmują one obszar ponad 8 tys. ha i należą do największych w Polsce i Europie. Działa tam Kombinat Rybacki, do którego należy zakład w Małej Rasowej, który prowadzi hodowlę karpia w podlubińskich stawach. To właśnie stąd trafiają ryby na nasze świąteczne stoły.

Ale żeby tak się stało, muszą się one przez trzy lata znajdować pod troskliwą opieką rybaków. Tak, tak — nie ma w tym stwierdzeniu krzyż przesady. Hodowla karpia jest swego rodzaju sztuką, a z jej tajemnicami zapozna nas pan Józef Olech — rybak z blisko 30-

-letnim stażem pracy, główny specjalista-ichtiolog z Zakładu Rybackiego z Małej Rasowej.

— Wiosną, gdy się wylęgają małe karpiki — larwy, daje się je na tzw. przesadki pierwsze, tj. do małego stawu, w którym na powierzchni 1 ha może przebywać 0,5 mln szt. Tam są one przez 3-4 tygodnie, po czym się je odławia i przenosi do większego stawu, czyli na tzw. przesadki drugie przy obsadzie 50-80 tys. szt. na jednym hektarze.

W drugim roku idą na stawy kroczkowe, gdzie obsada wynosi 20-25 tys. szt. na hektar. Dopiero w trzecim roku podrośnięte karpie są kierowane do stawów towarowych. Tu, w zależności od ich głębokości, może przebywać na hektarze powierzchni od 1 tys. do 2 tys. szt.

Pierwszą ważną rzeczą jest więc odpowiednie rozrzedzenie ryb w miarę ich rozwoju; bo jeśli by się tego nie zrobiło, to część by usnęła, a z części wyrosły dziwolągi z dużymi głowami, ale bez tuszy. Kto by takie stworzenie chciał widzieć na swoim stole?

Inna, równie istotna rzecz, to racjonalne karmienie. Niedobrze jest niedokarmić, źle przekarmić. A ile dać pokarmu, aby było w sam raz? Zależy to nie tylko od wieku ryby, ale i od temperatury wody. A co karpom najbardziej smakuje?

— Karmimy zbożem, głównie jęczmieniem i żytem. Można karmić też pszenicą i wtedy karpie ładnie rosną. Ale ona jest droga i szkoda dawać na karmę. Lubią także łubin oraz pszenżyto. Dawniej dawaliśmy również kukury-



dę, sorgo, ale ograniczenia importowe uderzyły nie tylko w ludzi, ale nawet ryby. Jedynie o wies im nie smakuje.

Trzeba jeszcze wiedzieć, jak i kiedy karmić najlepiej.

— W ciepłej wodzie karp pobiera dużo pokarmu i szybko go trawi. Wtedy jest najwyższy przyrost na wadze. Dlatego latem karmimy go codziennie. Najlepsze warunki występują przy temperaturze wody 25 stopni C. W innych porach jedzą mniej, a przyrosty są małe. A przy temperaturze poniżej 8 st. C karp przestaje żerować, splaya na dno i zapada w zimowe odrętwienie, w którym trwa od końca października do marca.

Zakarmianie odbywa się w specjalnych miejscach, punkty te na stawie są zaznaczone wysokimi kijami. Tam też codziennie rybacy sprawdzają, czy karma została wyżerowana. Bo jeśli nie, to rybom nie podaje się nowej porcji, dopóki nie zjedzą poprzedniej.

Aby uzyskać 1 kg przyrostu masy karpia, trzeba zużyć 5 kg paszy.

Rocznie w Rasowej Małej idzie około tysiąca ton karmy. Tyle jej trzeba, aby wyprodukować 400 ton karpia, amura, tolstoga.

Ryby hoduje się w 37 stawach, w tym 21 towarowych, o łącznej powierzchni 341 ha. Stawy podległe temu gospodarstwu rybackiemu — jak powiedział nam jego dyrektor mgr inż. Eugeniusz Szudrowicz — rozrzucone są na terenie pięciu gmin i dwóch województw. Hodowlą zajmuje się 12 rybaków, z których większość związana jest z zakładem od wielu lat. Najstarszy rybak, mistrz Jan Zima jest w Rasowej Małej od 30 lat, a wcześniej prowadził stawy hodowlane w Parowej. 25-letnim stażem w tym zakładzie legitymuje się mistrzowie rybak-



cy: Roman Darasz z Miłogostowic-Bieniowiec oraz Mirosław Komarnicki z Buczyńki.

Dzięki doświadczeniu takich właśnie ludzi, jak panowie Olech, Darasz, Komarnicki, Szudrowicz, Zakład Rybacki w Rasowej Małej osiąga bardzo dobre rezultaty w hodowli karpia.

Wystarczy powiedzieć, że w okresie ostatnich 20 lat przeciętnie z jednego hektara powierzchni stawów uzyskano 1000 kg ryby — podczas gdy w Polsce — 450 kg, w NRD i Czechosłowacji — 270 kg. W ub.r. złowiono 1200 kg, ale były lata jeszcze lepsze. Np. na jednym stawie w Buczyńce na początku lat 70 ustanowiono swój rekord świata, bo uzyskano tam 2700 kg, a w 1975 średnia w zakładzie wyniosła 1400 kg.



Mamy takie wysokie wydajności, a w Polsce, a zwłaszcza w Lublinie, karp stanowi rarytas, podczas gdy w Czechosłowacji czy w NRD od lipca w każdym sklepie można go kupić. Dlaczego tak się dzieje?

— Handlujemy — wyjaśnia E. Szudrowicz — tylko z Centralą Rybną we Wrocławiu i jej podhurtownią w Legnicy. Jesteśmy zainteresowani także kontaktami z każdą gminą spółdzielnią i PSS „Społem”. Moglibyśmy im dostarczać karpia przez cały sezon, a nie tylko przed świętami. Z 400 ton odłowionych ryb, 300 ton przeznaczamy na konsumpcję, z czego 30 ton pójdzie na eksport do RFN, a 100 ton — do produkcji własnej. Jest to mniej niż w ub.r., ale mamy poważne przekroczenia w materiale zarybieniowym i to rokuje dobre perspektywy na rok przyszły. Ale wątpię czy nasz rynek to odczuje, jeśli handel odnosić się będzie nadal do ryb tak jak pies do jeża.

Handlowcy nie kochają żywego karpia — włącza się do rozmowy J. Olech — podobno dlatego, iż... woda jest chlorowana. Otoż mogą tym panom powiedzieć, iż np. w Izraelu można kupić żywego karpia nawet w sklepach znajdujących się na terenach pustynnych, gdzie woda dowozi się z odległości 300-400 km.

A może im się to opłaca, a nam nie?

— My — dodaje p. Olech — sprzedajemy centrali karpie po 300 zł za kg, a od 1 XII po 310 zł. Cena detaliczna w sklepach wynosi 360-370 zł. Nie jest to wcale dla handlu mały zysk...

Polów karpia na święta zaczyna się około 10 października i trwa przez miesiąc.



Na początku listopada odwiedziliśmy rybaków z Małej Rasowej, którzy kończyli już polów w jednym ze stawów towarowych.

— Aby przystąpić do odławiania karpia — tłumaczy nam całą operację J. Olech — trzeba spuścić w stawie wodę. Gdy jej jest już niewiele w łowisku i można wejść w butach gumowych, zaciąga się sieć i ciągnie na linach do tzw. mnicha. Jest to rura, którą przepływają karpie do basenu betonowego, znajdującego się na zewnętrznej obwałowania stawu. Stąd kasarem mechanicznym wybiera się ryby na stół, gdzie są sortowane wedle wagi, wygrzbiecienia i uluszczenia.

W pierwszej kolejności wyszukuje się sztuki, które mają iść na eksport. Muszą one odpowiadać określonym parametrom. I tak ryba przeznaczona dla zagranicznych odbiorców musi mieć takie ugrzbiecienie, aby wysokość jej odpowiadała 2,2 długości. Albo-

wiem karp o takich proporcjach ma na grzbiecie dużo mięsa. Uluszczenie może być tylko siodełkowe, więcowe i strzałkowe, aby gosposia na Zachodzie nie miała za wiele pracy ze skrobaniem. Nie znajdzie tam bowiem nabywcę sztuka z uluszczeniem kompasowym i bez łusek. Eksportowe sztuki muszą mieć także odpowiednią wagę, w następujących przedziałach: od 0,75 do 1 kg, 1-1,25, 1,25-1,75 i 1,75-2,25. Najlepiej idzie karp o wadze 1,25-1,75.

A co z resztą? Reszta jest przeznaczona na kraj. Polak nie jest taki wybredny, jak mieszkańiec Europy zachodniej. A ponadto płaci złotówkami.

Rybacy sprawnie wylapują sztuki na eksport i kraj. Nie mają żadnych przyrządów do mierzenia. — Miarki — mówi p. Olech — mamy w oczach.

Teraz wybiera się karpie o wadze od 1,25 do 1,75, te które pójdą na zachodni rynek.

Po presortowaniu poszczególne ryby ładuje się do zbiorników na samochodzie. Do jednego wchodzi 3000 kg. Odłowione karpie nie trafiają od razu na rynek, lecz są przewożone do małych stawów o powierzchni 1000-1200 metrów kw., czyli magazynów znajdujących się w Rasowej Małej i Buczyńce. W magazynie może przebywać 20-30 ton. Przepuszcza się przez nie czystą, bogatą w tlen wodę. Karpie pozostają w nich aż



do okresu przedświątecznego. Nie są karmione i tracą na wadze nawet do 2,5 proc., ale jednocześnie uwalniają się od zapachu mułu.

— Tydzień przed świętami — stwierdza J. Olech — zaczyna się wielki ruch. Pracujemy wtedy od świtu do nocy, aż wyda się ryby.

Karpia można przyrządzić na wiele sposobów. Może być faszerowany, pieczony, nadziewany w „dzwonkach” i galarecie, saute, w marynacie, w sosie chrzanowym i czarnym, z wody, masłem i jajkiem. Może być po grecku, żydowsku, polsku, szlachecko, kaszelańsku, krakowsku, „a la Radziwiłł”. Ale mnie smakuje najbardziej zupa z karpia, czyli tzw. ucha, którą jadłem raz w życiu i ciągle mi się śni po nocach.

A w jakiej postaci smakule karp tym, którzy mają z nim do czynienia na co dzień?

Stanisław Retelski — elektryk: po grecku.

Elżbieta Kwaśnik — księgowa: w śmietanie.

Jan Majcher — operator: pod kielich.

Czesław Zaleski — stawowy: w każdej postaci, byle był dobrze zrobiony i przyprawiony. Moja żona czyni to znakomicie.

Andrzej Tarnawski — rybak: w galarecie.

Józef Olech — ichtiolog: najbardziej lubię o karpach opowiadać.

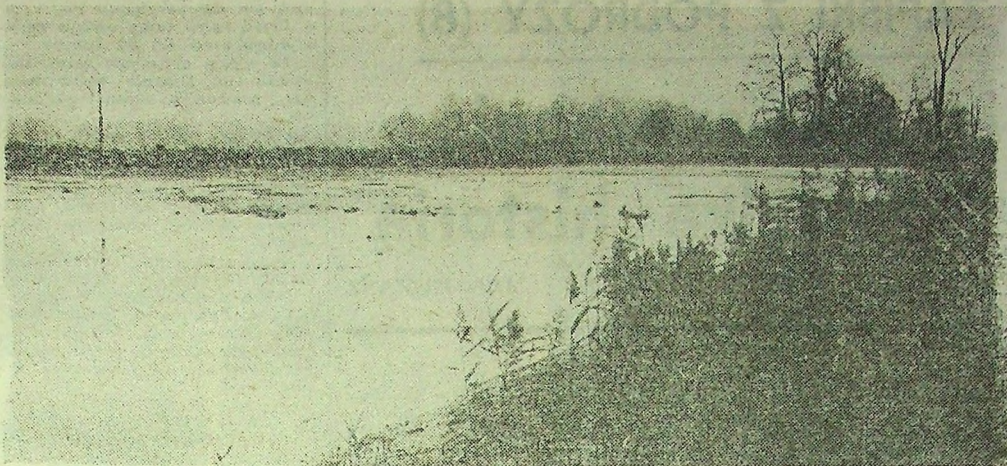
No i dzięki temu możemy pogłębić naszą wiedzę o tej świątecznej rybie. Może będzie lepiej smakowała? Czego wszystkim życzy

JAN SZARUK





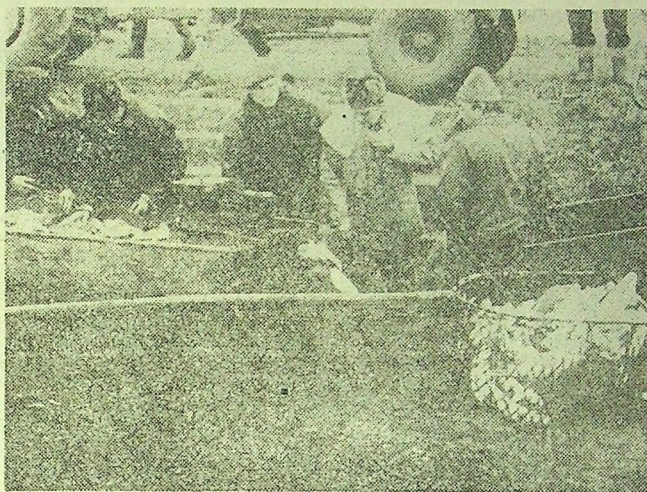
Księżowa, p. Elżbieta Kwaśnik
też jest zainteresowana dobrym
połowem karpia.



Przed odlowami trzeba spuścić wodę ze stawu.

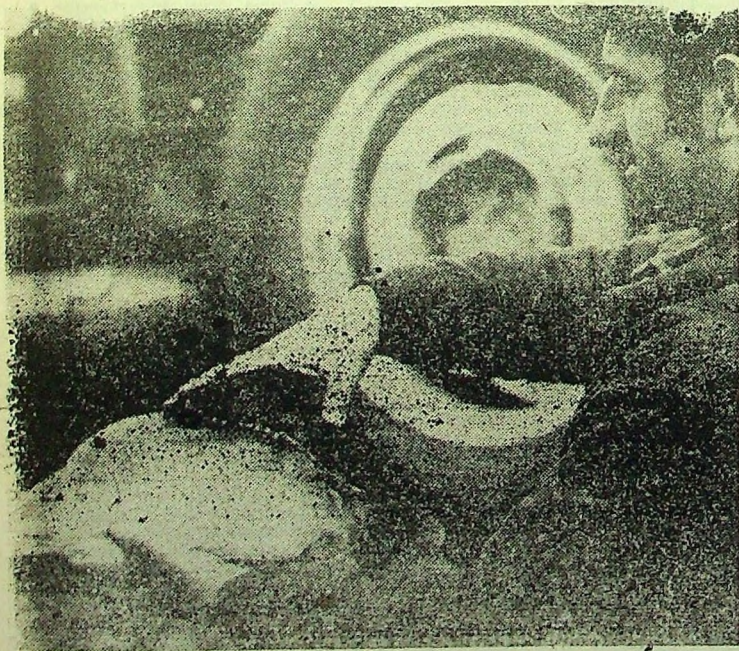


Sieć z rybami ciągnie się na linach do rąbka.



Kasarem mechanicznym podaje się ryby na stół sortowniczy.

Świąteczna ryba



W tych zbiornikach i a świątecznie ryby jada 25...

Na spotkanie z wielką historią

JAN KURASZ

W poniedziałek rano żegnamy się z „grupą paryską”. Jadą samochodem do Konstantyny, skąd samolotem lecą do stolicy Francji na rozmowy z szefami Bouyguesa w kontrowersyjnych sprawach, jakie wystąpiły przy drążeniu tuneli, a zwłaszcza T-8, który na długości kilkudziesięciu metrów się zawalił. Kierownik wielkiej budowy mgr inż. Andrzej Ulbrych pieczę nad dr. Bajową i mną przekazuje swemu zastępcy ds. ekonomicznych, mgr. Antoniemu Kuźniowi i lekarzowi budowy, dr. Rolandowi Szczepaniakowi. I zdradził też zapowiedzianą wcześniej niespodziankę, którą ma być wycieczka na spotkanie z wielką historią Algierii.

W DRODZE DO DJAMILI

Aby dotrzeć do tej miejscowości, trzeba pokonać odległość ponad 250 km. Służbowym peugeotem, prowadzonym na zmianę przez naszych opiekunów i przewodników, jedziemy w kierunku Konstantyny. A tam na obwodnicy skręcamy w prawo i bierzemy kurs na południe, czyli udajemy się w głąb Algierii.

Prowadzi tam szeroka, asfaltowa droga, która na pewnym odcinku przekształca się w autostradę. Po jednej i drugiej stronie rozciągają się pola uprawne, gaje oliwkowe, cytrynowe i pomarańczowe. Ale owoce są jeszcze małe i niedojrzałe, nabiorą kolorów dopiero w listopadzie, grudniu. Choć już dawno po żniwach, bo pszenicę i jęczmień sprząta się w maju, nie zostało jeszcze zaorane ryzyko. Wysokie ścierniska dowodzą, że zboża zbiera się maszynami.

— Algierczycy — mówi R. Szczepaniak — w ostatnich latach położyli nacisk na mechanizację rolnictwa. Tu w pasie nadmorskim stoi ona najwyżej. Na polach widać sporo różnego sprzętu. Orkę wykonują traktory. Zboża zbiera się małymi, zwinnymi kombajnami. Sporo maszyn pochodzi z importu, ale część sprzętu produkuje się już na miejscu.

Na tych terenach znajdują się również duże fermy hodowlane. I właśnie koło takiej jednego pokazowego gospodarstwa przejeżdżamy Obory, zapewne na kilka tysięcy sztuk bydła, ciągną się na znacznej długości. Są klimatyzowane. Krów nie widać na pastwisku, muszą przebywać wewnątrz, bo dobiega południe, temperatura w słońcu sięga 60 st. C.

— Jest to z pewnością — dodaje dr. Szczepaniak — jedno z nowoczesniejszych gospodarstw, należących do sektora państwowo-samorządowego.

Kilkaset metrów dalej rzuca się w oczy kolonia nowych jednopiętrowych bloków mieszkalnych. Tu zapewne mieszkają robotnicy pracujący na tej fermie.

A. Kuźma jest w Algierii od paru miesięcy, ale zdążył się już zapoznać nie tylko z budową tuneli, ale również ze sprawami ekonomicznymi kraju, w którym teraz przebywa.

— Algieria — mówi — wiele zrobiła na rzecz przebudowy struktur produkcyjnych i własnościowych w rolnictwie, z którego utrzymuje się jeszcze blisko 50 proc. ludności. Dzięki przeprowadzonej reformie rolnej, większość ziem znalazła się w rękach małych i średniorolnych fellachów. Ale najlepsze grunty, które po rewolucji zabrano francuskim osadnikom, przejęły gospodarstwa państwowo-samorządowe. W latach siedemdziesiątych przeprowadzono drugi etap reformy rolnej, w ramach której rozparcelowano znaczną część włości rodzimych wielkich posiadaczy ziemskich i pozakładano spółdzielnie produkcyjne. Nie były to jednak — jak się dziś ocenia — akcje udane i szczęśliwe. Zlikwidowano także znaczną część winnic prowadzonych przez kolonów, a na ich miejsce wprowadzono kultury służące wyżywieniu miejscowej ludności. Ale mimo tych wszystkich przedsięwzięć w ostatnich latach zmniejszył się stopień samowystarczalności Algierii. Na pokrycie importu żywności musi ona dziś przeznaczać blisko jedną trzecią wpływów ze sprzedanej ropy naftowej i gazu. W minionych latach w polityce rolnej popełniono bowiem wiele błędów. Przy wysokim wzroście liczby ludności, wynoszącym rocznie ponad 3 proc., przeznaczone nakłady inwestycyjne na rolnictwo były za małe. Dopiero od niedawna uzyskuje ono priorytet.

Mijamy miasta i miasteczka, w których widać ślady niedawnej prosperity finansowej Algierii. W okresie boomu naftowego kraj ten zbierał sporo petrodolarów, które szły na rozwój przemysłu i infrastruktury. Kupowano najnowocześniejsze w świecie technologie, sprowadzano najlepsze urządzenia, maszyny, wznoszono nowe fabryki.

Dojeżdżamy do El-Eulmy, urzekającego swą urodą miasta. W ciągu kilku lat zostało niemal zbudowane od podstaw, bo wcześniej istniało tu małe miasteczko. Siłą napędową jest przemysł Zadzawia nie tylko nowoczesną architekturą, bajecznie kolorowymi blokami wyrosłymi wśród palm daktylowych i eukaliptusów, ale przede wszystkim — co w krajach arabskich jest ewenementem — czystością. Na skraju miasta zlokalizowano wielki kompleks obiektów szpitalnych. Biała fasada budynków zaznacza się wyraźnie na tle rozpościerających się wokół nich rabat z cudownymi kwiatami.

Tutaj bierzemy zakręt w prawo i po kilkudziesięciu kilometrach wjeżdżamy w zupełnie inny teren. Tak pod względem ukształtowania, jak i roślinności. Zniknęły równiny, a pojawiły się wyżyny i pagórki. Mniej tu zieleni, a ziemia spalona jest na czerwono. Zaczął się obszar pustyński.

Pani Basia dostrzegła pasącego się przy drodze dromadera i prosi, aby zrobić jej pamiątkowe zdjęcie z tym jednogłównym wielbłądem. Z naprzeciwka nadjeżdża na osiołku Arab z synem. Chętnie przystaje na sfotografowanie się z panią doktor. Ale niebezinteresownie. Dopomina się

twardo dinara. Wgrzeszony brelok nie satysfakcjonuje go.

Przed nami coraz wyższe góry, a droga kręci się jak spirala.

Po pięciu godzinach jazdy dobijamy do Djamilii, która wita nas... prawdziwą ulwą i piorunami.

Spotkany tubylec mówi, iż jest to pierwszy deszcz od maja. Wyszły wszystkie rzeki i potoki. Po wodę trzeba chodzić do odległych o wiele kilometrów źródeł, leżących w najniższych położonych miejscach.

Dopiero tu widać, jak człowiek potrafi się cieszyć z lejącego się z niebios wodnego daru. W mgnieniu oka ożywiają się ludzie, zwierzęta, cała przyroda. Również i ja inaczej się czuję, bo ostatnio rozleniwilem się, jak prawdziwy Arab.

RZYMSKIE MIASTO

Dziś Djamilia jest małym miasteczkiem, ale kilkanaście wieków temu była wielkim miastem rzymskim. O jej wspaniałej przeszłości świadczą liczne zabytki, pozostałości architektury monumentalnej, rzeźby i mozaiki, ruiny świątyń, pałaców, budynków publicznych, domów mieszkalnych.

Kiedys, podczas wykładów z archeologii — śródziemnomorskiej, wykładowca jedynie wspominał o dawnych miastach założonych przez Rzymian na terenie północnej Afryki: Hippo, Lambessie, Tebessie, Regius, Tingadzie, Szarszalu, Djamilii. Dziś, po wielu latach, poznać mogę jedno z nich.

Wchodzimy do muzeum. Ogłdamy odkopane przez archeologów kolorowe mozaiki, kamienne rzeźby i płaskorzeźby, ceramikę, narzędzia, brzoń, ozdoby, lampki olejne... Czytając objaśnienia, przypominam mi się zapomniana w ciągu 20 lat wiedza, jaką o tej części Afryki zdobyłem podczas studiów.

W zamierzchłej przeszłości żyli na tych terenach Berberowie. W XII wieku przed naszą erą na wybrzeżu Morza Śródziemnego wyrosły faktorie fenickie, które w trzy wieki później weszły w skład państwa kartagińskiego. W III wieku p.n.e. narodziło się tutaj królestwo Numidów.

W kilkadziesiąt lat później rozpoczęła się rzymska penetracja w północnej Afryce. Pierwsza prowincja *Africa Proconsularis* powstała tuż po zburzeniu Kartaginy podczas III wojny punickiej w 146 r. p.n.e. Dopiero po upływie stu lat rzymskie posiadłości uległy rozszerzeniu ku zachodowi przez założenie prowincji *Africa Nova* w Numidii ze stolicą w Cirta, czyli dzisiejszej Konstantynie, jak i ku wschodowi. W 30 r. p.n.e. August wysłał do Afryki swój legion III, który licząc wraz z oddziałami pomocniczymi zaledwie 12 tys. żołnierzy miał odtąd przez 3 wieki kontrolować obszar o powierzchni 350 tys. km. kw.

Ale podbicie Afryki nie przyszło Rzymianom łatwo. Musieli stoczyć ciężkie boje z koczowniczymi plemionami, które nie zawsze miały dla nich pomyślny przebieg. Niezadko uciekali się też do zbrodniczych podstępów. Dopiero w 43 r. naszej ery zdobyli zachodnią Algierię i północne Maroko, a cała północna Afryka znalazła się w granicach cesarstwa.

Swoją obecność na tym kontynencie zaznaczyli Rzymianie nie tylko systemem obozów legionowych, fortec i warowni, który miał utrwalić ich wpływy, chronić przed napadami i najazdami podbitych ludów. Romanizacja tych ziem polegała także na ich urbanizacji, rozwoju handlu, rzemiosła, rolnictwa. Szczególnie w II wieku za dynastii Antoninów nastąpiła dla Afryki dobre czasy, które się określa mianem „afrykańskiego złotego wieku”.

To właśnie wówczas powstało wiele miast, będących jakby zmniejszoną kopią Rzymu. Djamilia, której wspaniałe zachowane ruiny zwiedzamy, przypomina do

złudzenia stołecznego cesarstwa. Ta pod względem organizacji, wyposażenia, jak i wyglądu.

Była ona skanalizowana, wodę doprowadzały do niej akwedukty z odległych źródeł. Ludność czerpała wodę przy wodotryskach oraz z cystern, których świetnie zachowane ślady znajdują się w kilkunastu punktach miasta. Posiadacze okazałych domów doprowadzili ją sobie do mieszkań, gdzie mieli także prywatne łaźnie.

Ale w starożytnej Djamilii znajduje się również terma municypalna z salami na gorące, ciepłe i zimne kąpiele, pomieszczeniami z gorącą parą, ba nawet basenem, w którym można było sobie popływać. Pięknie ozdobione sale służyły do odpoczynku i spotkań towarzyskich. Albowiem w publicznych łaźniach można było nie tylko zadbać o higienę osobistą, ale również skorzystać z różnych form rozrywek kulturalnych. Podobno przeciętny obywatel spędzał w termach parę godzin dziennie. A jeśli nie tam, to mógł się wybrać także do amfiteatru, w którym dawano przedstawienia dramatyczne i pantomimiczne. Tam też odbywały się walki i pokazy. Miała także Djamilia okazałą bibliotekę, szkołę z salą do ćwiczeń gimnastycznych i lekkoatletycznych.

W centrum miasta znajduje się forum, czyli rynek. W jego pobliżu usytuowane były różne obiekty publiczne, m. in. curia, budynek obrad dekurionów, a także bazylika przeznaczona do celów handlowych i sądowych.

Nie opodal wzniesiono liczne świątynie, w tym także kapitol na cześć trójcy kapitolńskiej.

Przez starożytne miasto prowadzi szeroka brukowana droga dla pojazdów i pieszych. Dziś idzie nią gromada wiejskich dzieci, które skracają sobie drogę ze szkoły do domu, bo wokół starej Djamilii znajdują się małe wioski ukryte w górach. Po jej jednej i drugiej stronie zachowały się wysokie mury kamienne. To ślady po piętrowych domach, zamieszkiwanych przez uboższą ludność. Albowiem bogatsi mieszkańcy budowali sobie okazałe wille z perystylami, otoczone ogrodami. Od tej promenady rozchodziły się boczne ulice, które są także pokryte brukiem.

Chodzimy po tym starożytnym ośrodku trzecią godzinę, a nie zdaliśmy obejrzeć wszystkich najciekawszych obiektów zabytkowych. Ale przecież rozrzucone są one na przestrzeni kilkudziesięciu hektarów. Lecz już to, co zobaczyliśmy świadczy o wspaniałej przeszłości tego afrykańskiego miasta, o wysokim poziomie cywilizacyjnym jego mieszkańców, o daleko posuniętym procesie romanizacji tych terenów w czasach cesarstwa rzymskiego.

Podbiegają do nas mali chłopcy, proponując sprzedaż podobno dopiero co odkopanych przez nich lampek oliwnych, pochodzących rzekomo sprzed kilkunastu wieków. Takie całko wyceniamy na 80 dinarów, ale później obniżają cenę do 40. Jak na moje oko jest to nieźle zrobiona kopia i to w masowej skali. Coż na wielkiej historii swego miasta tego współcześni mieszkańcy pragną dziś zarobić.

Z zainteresowaniem słuchamy opowieści przewodnika muzealnego, który dowiedziawszy się, iż jesteśmy Polakami zaferował społecznie oprowadzić nas po ciekawszych zakątkach.

W starożytności wokół Djamilii — powiedział nam — rozposcierały się żyzne pola uprawne i rozkwitało rolnictwo. Żywności starczyło nie tylko dla tubylców, zboże stało się nawet do Rzymu. Ale wtedy w Afryce panował inny klimat. Inne było tam też wówczas życie. Aura się zmienia, a wraz z nią ludzie, ich kultura, zającie...

Powoli zapada zmierzch. Musimy ruszać w powrotną drogę, aby przed północą dobieć do bazy.



Najczęściej spotykany „pojazd”.



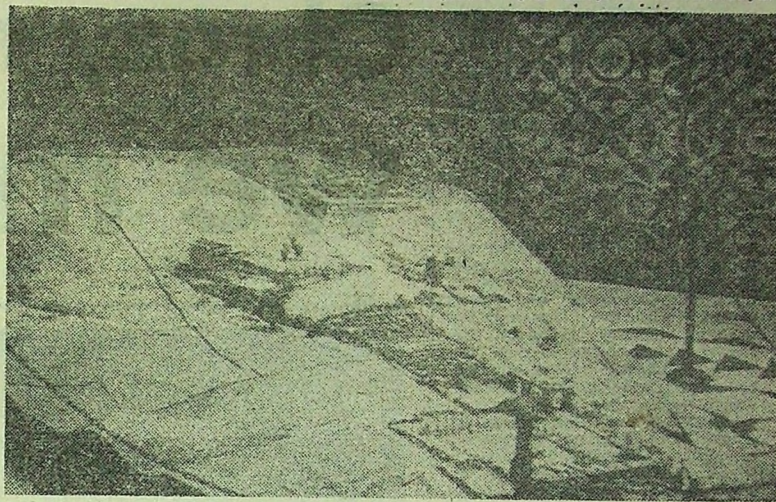
Dr B. Baj i „jej” dromader.



Starożytna Djamilá jest miejscem odwiedzanym



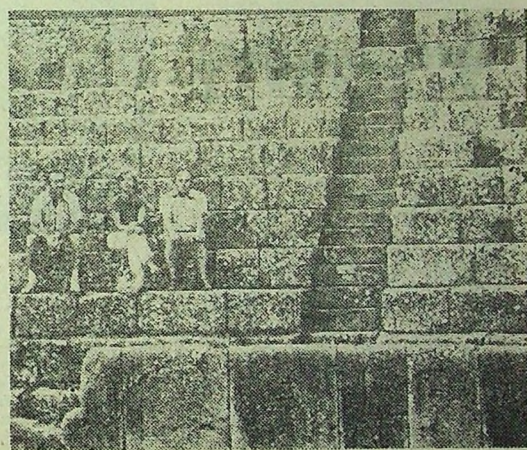
Kamienna rzeźba.



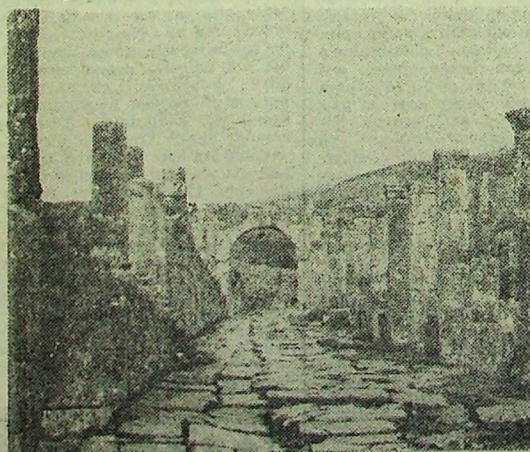
Makieta starożytnej Djamilí wystawiona w muzeum.



Fragment miasta.



Na widowni starożytnego amfiteatru od lewej:
A. Kuźnia. B. Baj. R. Szezeraniak



Główna promenada.



Na tych górach w starożytności uprawiano pszenicę.

Zdjęcia autora

„Urodził się w 1942 r. w Grecji. Studia w Krakowskiej ASP w latach 1961–1967. Dyplom w pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego. Udział w ponad 160 wystawach zbiorowych i 18 indywidualnych w kraju i za granicą, m. in. w NRD, Jugosławii, Grecji, ZSRR. Prace w muzeach i zbiorach prywatnych. Nagrody w najważniejszych konkursach malarskich: Bielsko-Biała — brązowy medal, Nagroda Ministra Kultury i Sztuki oraz wyróżnienie. Radom — prezentacje portretu współczesnego — wyróżnienie, Wałbrzych — Ogólnopolski Konkurs o Złotą Lampkę Górnica — dwie złote lampki, dwie srebrne, I miejsce za tematykę górniczą i kilka wyróżnień, Warszawa — I nagroda i wyróżnienie „Psychotronika w sztuce” oraz nagrody i wyróżnienia w konkursach w Zielonej Górze, Lublinie, Toruniu, Rzeszowie i Poznaniu”.

Tyle o Telemachu Pilitsidesie, jednym z czołowych malarzy województwa legnickiego, mówi nota biograficzna katalogu z wystawy malarskiej prezentowanej w salonie sztuki współczesnej w Głogowie, w marcu br. Sucha, oficjalna informacja nie mówi o tym człowieku właściwie nic. Nic o jego indywidualności, głódzie świata, który chłonie poznając wciąż nowe dziedziny. Przed malarstwem ucieka w świat nauki. Gdy czyta, drażni go myśl, że zaniedbuje sztukę. Ciągłe stara się dopędzić czas, choć wie, że to nigdy jeszcze nikomu się nie udało.

Najbliższa rodzina upatrywała w nim naukowca. Był szczupły, ale miał pięknie ukształtowaną, dużą głowę. Szybko nauczył się czytać, prorocztwa zaczynały się więc potwierdzać. Pierwszy jego obraz, choć to może za duże słowo, powstał, gdy miał 4 lata. Zebrał wszystkie kolorowe kredki swego wujka, który chodził już do szkoły, i na kartce namalował leżącego kota. Uznano, że kot na rysunku jest wspaniały, jak żywy. Pochwalono jego zdolności, ale wizja, że zostanie naukowcem, nadal trwała. To jedno z najpogodniejszych wspomnień, które pozostały mu z okresu dzieciństwa spędzonego w greckiej wiosce Kiwotos.



W czasie swoich powrotów do Grecji był tam kilkakrotnie. Okazało się wtedy, że wspomnienia z dzieciństwa pokrywają się z rzeczywistością. Nadal jest tam pięknie, ciepło, pogodnie. Ludzie są prości, życzliwi. Z pobliskiej wioski Castaniono, na jego rodzinne Kiwotos można spoglądać nieczym z lotu ptaka. Małe domki, wplecione w serpentynny drogę, a wśród nich zarysy drzew. To topole. W górskim krajobrazie natura umieściła te słowiańskie drzewa, jakby przepowiednie jego przyszłości. Jego rodzina podzieliła los wielu Greków, którzy musieli opuścić swoją ojczyznę. Jako 9-letni chłopiec, przez Albanie dotarł do Polski. Błąkał się tu, bez kogoś bliskiego, zagubiony w obcym kraju, wśród obcych ludzi. Tułał się po Gdańsku, Dusznikach, Szklarskiej Porębie, Dzierżoniowie, Zgorzelcu, Policach, Szczecinie, Krakowie, Lubsku, aby wreszcie osiedlić na stałe w Głogowie.

Kilkunastoletni Telemach myśli ciągle o powrocie do kraju. W Polsce musi nauczyć się zawodu, który przyda się w Grecji. Tam potrzebni są rolnicy, ale to jednak nie wydaje mu się pasjonujące. Chce malować. Marzenia te udaje się, nie bez wielkiego trudu, zrealizować. Wybiera ASP w Krakowie, biorąc pod uwagę, że dyplom z uczelni będzie honorowany także w Grecji. Dokładnie nie potrafił określić, ale nagle coś się zmieniło, poczuł się związany z dwoma państwami, i tak jest do dziś. Podobnie zresztą, jak z namiętnością i zdobywaniem wiedzy.

gdy jest w Polsce tęskni do Grecji, będąc w kraju swoich ojców marzy o powrocie do swojej nowej ojczyzny.

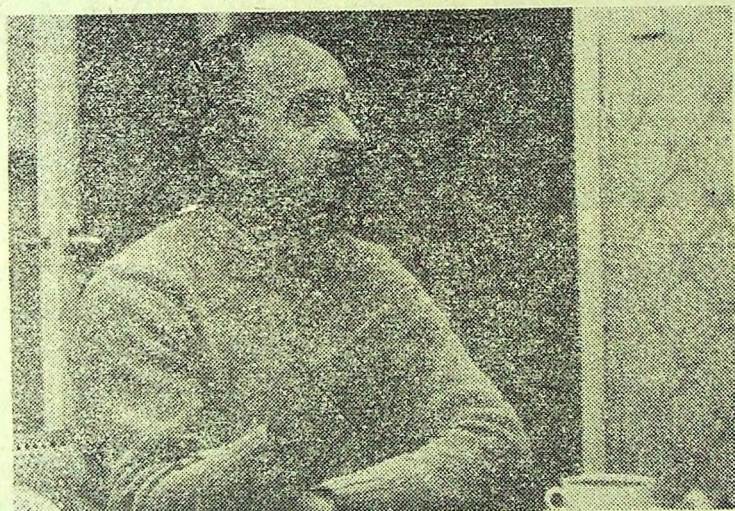
Na drzwiach małego, 3-pokojowego mieszkania Pilitsidesów wypisano imiona wszystkich domowników: Telemach, Roma, Edyta, Parys, Mikołaj. Siedzący w zaciśniętym pokoju. Pod ścianami niskie regały, półki z książkami. Na ścianach obrazy z różnych okresów twórczości Telemacha, czasem tak odmienne, że aż trudno uwierzyć, że wszystkie, i te kubiżące, i pejzaże z martwą naturą, wyszły spod tego samego pędzla. Przy drzwiach wesoła, pogodna kompozycja kwiatowa, autorstwa pani domu — Romy. Roma zawsze chętnie malowała, marzyło się jej liceum plastyczne, ale nie z tego w końcu nie wyszło. Nie nazywa swego malowania nawet amatorskim. Zawsze lubiła zapach farby i przelewanie na

Jazz? Kiedyś nie bawilo go to zupełnie, ale teraz lubi czasem posłuchać niektórych standardów. O upodobania muzyczne pani domu nie ma okazji zapytać, bo właśnie Mikołaj, wspaniały 3-latek, zaczął sobie czegoś do jedzenia i obydwoje wyszli do kuchni. Telemach dodał, że ceni każdego muzyka. Kiedyś, jeszcze w szkole podstawowej uczył się grać na mandolinie. Zdaje sobie więc sprawę z tego, ile taka praca wymaga wysiłku, precyzji, ćwiczeń.

Spoglądam na półki z książkami. Literatury pięknej jest tu niewiele. Dominują albumy malarstwa, książki o sztuce i popularnonaukowe. Pan domu każda wolną chwilę poświęca czytaniu. Interesuje się niemalże wszystkim: geologią, fizyką, anatomią, psychologią, pedagogiką, psychotroniką, radiotelefiem. Lubi też wędkować (teraz brak na to czasu), fotogra-

Obrazy rosną we mnie

BOŻENA KOŃCZAŁ



Fot. J. Rebel

plótno własnego spojrzenia na świat. Bardzo lubi malować kwiaty, mówi, że to dla niej łatwe. Telemach twierdzi, że kwiaty są bardzo trudnym tematem, tutaj granica między sztuką a kiczem jest szalenie cienka.

Upodobania plastyczne obojga są podobne. Cenią Modiglianiego za wrażliwość ciała, z jego obrazów emanuje seks i człowieczeństwo. Roma ceni Matisse'a, szczególnie za posługiwanie się kolorem — za ostre zestawienia, a zarazem jakos delikatne; róż z zielenią, błękit. Sama nie ma jednak odwagi, aby porwać się na takie prowadzenie barwy. Lubi kolory ciepłe (widać to zresztą po wnętrzu w którym się znajdujemy, jasnym, ciepłym, przytulnym). Telemach częściej posługuje się ciemnymi kolorami. Ceni szkołę holenderską, za poetyckość, co jego zdaniem najbardziej widać w układzie pejzażowym wsi. Pytam, co sądzi o Salvadorze Dalí. Telemach mówi, że jest trochę rozczarowany albumami jego prac. Niektóre jego dzieła są skończone, perfekcyjne, większość jednak pozostaje otwartą. Inspiruje to do pracy, zmusza do zastanowienia i to chyba największa zaleta jego prac. Nie jest to jednak jego ulubiony malarz.

W swoich rozmowaniach schodzimy na tematy muzyczne. Najchętniej słucha Beethovena, Haydna. Lubi impresjonizm muzyczny, a przez to i muzykę elektroniczną.

Wszystko to tworzy jego wnętrze, które później przelewa w każdym temacie na płótno. Tak więc powstał cykl obrazów wnętrza ziemi, 25 prac na temat ryb. Kiedyś fascynował go wielki przemysł, a szczególnie rosnąca pod miastem huta. Wtedy całym dniami tam przesiadywał. Malował topienie miedzi, wlewki, hutę. Kto widział te wszystkie obrazy, nie może powiedzieć, że są to ilustracje tego, co się dzieje w świecie zwierząt czy wielkich maszyn. Kiedyś jak w bałkach La Fontaine'a świat zwierząt, przedmiotów jest tylko pretekstem do orzekania jakichś innych treści, czy to społecznych, czy też politycznych. Nigdy nie pozostawał obojętny na to, co dzieje się wokół niego. Stworzył cykl obrazów — protestów — ostrzeżeń o ekologicznym zniszczeniu środowiska, cykl przeciw bombie N.

Każda jego praca jest obrazem dopiero, gdy zaczyna tętnić własnym życiem. Czasem do wyrażenia pełnej treści wystarczy jedno przedpołudnie. Innym razem obraz powstaje tygodniami. Kiedyś pracował tak: skojarzenie rodziło pomysł, zapisywał to szkiecem a dopiero później powstawał obraz. Teraz maluje bez szkicowania. Obraz rośnie we mnie — mówi Telemach — chociaż bywa też inaczej. Ręka sama maluje, nie zastanawiam się nad formą, na początku nie wiem, co z tego wynik-

nie. Gdy obraz jest skończony, okazuje się, że go nie rozumiem, że on mnie prześcignął. Zostawiam go wtedy w pracowni i wracam do niego po pewnym czasie. To wcześniej nieuświadomione staje się dla mnie zrozumiałe.



Pytam — ile prac stworzył? Ma w środowisku plastycznym Głogowa ocenę najbardziej pracowitego artysty. Odpowiedź stwarza mu poważny kłopot. Okazuje się, że nigdy nie katalogował swoich prac, nie liczył ich. Nie wydawało mu się to nigdy ważne. Przez wiele lat swoich prac w ogóle nie podpisywał i nawet ich nie pamiętał. Z tym właśnie związane są czasem zabawne historie. Kiedyś odwiedził znajomego i z zacięciem oglądał jeden z wiszących na ścianie obrazów. Czyja to praca? — zapytał wreszcie gospodarza. Ten okazał zdziwienie, równie jego zaskoczeniu — Przecież to ty malowałeś 10 lat temu. Maluje istotnie dużo, ale jego prace rozproszone są po całym kraju, trochę za granicą, nawet nie wie, kto je ma.

Dzień Telemacha zaczyna się od wizyty w pracowni. Szybki spacer z Chrobrego na Kopernika i od 5–6 rano do 9 malowanie. Chodzenie do pracowni stało się już namiętnością. Inaczej już żyć nie potrafi. W tym roku np. planował wyjazd do Grecji, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wyprawa do Grecji to stracony miesiąc. Rano jest więc malowanie, po południu i czasem nocami praca z książką. Pomysłów ma bardzo wiele. Zaprojektował np. dla huty podziemne zieleńce, oazy ciszy i zieleni, w których można byłoby odpoczywać. Ma też swoją wizję ochrony miasta przed zanieczyszczeniami. Wystarczy np. 10-metrowa siatka tworząca ścianę odgradzającą miasto od huty. Na siatce powinny być gęsto umieszczone pa-semka, nieczym wata, włóczka wychwytyająca zanieczyszczenia. To tylko dwa pierwsze z brzegu pomysły. W pierwszej chwili mogą wydawać się one czystą abstrakcją, ale przecież on jest plastykiem, a nie inżynierem. On powinien myśleć niekonwencjonalnie, tworzyć wizje, które powinny być analizowane przez specjalistów. Ilekroć było już tak, że niemożliwe stawało się zupełnie oczywiste.

Jego filozofia życiowa, jeśli można to tak nazwać, zawiera się w ruchu, czynieniu, bo to jest energia, życie. Ciągłe trzeba się doskonalić. Ciągłe prześladuje go myśl, że nie zdąży wszystkiego poznać, zobaczyć, przeczytać. Szkoda mu już czasu nawet na odpoczynek — choć zdaje sobie sprawę z tego, że to konieczne.

Nadchodzi wieczór. W sąsiednim pokoju 14-letnia Edyta kończy odrobienie lekcji i zasiada przed telewizorem, aby obejrzeć teledysk. Mały Mikołaj nie przestaje absorbować mamy. Najadłszy się, raz po raz wymyśla nową zabawę. Robił już zdjęcia, prawdziwym niedgłym aparatem, chciał jednak sprawdzić, co jest wewnątrz i rozkręcił go dokładnie. Teraz wyciągnął skądś mały motocykl i zastanawia się, do czego powinien go wykorzystać. Niebawem wróci do domu 17-latek, Parys. Najpierw w domu szukał jakichś materiałów, teraz poszedł do kolegi. Rodzice mówią, że właśnie on wykazuje największe zainteresowanie sztuką i sędził, że pójdzie do liceum plastycznego, ale nagle zbuntował się i wybrał technikum mechaniczne. Co będzie w przyszłości, trudno powiedzieć. Jego ojciec miał zostać przecież naukowcem, a później rolnikiem.



Niewiele śladów pozostało w Głogowie po książęcej Salomei. Przypominają o niej ruiny kolegiaty, do powstania której się przyczyniła. Jest też lokal gastronomiczny niezbyt chyba szeregłowie nazwany imieniem pierwszej głogowskiej księżnej. Cóż, widocznie nie każdemu zgryźliwie wydaje się zestawienie „matki miasta” ze schabowym i seta.



Po zakończeniu wojny, imponująca niegdyś swoją urodą kolegiata leżała w gruzach. Zniszczenia wojenne szubrownicy, poszukiwacze przygód, czas — przyspieszały przebieg dzieła zniszczenia. Pierwsza wzmianka o tej budowl sakralnej pochodzi z 1218 r. Wtedy zaczynała się dopiero jej świetność. Później wskazówki zegara przesuwają się szybko, nie zawsze odmierzając dla kolegiaty dobry czas. Trawiły ją pożary dwukrotnie zawalała się wieża, odbudowywano i przebudowywano, wewnątrz Stanowiła jednak nadal i stanowi ciekawy obiekt architektoniczny, a co najważniejsze, jeden z pierwszych zabytków dokumentujących polskości tych ziem. W 1952 r. rozpoczęło pierwsze naukowe badanie obiektu. Prowadził je Tadeusz Zagrodzki, związany z ośrodkiem wrocławskim. W 1954 r. Zagrodzki wrócił do Głogowa po raz drugi. Powrót zaowocował ciekawym znaleziskiem. W murze oddzielającym prezbiterium od kaplicy marmurowej odkryto posąg Kamienna rzeźba ponadnaturalnej wielkości, która wyłoniła się spod warstwy cegły, przedstawiała postać święcką — kobietę. Przez pewien czas trwały rozważania, kogo przedstawia tajemnicze dzieło sztuki. Czas powstania rzeźby określono początkowo na koniec XIII w., lub też początek XIV. W grę mogły więc wchodzić tylko trzy kobiety związane w tym czasie z grodem głogowskim, a więc: Salomea, Zofia i Mechtylda. Były to żony kolejnych książąt głogowskich Konrada Głogowskiego (niektóre źródła umieszczają przy jego imieniu cyfrę I lub II, wiąże się to z faktem, że przez krótki okres w

1231 r. Był pierwszym panującym na Śląsku, który wcześniej zdobył wyższe wykształcenie za granicą. Niektórzy twierdzą, że był też pierwszym takim księciem w Polsce. Studiował w Paryżu, gdzie przygotowywał się do stanu duchownego. Konrad wybrany został w 1249 r. zmienił plany i rzekł się godności kapłańskiej. Zasadził od swego starszego brata wdzienienia własnej dzielnicy Bolesław Srogi, przez innych nazywaną Rogatką, rezydujący w Legnicy odmówił oddania ziemi. W takiej sytuacji Konrad postanowił dochodzić swoich praw sędzią i udał się na dwór księcia wielkopolskiego Przemysława I. Jego żona była siostrą Konrada Głogowskiego i dzięki otrzymanej pomocy uzyskał własną dzielnicę. Od Konrada rozpoczyna się okres księstwa głogowskiego. Dla tego miasta uczynił on bardzo wiele. Z nim wiąże się lokalizacja miasta, wybudowanie zamku, w tym miejscu



zapisano to wydarzenie jako przedostatnie w tamtym roku. A więc nuczne wesele odbyło się w Boże Narodzenie. Do Głogowa sprowadzono się dopiero po zakończeniu walki Konrada o swoją dzielnicę. Salomea urodziła 6 dzieci: 3 dziewczynki i 3 chłopców. Henryk Konrad, Przemko, władca księstwem głogowskim po śmierci ojca. Najmłodsza córka — Jadwiga wstąpiła do klasztoru Bufenia, została żoną Albrechta II, a najstarsza Anna wyszła za Ludwika II z Bawarii.

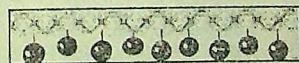
Niewiele wiemy też o charakterze Salomei. Podobno była osobą spokojną, życzliwą i obojętną. O tym ostatnim świadczy fakt, że była fundatorką kilku kościołów. Zmarła w 1267 r. i została pochowana w kolegiacie. Co do te-

przypominało o prawie i dobru, przystających brzemieniu kościoła, przedstawianym doordaz e oia. Mało to również zachęcało innych, aby wzorowali się na niej, w charakterze wyobrażeń, przez posąg, czy malowidła. Salomea i Konrad Głogowski uważani byli przez długie lata za fundatorów kolegiaty. Źródła potwierdzają jednak, że przyczynili się oni jedynie do nadania temu obiektowi sakralnemu świetności.

Znany już odpowiedź na pytanie, kiedy przypuszczalnie powstał posąg pierwszej księżnej głogowskiej, nie wemy jednak, jak jest jego twórcą. W tamtym okresie do sztuki, to twórców podobało się trochę inaczej, niż obecnie. Kamieniarzy, malarzy nie zaliczano do artystów, lecz do rzemieślników. Dzieł raczej nie podpisywano. Niektórzy rodowod rzeźb wyprawiają z warsztatu Mistrza Naumburskiego, a także rzeźby śląskie, pierwszej połowy XIV w. Inne źródła podają, że autor wywodził się raczej ze środowiska marburskiego. Wyprawiają się pewne analogie z figurami kościoła św. Elzbiety w Marburgu. Podobieństwo polega na przede wszystkim na statycznym ujęciu sposobie prowadzenia fałdów w środkowej części figury, podobne cechy stwierdzono na twarzach figur, figury marburskie i głogowska mają niemalże takie same ręce (budowa i zęsti).

Salomea przetrwała do naszych czasów, odkryto ją, w co prawda nie najlepszym stanie, ale po rekonstrukcji odzyskała swą dawną świetność. Uważana jest przez historyków sztuki za najwybitniejszy zabytek wczesnogotyckiej rzeźby kamiennej w Polsce. Często można spotkać się z opinią, że zapoczątkowała ona zjawisko monumentalnej rzeźby gotyckiej na Śląsku. Dopiero po niej powstały nagrobki Henryka IV Probusa i, Bolka i Świdnickiego.

Cenne znalezisko nie pozostało w Głogowie. Posąg trafił najpierw do Wrocławia, gdzie podany został zabiegom konserwatorskim. Później tamtejsze Muzeum Narodowe przekazało rzeźbę w stały depozyt muzeum w Poznaniu. Dziś można oglądać ją na wystawie w Muzeum Historycznym miasta Poznania. W Głogowie po Salomei pozostały tylko zdjęcia. Podobno kiedyś była tu również gipsowa replika posągu. Widziano ją w Muzeum (wtedy jeszcze) Hutnictwa i Odlewnictwa Metali Kolorowych. Dalej trop prowadzi do biblioteki publicznej i tutaj ślad się urywa. Nie wiadomo, kto i kiedy wykonał gipsową replikę, nie wiadomo w czym posiadaniu jest ona aktualnie. Może przypadkowo trafiła do ludzi nie mających pojęcia co to rzeźba przedstawia. Głogowskie muzeum od lat stara się odzyskać rzeźbę Salomei, ciągle bezskutecznie. Na otarcie łez, proponuje się jedynie wykonanie kamiennej repliki. Proponujemy jest ciekawa, ale w grę wchodzi wielkie pieniądze — a nie ma nikogo, tak na razie, kto by je wyłożył.



W przyszłym roku rusza przypuszczalnie odbudowa kolegiaty. Właśnie zapadają co do tego ostateczne ustalenia. Kto wie, może gdy kolegiata odzyska swój dawny blask Salomea powróci na swoje dawne miejsce, jest to co prawda wątpliwe, ale... Zarim jednak rozstrzygnięto się ostatecznie na sprawę, może odnajdzie się gipsowa replika, która wypożyczona głogowskiemu muzeum mogłaby być pokazana szerokiej rzeszy mieszkańców.

Tajemnicza Salomea

BOŻENA KONCZAL



Widok kolegiaty sprzed 1831 r. od strony dzisiejszej ul. Gwardii Ludowej.

w którym obecnie się znajduje. On też sprowadził franciszkanów. Gdyby współcześnie określić jego postępowanie, wystarczyłoby powiedzieć, że był motorem rozwoju ówczesnego miasta i księstwa, przez niego stworzonego. Po śmierci Salomei, Konrad ożenił się повторно. Jego wybranką była Zofia, córka margrabiego Miśni. Za jej posąg ukończono budowę nowego zanku, Konrad Głogowski zmarł w 1273 lub 74 roku, a do dziś nie wyjaśnionych okolicznościach. Niektórzy badacze jego dziejów twierdzą, że został podstępnie otruty. Czy tak jednak było, czy nie, nie dowiemy się już nigdy.

O Salomei wiemy właściwie bardzo mało. Przypuszczalnie nigdy nie czyniono zbyt wiele zapisków na jej temat. Jedynym jej wizerunkiem, jest przypuszczalnie odnaleziona w kolegiacie rzeźba. Urodziła się na pewno przed 1236 rokiem. Jej ojcem był książę wielkopolski Władysław Odoniec, bratem jego następcę, wspomniany już Przemysław I. O jej dzieciństwie i młodości nie wiemy praktycznie nic. Salomea znała swego przyszłego męża, przypuszczalnie już na kilka lat przed ślubem. Trudno dziś dociekać, jakie były pobudki tego małżeństwa, uczucia czy interesy. Ceremonia odbyła się w 1249 r. w Poznaniu. Co do tej daty można mieć zupełną pewność, gdyż w roczniku kapituły poznańskiej,

go ostatniego faktu, nie ma zgodności wśród kronikarzy. Niektóre źródła podają, że jej doczesne szatańskie złożone zostały w kościele dominikanów w Głogowie. Teza ta wydaje się jednak mało prawdopodobna. Umieszczenie dobrodzieńki kolegiaty, poza nią, wydaje się dziwne. W grę mógł wchodzić jedynie zabieg usunięcia tej postaci, w cień Salomea była symbolem polskości, na tych ziemiach, dlatego też przypuszczalnie posąg Salomei został przez Niemców zamurowany. Konrada pozostało udało się bowiem wywieść powłazania z rodami germańskimi. Schowanie posągu pod warstwą cegieł, wszędzie na dobre, dzięki temu rzeźba ocalała i przetrwała do naszych czasów.

Posąg Salomei stał pierwotnie w kolegiacie obok rzeźby przedstawiającej Konrada Głogowskiego (posąg ten uległ zniszczeniu w 1831 r. w czasie gdy zawalila się wieża, nie zadano sobie trudu, aby ją zrekonstruować i nie zachowała się do naszych czasów). Takie umieszczenie rzeźb nie było przypadkowe. Modlący się przy ołtarzu stanowili łącznik między parą książęcą a Bogiem. Prezbiterium jest najbardziej eksponowanym miejscem w kościele, tutaj zasiadają kanonicy. Warto nadmienić, że umieszczanie posągów obrazów osób świętych w tym właśnie miejscu nie było w przełomie XIII/XIV w. rzeczą zbyt częstą. W ten sposób czczono jedynie fundatorów, wyrażając im wdzięczność kościoła, nagradzając ich modlitwami. Umieszczenie rzeźby w chórze mogło mieć jeszcze jedno kapitalne znaczenie —



Głogowie panował Konrad, syn Władysława Wygnana, lepiej jednak przyjąć nazwę Głogowski, oraz Henryka III. Mechtyldę szybko wykluczono. Istniała co prawda wzmianka o istnieniu jej posągu, ale nie była ona zbyt wiarygodna. Około 1395 r. ufundowany bowiem został nagrobek z pełnoplastyczną postacią księżnej Mechtyldy. Pierwotnie ustawiono go w głównej nawie, gdzie została pochowana. Jakż wiecej sens miałoby fundowanie nagrobka, gdyby w kolegiacie znajdowała się już jedna rzeźba tej kobiety? Zofie — druga żona Konrada Głogowskiego trzeba także wykluczyć. Przeżyła ona swego męża, wróciła do rodzinnej Miśni, aby do końca swego życia (1318 r.) pozostać w klasztorze. Zgodnie przynajmniej wiecej, że tajemniczy posąg może być wizerunkiem tylko i wyłącznie Salomei.

Kim była Salomea? Przede wszystkim znamy ją jako żonę Konrada Głogowskiego i zanim powiemy o niej trochę obszerniej, kilka słów o pierwszym księciu głogowskim grodu.

Konrad był czwartym synem Henryka Pobożnego. To wiemy na pewno. Gorzej natomiast z określeniem daty jego urodzin. Nie znamy ani dnia, ani miesiąca, ani nawet roku. W owym czasie do prowadzenia takich zapisków nie przykładano zbyt wielkiej uwagi. Szacunkowo określa się, że urodził się on pomiędzy 1228 a



Od października do stycznia — kto nie był, jeszcze ma czas, żeby pojechać do Warszawy i zobaczyć w salach „Zachęty” — kawałek Paryża, a może nawet cały Paryż, to znaczy wszystko, co w Paryżu jest najważniejsze, czym Paryż żyje naprawdę. Nie Francja, nie Europa, nie świat, ale jedno i jedyne miejsce pod słońcem, jakim jest Paryż i to aż w czterech różnych obliczeniach prezentowane jest w ramach wystawy „4X Paryż”. Zmieniającym się datom odpowiadają zmieniające się dzielnice stolicy Francji: 1913 — Montmartre, 1925 — Montparnasse, 1947 — Saint Germain des Prés i 1972 — Beaubourg. Spacer po Paryżu odbywa się w obu wymiarach — czasu i przestrzeni i może dlatego właśnie wszystko wydaje się tu naturalne, dostosowane do rytmu życia wielkiego miasta. Rytm ten wyczuwalny przez sztukę, jest nie tylko wyczuwany przez sztukę, ale i często kreowany przez nią, co najbardziej rzuca się w oczy, kiedy chodzimy po salach „Zachęty”.

Zanim jednak dostaniemy się do tych sal, musimy przejść przez swoisty czystek, jakim jest to wszystko, co przeżywa większość osób zwiedzających wystawę. Dzieje się to przed drzwiami „Zachęty” i w holu, gdzie długie kolejki nie są jednak w stanie zniechęcić tłumy ludzi przyjeżdżających tu z całej Polski. Świadczy to, że

na Pierre Bonarda — „Place Clichy” — zwyczajny widok — ludzie krążący po ulicach, ale w tle poruszają się auta. Nikt na nie nie zwraca uwagi, ale to one są tu najważniejsze — one właśnie zmieniają paryski krajobraz, dynamizują go. Już niedługo — za rok, za dwa — te samochody zostaną wykorzystane przez francuskiego generała do przewiezienia żołnierzy przez Paryż na linię frontu. Dzięki temu miasto znajduje się poza linią frontu, wojna tu nie dotrze.

Na rok przed wojną ukazuje się pierwsze wydanie „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta, a ledwie 6 lat minęło od namalowania przez Pabla Picassa pierwszego obrazu kubistycznego, jakim były „Panny z Awinionu”. Już dawno minął symbolizm w poezji, minął klasycyzm. Pojawił się Pierre Reverdy, którego pasją twórczą zmierzano do stworzenia w poezji odpowiednika malarskiego kubizmu. W salonach paryskich zaś pojawiły się panie ubrane w sukienki podobne do tej, która znajduje się na wystawie, a którą zaprojektował Pierre Poiré. Jest to sukienka wieczorowa z adamaszku i jedwabiu przetykanego złotem. Sprawia wrażenie niezwyklej lekkości, zwiewności. Obok tego wszystkiego stoją rzeźby kubistyczne Alexandra Archipenki i Jacquesa Lipchitz, których ostre

turystycznego amoku. Paryż miał swój surrealizm, miał swojego Andre Bretona, Louisa Aragona, Marc Chagalla i wielu innych. Surrealizm okazał się zresztą ruchem znacznie bardziej odpornym na działanie czasu niż futurystyczne manifesty Marinettiego. Surrealizm nie był czymś jednolitym i do końca określonym. Może dzięki tej dużej pojemności zdołał przetrwać tak długi czas?

Obok surrealistów na Montparnasse pojawiają się też abstrakcyjni, którzy wyciągnęli wnioski z kubizmu. W obrazach Fernanda Legera, Jean Heliona, Theo van Doesburga cała „malarskość” sprowadza się do barwy i kształtu. Są to elementy każdego obrazu, tyle że u nich barwy ograniczone są do czystych kolorów pozbawionych jakichkolwiek odcieni, półtonów, a kształty wyznaczają figury geometryczne. I jedne i drugie nie noszą w sobie żadnego pozamalarskiego znaczenia. Powstają obrazy hermetyczne jak muzyka. Posługują się one własnym kodem, w którym istotne jest tylko to, co widać. W szkicu poświęconym własnej sztuce Leger pisał: „Odkryłem wpisane w formę geometryczną czyste kolory”. Ważny staje się układ poszczególnych elementów barw i kształtów. Sugerują to już tytuły obrazów: „Kompozycja”, „Kontrkompozycja”, „Kompozycja ścienna”.

bezsilni, znający własne ograniczenia i potęgę rzeczywistości, potęgę zła, które jest w stanie zniszczyć wszystko. W tym kontekście można uważać, że II wojna światowa powstrzymała proces rozdźwięku między sztuką i rzeczywistością. Bohaterowie książek Sartre'a, postacie Artauda, Richtera noszą na sobie ślady tych wszystkich okaleczeń, jakich doznali prawdziwi, z krwi i kości ludzie.

1972

Ale to mija. Paryż żyje już czymś innym. Rewolta studentów w maju 1968 roku, odejście generała de Gaulle'a i nowe centrum paryskiej sztuki — Centrum Georges Pompidou w dzielnicy Beaubourg Rolé całej dzielnicy ma teraz spełniać centrum, w którym jest wszystko — czytelnia, kluby, sale wystawowe, kina, studia nagrań muzyki elektronicznej, etc. etc. Nie ma tu tylko jednej rzeczy — cyganerii artystów sztuk wszelkich.

Na wystawie obok rękopisów pisarzy pojawiają się też pierwsze wydania książek Michela Foucault (filozof, humanista) Rolanda Barthesa (krytyk, teoretyk literatury i kultury), Claude Levi-Straussa (twórca strukturalizmu). To oni byli tymi dróždźkami, na których rosła atmosfera Paryża lat siedemdziesiątych. Obok nich zaś pojawiają się dziwni artyści — niearty-

Paryż, Paryż, Paryż, Paryż

WIESŁAW PIOTRKOWSKI

wystawa „4X Paryż” stała się nie tylko wydarzeniem artystycznym, ale i społecznym. Przewodnicy obwożący wycieczki po stolicy, za punkt honoru uważają wyprawę do „Zachęty”. Nie zawsze się im to udaje, w listopadzie bilety dla wycieczek zbiorowych były wyprzedane już do końca grudnia. Na styczeń zostało jeszcze trochę miejsc zarezerwowanych dla wycieczek.

★

Co sprawia, że cała Polska tak się garnie do „Zachęty”? Czy są to nazwiska — Picasso, Braque, Modigliani, Bonnard, Leger, Matisse, Ernst? Czy jakiś mit Paryża, wiecznie żywy właśnie w Warszawie i właśnie w Polsce? Czy może swoisty kompleks prowincji nawiedzony przez „wielki świat”?

Nie umiem na te pytania odpowiedzieć. Faktem jest, że wystawa stała się w naszym życiu wydarzeniem, jakiego dawno już nie było. I nie dziwi moda na Paryż, moda na „Zachęty”. Na kilka miesięcy prawdziwe staje się powiedzenie: „Być w Warszawie i nie widzieć Paryża...”.

Ludzie przychodzą tu, oglądają eksponaty zebrane w kilkunastu wielkich salach, wychodzą i... rozglądają się za książką pamiątkową, żeby wnieść do niej swoje uwagi lub pod hasłem „dziękuję” złożyć swój autograf. Tymczasem francuscy organizatorzy wystawy nie pomyśleli o tych kilku tysiącach naszych rodaków, którzy chcieliby potwierdzić słowa Mikołaja Reja, iż „Polacy nie gesi” i nie... analfabeci. Zamiast tego „złosiłwi” Francuzi powstawiali do sal „Zachęty” magnetowidy, na których widać i słychać wszystko to, co było ważne w Paryżu w XX wieku.

1913

Był więc Paryż na rok przed I wojną światową miastem oszalałym na punkcie samochodu. Na pierwszym planie wielkiego płót-

brzezi kojarzą się z ostrosłupami. Podobnie jak u Picassa, Braque'a pojawiają się tu formy geometryzowane. Zostaje zerwana nie łącząca obraz z jego modelem, czyli z rzeczywistością, którą artyści poczęli ciąć, dzielić i łączyć na wszystkie możliwe sposoby w poszukiwaniu właściwego kształtu — innego niż dala przedmiotom natura. To jeszcze nie abstrakcja, jeszcze widać dalekie echo portretowanej rzeczywistości, ale pierwszy krok został już uczyniony.

Montmartre to nie tylko sztuka. Oto fragment wspomnień jednego z bohaterów tamtej epoki:

„Montmartre, Butte, Bateau-Lavoir, Lapin Agile czymże jest dla mnie? Wspomnieniem o bohemie? Wierutne głuźstwo! To mi przypomina właścicieli bud mieszkalnych, którzy zabierali mi klucz od pokoju, bo spóźniałem się z komornym... Wstrętna w gruncie rzeczy epoka niedostatku, niedzy, upokorzenia... Trudno sobie wyobrazić paskudniejszą młodość...”

Słowa te padły z ust Maca Orleana, a Pablo Picasso skomentował je krótko: „Miał rację. Często była to czarna niedza”.

Jakie więc były tamte czasy? W salach „Zachęty” pozostało z nich tylko to, co dobre, piękne i wielkie — dzieła przymierających głodem malarzy, rzeźbiarzy, poetów. Żyli w niedzy a przecież potrafili otworzyć drzwi przed sztuką XX wieku! Może właśnie ten zwyczajny głód był brakiem, który kompensowali tworząc wspaniałe dzieła?

1925

Po wojnie, w której wzięto udział wielu poetów i malarzy, Paryż niewiele się zmienił. Skoro nawet w czasie wojny ranni poeci wydawali swoje tomiki (choćby P. Reverdy), to życie musiało się toczyć dalej. I toczyło się. Coraz gwałtowniej, silniej, coraz bardziej zafascynowane techniką, cywilizacją. Paryż nie przetrwał jednak fu-

W tej samej sali jest też jednak portret Tristana Tzary namalowany przez Roberta Delanuy'a. Przypomina on ekspresję twarze znane u nas z portretów Witkacego.

Następuje rok 1929 — wielki kryzys gospodarczy. Rozlatuje się Montparnasse jako ośrodek bohemii artystycznej i awangardy. O dziwo jednak trwają — i aż trwają do dziś — abstrakcjonizm i surrealizm.

1947

Znowu świat wywraca się do góry nogami, przychodzą lata najstraszniejszej wojny, a w 1947 roku Paryż odpowiada na to wszystko filozofia egzystencjalizmu. Obsesja śmierci, obsesja samotności, bólu istnienia — z jednej strony a z drugiej — swingujące jazz-band-y w dzielnicy Saint Germain des Pres. Rzut oka na płótno — wielki obraz Andre Fougere'a — „Paryżanki na targu” i... nieoczekiwane skojarzenie — silne kobiety z czerwonymi policzkami targują się o cenę ryb. Ubrane są zwyczajnie, jedna z nich trzyma dziecko na ręku. Takie silne postacie już gdzieś widziałem. Tak, to przecież „ludzie z marmuru”, ci sami, którzy byli bohaterami socrealistycznej sztuki w Polsce lat pięćdziesiątych!

To nie wszystko — są jeszcze rzeźby, Germaine Richter — „Burza” — człowiek o „trędownatej” postępnionej skórze, pozbawiony twarzy. Podobnie wstrząsające wrażenie robią rysunki Antonina Artauda. Tak jakby artysta rysując twarze ludzkie przedstawiał je bez maski pozorów skrywających ogromny smutek, samotność, może strach. Może jest go tu najwięcej.

W tym bogactwie form i kierunków sztuki widać przede wszystkim Paryż — miasto, które przetrwało wojnę lepiej niż jego mieszkańcy. Paryż ma się dobrze, dobrze ma się sztuka w Paryżu. Tylko ci ludzie, ci artyści — jacyś

ści, których sztuka doprowadza niemal do absurdu wszelkie konwencje.

Czym jest to wszystko? Czy to sztuka czy już nie? Takich pytań nie stawiał sobie pewnie Yves Klein, kiedy sprzedawał chętnym „strefy niematerialnej wrażliwości malarskiej” (czyli cenne fragmenty otaczającej nas próżni) czy kiedy skakał z okna pierwszego piętra jakiegoś paryskiego domu łamiąc przy tym rękę z okrzykiem: „Artysta powinien mieć zdolność do lewitacji”. Inni paryscy artyści mieli wątpliwości, co do wielkości sztuki Kleina, ale on sam wierzył w nią święcie. Zdjęcia z jego happeningów znajdują się na wystawie. Jest tu też „Portret reliefowy Armana”, czyli pomalowany na niebiesko (ulubiony kolor Kleina) odlew ciała mężczyzny.

Yves Klein doprowadził do absurdu relację między sztuką i życiem, w której właściwie sztuka nie dośię, że grała główną rolę, to jeszcze stawała się jakby prawdziwsza od życia. Artysta nie był już artystą, był normalnym człowiekiem, ale wszyscy inni ludzie stali się przez to jakby ułomni, niezdolni do czynienia czegoś innego niż sztuka, bo w tej konwencji wszystko jest przeciw sztuce.

KTT w swoim felietonie w „Polityce” napisał, że wystawa jest w istocie „układem gasnącej dynamiki”. Porządek chronologiczny wystawy kreuje jednak zupełnie inną dynamikę, której szczyt przypada właśnie na rok 1972. Jest to apogeum nowego stosunku między życiem i sztuką, który rozwija się od pierwszych prac kubistycznych. Właśnie na obrazach Braque'a czy Picassa świat sztuki uzyskuje swoją własną autonomię dzięki odrzuceniu naśladownictwa (mimesis) świata żywego. Jest to autonomia jeszcze bardzo krucha, nieśmiata, ale wszak będąca faktem Umacnia to zjawisko abstrakcjonizm F. Legera, rzeźby G. Richtera czy

zwyczajne przedmioty użytkowe zgromadzone w ostatnich salach wystawy, które są sztuką jedynie z woli artysty.

To prawdziwa rewolucja — sztuką jest wszystko — nawet sprasowane samochody Cesara czy „Manipulator” Piotra Kowalskiego — wielka szklana kula, w której znajdują się mniejsze, a których dotykanie sprawia tyle radości młodzieży zwiedzającej wystawę.

Sztuka wybiła się na niepodległość. Jej związek z życiem jest pozorny. Funkcjonalizm sztuki przetrwał już tylko w art-deco — sztuce zdobienia wnętrza i kształtowania „estetycznego rzeczywistości”. To, co najważniejsze — stare pojęcie sztuki wraz z całym bagażem jej związków z rzeczywistością i życiem — zniknęło. Sztuka nie jest już sztuka. Jest antysztuka, która rozwija się dalej ale we własnej rzeczywistości. Być może jest to jakaś ślepa gałąź rozwoju sztuki, być może już się to skończyło, ale wystawa w „Zachęcie” nie zdążyła jeszcze tego zarejestrować.

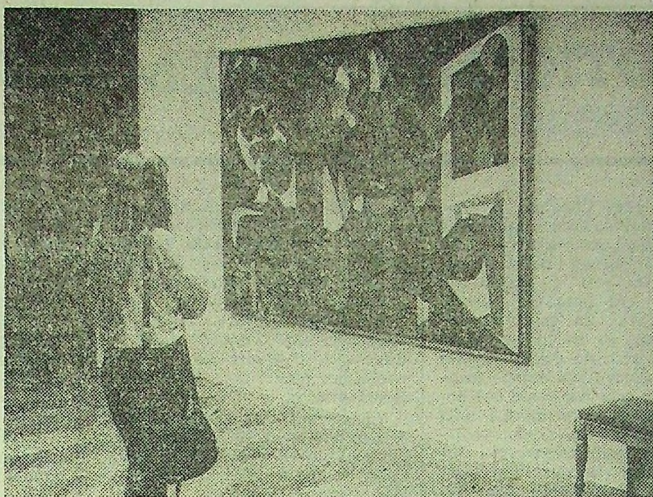
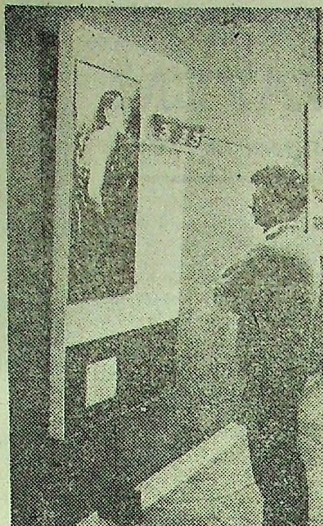
Paryż zmienia się z dnia na dzień, z roku na rok. Jest to coraz to inne miasto. I coraz inną jest sztuka, która nadaje mu miano jednej z kilku stolic współczesnej kultury. Symbioza miasta i sztuki, życia i różnych działań artystycznych jest może najważniejszą cechą wystawy.

◆
Żadne z polskich miast nie ma historii choćby w przybliżeniu podobnej do historii Paryża. Nasze miasta mają zazwyczaj ginące w mrokach legendy laty założenia, potem kolejne daty odnoszą się do spalenia, najazdu, zburzenia itp. Rok 1913 w Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Gdańsku? A 1925? A 1947? Tak — odbudowa.

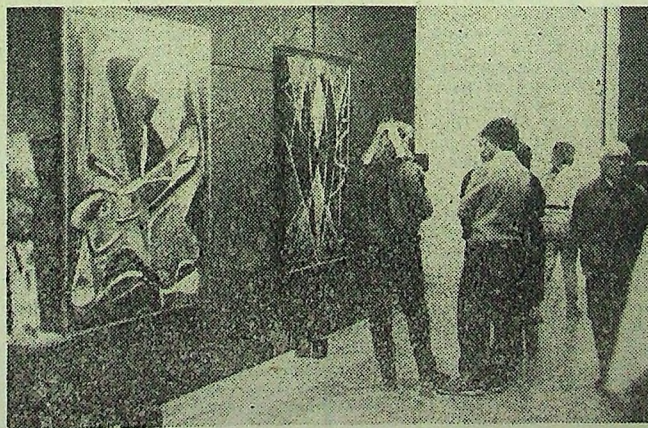
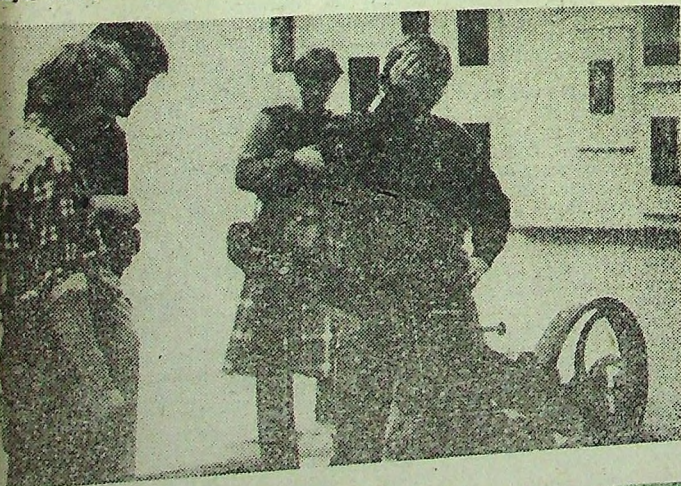
Historia Paryża toczyła się zupełnie inaczej w XX wieku.

Paryżanie brali udział w obu wojnach światowych, ale Paryż nie został zniszczony. Jego sztuka rozwijała się jakby niezależnie od wielkich wydarzeń historycznych. Przeżywała je na swój sposób. W gruncie rzeczy chodząc po salach „Zachęty” ma się nieodparte wrażenie, że to sztuka bardziej wpływała na historię niż odwrotnie. Co innego u nas — zaangażowanie, patriotyzm czyniły ze sztuki element niesamodzielny i ledwie pomocniczy w zmaganiach Polaków z Historią. To nie patos kazał Polakom „strzelać do Niemców diamentami”, ale konieczność obrony nie tyle własnej tożsamości, co życia.

Wyobrażam sobie, że wystawa „4 X Warszawa” niewiele miałaby wspólnego ze sztuką, choć z pewnością odwiedzana byłaby tłumnie. Wszak znalazłby się na niej narodowe pamiątki, relikwie cudem ocalone. Sztuka? Tak, ale tylko jako ilustracja dziejów stolicy czyli Dziejów Narodu.



Zdjęcia: Janusz Budnicki



SPOTKANIE Z HEMINGWAYEM

LILIAN SEYMOUR

Ten dom przy Chestnut Avenue budził zainteresowanie młodzieży z Austin i West Adams Street. Stał na wielkiej parceli zadrzewionej śnieżnymi kulami i ozdobnymi krzewami. Od południa parcie wypełniał garaż na cztery samochody, drzwi do niego otwierało się przy wejściu do domu. Bawiło nas automatyczne otwieranie garażu o którymś czasie, że był domem samobójców, bo dwoje ludzi odebrało sobie tam życie. Ostatnim z nich był szanowany i lubiany doktor Hemingway, gdy stwierdził u siebie raka. Kto był pierwszy, nie dowiedzieliśmy się nigdy.



Oak Park od Chicago dzieli aleja Austin. Zamieszkiwali tam zwykłe bogaci, a do takich zaliczali się, jak szła fama, doktorstwo Hemingwayowie. Do dużego domu dobudowano oficynę, chyba była to oranżeria, a może przeznaczona na mieszkanie dla służby czy na coś innego. Po dobudowie puszczone po murze dzikie wino, lśniące trochę niesamowicie w świetle księżycy, czyli o porze naszych spacerów, jeżeli księżyc wiał na niebie. Było nas trzy dziewczyny z West Adams Street i jeden koleś, skrzypek z Loyoli.

— Ile osób zamieszkuje ten olbrzymi pałac? — spytałmy raz wchodzącego tam mężczyznę.

— O, wy dociekliwi, kiedyś się dowiedziecie, a może nigdy, bo was to nie będzie interesować. W tym gimnazjum urodził się Ernest Hemingway, obywatel, bohater, pisarz, udręka matki.

— Kto się tu zastrzelił? — dopytywał się skrzypek.

— Nie zastrzelił się, tylko honorowo zmarł — odparł mężczyzna.

Jedną z koleżanek, nazwaną Tomaszem Niedowiakiem weszła na frontowe schody i odczytała z miedzianej tabliczki: Mr and Mrs Hemingway.

— Czy to aby prawda? — spytała.

— Najoczywistsza prawda — odrzekł mężczyzna i przez naciśnięcie guzika zamknął nam przed nosem brame.

Speszni odeszliśmy do najbliższej drogerii na malinowe lody. Nie mogliśmy się nadziwić, że ktoś posiadający taki dom, tyle garaży, mógł mieć dość życia.

— Zbyt to tragiczne, zmienne tematy — poprosiłam, bo księżyc tak pięknie świecił. Byliśmy wszyscy po lekturze z Oscara Wilde'a „The Importance of being earnest” — grano tę sztukę w State Theatre, ale bilety były za drogie, bo akurat premiera. Ernest znacząco poważny. Imię pasowało do Hemingwaya.

Ernest Hemingway bawił u matki. Zaczęliśmy się starać u osób decydujących o imprezach, aby zaproszono na spotkanie autorskie Ernesta Hemingwaya.

I no jakimś czasie, zaproszono Hemingwaya. Wyrażono, że jego motorówka The Hawk pojawiła się na jeziorze. Były to czasy prohibicji i wielkich skandali towarzyskich. Młode dziewczęta, przeważnie szesnastolatki wiązały

się z milionerami, starszymi paniami, a później procesowały się z nimi o odszkodowanie. Młodzież pasjonowała te procesy na równi z piłką nożną. Kto wygra, kto przegra, zakładaliśmy się nawet. Nie współczuliśmy milionerom zmieniającym starsze żony na dzierlatki. Byliśmy serio, jak uwielbiany przez nas pisarz Ernest Hemingway.

Ucieszyłam się, kiedy zapowiedziano wieczór Hemingwaya w naszym klubie uniwersyteckim. Członkinią byłam dopiero od paru miesięcy i to najmłodszą.

Zjawił się młody, elegancki pan w sportowym ubraniu, wyglądający jak którykolwiek z kolegów. Na uniwersytecie studiowali często ludzie koło sześćdziesiątki, gdyż dopiero wtedy było ich na to stać. A Ernest Hemingway liczył sobie niewiele lat ponad trzydziestkę, i był szalenie interesującym nas pisarzem.

Nasz wizytujący profesor Carl Sandburg, poeta prerii i wielkiej książki o Abrahamie Lincolnie polecił nam przed spotkaniem wykalgrować słowo: HEMI-DEMI-SEMI-QUAVER. Wydrukowaliśmy je na dużym białym bristolu i powiesiliśmy nad katedrą. Nie mieliśmy pojęcia, co to słowo ma oznaczać. Pytając, dowiedzieliśmy się, że jest to sześćdziesiąta czwarta nuta w muzyce, co miało nawiązywać do muzyki uprawianej przez pisarza. Ernest Hemingway był absolwentem szkoły muzycznej.

Idąc w kierunku katedry, pisarz parsknął śmiechem. Ogłuszyliśmy go brawami. Gdy się sala uspokoiła Ernest Hemingway zaczął wreszcie mówić tym swoim uroczym głosem. Fryzurę miał jak prosto z wiatru, bez modnej w tym czasie ohydnej brylantyny. Mówił, czytał, odpowiadał na pytania, jak i kiedy powstawały różne jego nowele. Najbardziej nas interesowały jego wojenne przeżycia. Wyruszył na pierwszą wojnę światową mając dziewiętnaście lat. Głośna książka „Pożegnanie z bronią” została napisana po pierwszej wojnie światowej. Nie kreował się na bohatera, opowiadał jakim szokiem była dla niego śmierć przyjaciela z którym parę minut temu, jeszcze żywym, wypił dla kurażu drinka. Ktoś go poprosił o jakiś francuski dowcip. Opowiedział jeden czy dwa, które do naszej mentalności nie trafiły. Pytano go o geniusza w spódnicy czy o Gertrudę Stein, kiedyś wyrocznie pisarza. Pomiędzy pytanie milczeniem. Chyba było niefortunne i kłopotliwe.

— Stein mogłaby być jego chrześną matką — szepnęła starsza dama siedząca w pierwszym rzędzie, obok mnie.



Zapytany czy nie lubi rodzinnych stron, powiedział, że owszem lubi i ciągnie go do rodzinnej balii, czyli do jeziora Michigan. Pamiętałam każdy szczegół tego spotkania, albowiem Ernest Hemingway był dopiero drugim pisarzem ogłaszanym na żywo, po Sandburgu.

Kiedy pisarz skończył, wstałam żeby mu wręczyć pęk czerwonych orchidei. Zrobiłam trzy kroki ku

nemu, i nagle sala ryknęła śmiechem. Przydeptałam czarny tren mojej wizytowej spódnicy. Byłam speszona, i chyba odurzona perfumą, którą skropiłam łodygi orchidei i wstążkę. Psikus, a taki panował zwyczaj dokuczania pierwszorzeczniakom, zrobiła mi koleżanka ze starszego rocznika obcinając dyskretnie ogon mojej spódnicy. Była bogata z domu i nigdy jej już później nie lubiłam.

W 1937 roku czytałam wiele artykułów napisanych przez korespondenta wojennego w Hiszpanii, Ernesta Hemingwaya. Przeżywałam wojnę domową w Hiszpanii mocno.

W drugiej wojnie światowej Ernest Hemingway latał w bombowcach. Był szalenie odważny, został odznaczony wysokimi orderami.

Na wspomnianym odczycie siedziała dużo starsza od nas dama. Nosila jasnołilowy kostium, miała czarne oczy, mówiła obco brzmiącą angielszczyzną. To była doktorowa Hemingwayowa. Ukonowała nas zaproszeniem do zwiedzenia rodzinnego domu artysty. Zyczyła sobie, aby mówić o jej synu artyście. Deklarującym wyrazem było dla niej słowo „pisarz”, bo rozumiała je jako coś w rodzaju trampy, robijaki, lekkoducha.

Po uzgodnieniu zaproszenia do Oak Parku czyli do domu pisarza sprawiliśmy sobie odpowiednie ubranie. Miałam plisowaną sukienkę z jaskrawym zielonym kołnierzykiem. Wydałam na nią całe oszczędności, ale nie żałowałam, gdyż pani Hemingway ją zauważyła.



Zwiedzaliśmy ogród z krzewami i małą fontanną pełną gruzu, chyba pozostałość po ukończonej budowie. Garaże już nas nie interesowały. W długim hallu nakryto uroczyste stół do podwieczorku trzydziści parę talerzy, obok każdego bukietek słodkiego groszku. Bardzo nam się to spodobało. Sterty kanapek i ciastek, termosy z lodami nie zajmowały naszej uwagi. Chcieliśmy zobaczyć pokój Ernesta Hemingwaya.

Zdziwienie nasze było ogromne. Zobaczyliśmy pokój „u szczytu” w różnych tonacjach, ze skórąmi drapieżnych zwierząt na podłodze pion polowań chyba starszego pana doktora Hemingwaya. Na ścianie wisiało duże jaskrawe płótno z Górami Skalistymi, na frontowej — portret ojca konstytucji amerykańskiej, Thomasa Jeffersona. Cały pokój zajmowały półki z książkami. Najwięcej było tam kryminałów, cały Sherlock Holmes — Conan Doyle oprawiony w skórę. Curwood i pisarze Dzikiego Zachodu. Za drzwiami portret, rysowany chyba przez Picassa, Gertrudy Stein, w białej bluzce i czarnej spódnicy.

— Czy to krewna proszę pani? — spytał ktoś panią domu.

— To okropna amerykańska paryzanka, podarowała swój konterfekt Ernestowi. Uroila sobie, że jest geniuszem i mój syn jej przez pewien czas ufał. Pewnego razu przyniósł jej maszynopis „Słońce też wschodzi”. Tak rozżaliła mego syna, że rodzina bała się, że sobie coś zrobi. Na szczęście zerwał z nią raz na zawsze.

Zamilkliśmy, byliśmy już w hallu na dole, stał tam olbrzymi bukiet jubilejskich kwiatów złota-



Repr. Jerzy Kosiniński

pomarańczowych, o delikatnych płatkach skracających się w rurki przy najbliższym dotyku. Ogromnie nas to bawiło i byłobyśmy zniszczyli wazon, gdyż każda chciała ich dotknąć.

— Patriarchalny dom wydał wspaniałego pisarza, najbardziej nowoczesnego w naszym kraju, nie nudzącego czytelnika długimi opisaniami przyrody — wychwalałyśmy. Dama uśmiechała się serdecznie i dała się uprosić o pokazanie nam jeszcze słynnego music roomu Ernesta Hemingwaya. Stał tam biały fortepian, kurtyna na scenie ze szczerego jedwabiu a ręcznie malowane na niej kwiaty były dziełem pani domu.

— Wszystko co uczyniłam było za mało, aby mego ukochanego syna zatrzymać w domu — powiedziała z żalem.

Po tej wizycie w Oak Park staraliśmy się o małe bukietki dla zaproszonych naszych gości. Autografy Ernesta Hemingwaya dałyśmy sobie oprawić u introligatora, w szykowne ramki, obwiesiliśmy nimi ściany naszych studenckich pokoi. Uwielbiałyśmy Hemingwaya tak jak inne dziewczyny aktorów filmowych. Praktykował co głośno nie prawil nigdy moralów, nie był pisarzem umoralniającym, tylko moralnym. Pisał ku przestrodze, pokazywał okrucieństwa jakie niesie ze sobą wojna, a byli tacy, co sadzili, że ją gloryfikował.

— Dlaczego zerwał z wielbioną kiedyś Gertrudą Stein? — dociekaliśmy. Sandburg objaśnił nas, że po przeczytaniu maszynopisu „Słońce też wschodzi” napisała: „Ernest, zbierz obserwacje to jeszcze nie literatura”. Ernest Hemingway był wrażliwym pisarzem. Nie odpisał już na żaden z jej korzących się później przed nim listów. Krytyka w jego rodzinnym kraju nie rozpieszczęła go.

W 1954 roku Ernest Hemingway otrzymał Nagrodę Nobla. W siedem lat później odebrał sobie życie tym samym rewolwerem co jego ojciec. Nie mogłam nigdy pojąć jak mogła mu matka ofiarować tę okrutną broń. I to był prezent gwiazdkowy. Czyżby nie mogła mu darować wydatków na słynny music room za sto tysięcy dolarów?

W jakimś wywiadzie Hemingway powiedział, że całego Nobla wydał na przyjemności dla licznej rodziny, że ledwie mu zostało na paczkę Chesterfieldów, a namiętnie palił.

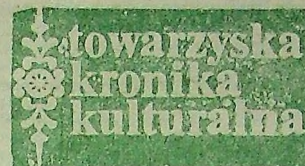
Pan Bronisław Zieliński często goszczony jako tłumacz i serdeczny przyjaciel pisarza uważał go za miłego, czarującego człowieka.

Za wydane w Polsce książki utworzone stypendium imienia Ernesta Hemingwaya, otrzymali je Anna Kowalska i Jan Józef Szczepański. Czyli była to dobra lokata.



Obrazy pisane sercem

ANDRZEJ WRZOS



Amatorzy boją się słowa „amator”. Szkoda, bo to piękne słowo. Ale amatorzy nie przestają być amatorami, bojąc się tego czy innego słowa. Amatorzy malują, rzeźbią, filmują. I zdarza się, że amator staje się wybitnym artystą, cenionym, poszukiwanym. Najtrudniejsza jest jednak droga od tego pierwszego obrazu, od tej pierwszej rzeźby, od tego pierwszego filmu do DZIELA, które rozpatruje się już w kategoriach wielkiej sztuki. Od czegoś jednak trzeba zacząć. Toteż każdy ruch kulturalny czy artystyczny, który wyławia talenty jest ruchem mądrym, pożytecznym i ważnym w ożywianiu życia publicznego. Amator jednak winien wiedzieć jedno, że dla niego najważniejszą rzeczą jest wyrażenie siebie, swojej pasji, swoich wyobrażeń świata czy swoich wreszcie kompleksów, fobii, lęków, snów, a nawet najskrytszych marzeń. Od tego jest sztuka. Amator ma nawet ułatwione zadanie, dużo prostsze niż np. reżyser po studiach, z całą ekipą współpracowników, z mecenasem, który od niego jednak czegoś żąda, ze scenarzystą, który myśl prowadzi w swoim kierunku, z cenzorem, któremu się coś nie podoba, z kamerzystą, który obraz widzi w innych parametrach, itp., itd. Amator jest sam, jest sam swoim reżyserem, scenarzystą, kamerzystą, plastykiem, a przede wszystkim jest AUTOREM swojej własnej pracy. Jego praca, praca amatora ma charakter pracy całkowicie suwerennej, w pełni autonomicznej. Tutaj gra rolę tylko talent, wyobraźnia i praca. Ktoś, kto maluje, gra, śpiewa, tańczy, filmuje dla radości serca, ktoś kto maluje, maluje przede wszystkim sercem. Oczywiście serce winno mieć kilku swoich prywatnych doradców, takich jak dobry gust, wrażliwość, wyobraźnia, talent.

Jaworski Ośrodek Kultury popiera ludzi, którzy piszą sercem,

ale którym także głowa nie odmawia posłuszeństwa. W Jaworze już po raz trzeci zebrał się filmowcy amatorzy, którzy bardzo chcieli siebie nazwać nieprofesjonalistami, i nazwali. I nie z tego nie wynika. Niby są nieprofesjonalistami, a są amatorami. Są dokładnie tacy sami jak byli. Są ludźmi, których coś bardzo obchodzi, z czym się pragną uporać poprzez obraz. Są ludźmi, którzy chcą wyrazić swoje radości, swoje pragnienie piękna, swoje prawdy wewnętrzne, są także tymi, którzy pragną się zmagać ze złem, z bezmyślnością społeczną, z idiotyzmami życia zbiorowego. Niektórzy widzą film, jako reportaż z codzienności, inni jako kreację, jeszcze inni jako grę wyobraźni, u podstaw której leży nasze zbiorowe nieszczęście, lub — jak się niektórym wydaje — szczęście. Stąd u amatorów, pff, nieprofesjonalistów duża rozpiętość tematów, form, stylów, jeśli tu i ówdzie można mówić także o stylu.

Wrzós z dostojnymi jurorami w postaci Sylwestra Chęcińskiego, Jerzego Trunkwaltera, Passendorfera wraz z Jurgą, z koleżanką Ziembią, z Gerardem Górnickim i Markiem Soltysikiem obejrzałem kilkanaście filmów, mając o każdym z nich dobre, a czasem i nie-dobre słowo. Podobalo mi się jedno, że autorzy tych filmów mają pasję, że znaleźli dla siebie sens w poszukiwaniu piękna i prawdy, że bronią swojego, ludzkiego prawa do wyrażania siebie i świata. I to wspaniale. Gorzej z wykonaniem. Obok filmów fascynujących, lali się strumienie złego gustu, niedobrych pomysłów i manierczyń obrazów. Dla mnie najzabawniejszym filmem była miniaturka poetycka pt. „Malarz”. Zgrabna, dowcipna, pełna uroku bajka, w której rzeczywistość spotyka się z fikcją. I to zdarzenie znalazło filmowy, bogaty kształt. Zaimponował mi pomysł, humor

i metaforyczna zaczepność tego obrazu. Gratulacje dla autora, Henryka Lehnerta z Oświęcimia. Dobry okazał się „Jubileusz”, czyli satyra na naszą dezinformację, naszą, to znaczy, ogólną, propagandową dezinformację, fałszującą obraz realnego życia. Znowu nastąpiło zderzenie dwu rzeczywistości, wymyślonej i prawdziwej, a autor, chyba inżynier, błysnął konceptem, co się chwali. Wiesław Włoszczowy z Warszawy zadebiutował tym filmem, ale chyba na nim nie poprzestanie. Niezłym początkiem odznaczył się film Franciszka Konrada z Krotoszy, który pragnął pokazać prywatny rozdział życia rodzinnego, ale nie-estety dalej poszedł w sztuczność, w patos i w slogany, i stracił piękną okazję, ale i tak znalazłem w tym filmie sporo szczyrzych, serdecznie zapisanych sekwencji.

Chwilami dobre wrażenie robił zapis Leona Wojtala z Mikołowa pt. „Zagubieni w cywilizacji”. Pazur niezgody na choroby cywilizacji był wyraźny i ostry, tyle tylko, że niezbyt równo drażał. Kilka ładnych zdjęć ostrzegłem w „Wy-stawie okropieństw” Piotra Sulisza z Wrocławia. Film zresztą miał też ostry charakter emocjonalny, młodzieńcki autor wykazał się wielką pasją, wyczuciem dramatu i artystycznym nosem. Janusz Kredoszyński zaurczył mnie walorami plastycznymi swojego filmu. „Tak złudne i ulotne”, to warsztatowo czysta praca, estetycznie przejmująca i myślowo niebagatelna.

Znalazłoby się pewnie jeszcze kilka innych ważnych, a tu pominętych filmów, ale moje miejsce się kończy. Jawor znowu odkrył kilka nazwisk, kilka nowych obrazów, i to samo wystarczy, żeby uznać III Dołnośląski Przegląd Filmów Nieprofesjonalnych za udany. Czekamy więc na czwarty przegląd. Laureatów tegorocznego przeglądu zaprezentowała już prasa codzienna.

Rok 1987 zapowiada się w Lubinie kulturze interesująco. Obok stałych form działalności poszczególnych placówek, wydaje się, że wydarzeniami o wyjątkowej wadze mogą się stać te kulturotwórcze działania, które budzą zainteresowanie mieszkańców Lubina i okolic, równocześnie skupiają uwagę na naszym mieście twórców, artystów, pisarzy w całym kraju. Zapowiadają się więc dwa takie wydarzenia. Po pierwsze III Lubinskie Spotkania z Literaturą Miłosną oraz także III już Biennale (Międzynarodowe) Małej Formy Graficznej i Ekstremizmu, Mikołaja Pruzi. O organizatorach Spotkań Literackich już co nieco wiemy. Powiedzmy kilka słów o biennale. Organizatorami tego ze wszech miar pożytecznego działania są: Centrum Międzyrytu w Lubinie, redakcja „Projektu” w Warszawie przy współudziale Kombinat Górnictwa-Hutnictwa i Miedzi i Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubuskiej. A więc jak widać, dobrane grono. Rozumiemy, że Centrum Międzyrytu do momentu ogłoszenia wyników konkursu biennale nabierze bardziej wyraźnej postaci i ujawni swój — jak słyszymy — bogaty program.

III Międzynarodowe Biennale zostanie otwarte w maju 1987 r. Celem biennale jest uzyskanie prac graficznych o wysokich walorach artystycznych, podejmowanie tematów związanych z zagłębieniem międzyowym, choć nie tylko. Organizatorzy, naszym zdaniem nawet przesadnie, informują, co chcieliby widzieć. A więc chcieliby widzieć motywy związane z dziejami ksiąg rękopiśmiennych, ze skrybkami i iluminatorami, z „Kodeksem Lubuskim”, z Piastami Śląskimi, z mecenasem kultury, z Mikołajem Pruzą, z Janem Jonstonem z KGHM, z Janem Wyżykowskim itp. Boimy się nieco, że zbyt nuda dyscyplina może w sferze tematycznej zawęzić krąg artystów biorących udział w konkursie, ale pozostawiamy tę troskę organizatorom.

Warto dodać, że w biennale mogą wziąć udział tylko artyści profesjonalni. Każdy z twórców może nadesłać dowolną ilość prac, wyłącznie z metalowych płyt graficznych umożliwiających powielanie (druk płaski, wkłesłodruk), jednak żadna z tych prac nie może być wcześniej wystawiana ani publikowana.

Każda praca winna posiadać trzy egzemplarze, i winna być oznaczona godłem. O szczegółach informują organizatorzy: 59-300 Lubin, ul. Odrodzenia 24. Komisarzy biennale jest artysta plastyk, Andrzej Owczarek. Będą wysokie nagrody i katalogi. Zapowiada się międzynarodowa konkurencja. Skóra nam cierpieć z wrażeń.

Przysłała swoje prace wierszowane Irena Sieradzan z Głogowa. Przeczytałismy z uwagą. Pani Ireno, wydaje się, że ma pani ucho na satyrę. Nieco gorzej jest z liryczną nutą. Ale nie martw się. Satyra też ma pole do działania. Może w tym kierunku rozwijać swoją wyobraźnię. Wszak satyra brak nam ostatnio jak lekarstw w aptekach.

Patrzeć ostro, widzieć dużo, nie lekać się pióra.

KORNIK

Historia strachu

EMIL BIELA

Francuski historyk Jean Delumeau podjął się skutecznie opracowania niezwykle tematu, który do tej pory leżał niekiedy STRACH. Dotarłszy do mnóstwa materiałów źródłowych stworzył dzieło niezwykle, rozpoczynając je czasowo między wiekiem XIV i XVIII, gdyż wyszedł ze słusznego założenia, że właśnie w tym okresie miało miejsce „królowanie” strachu w Europie. Świadczy o wówczas swoje triumfy, miał niezliczoną ilość wcieleń, panoszył się wśród wielkich i maluczkich ówczesnego świata.

Dziś do tej pory nie przeprowadzono obszerniejszej, naukowej analizy strachu? Bo pojęcie to obciążone było i jest wstydem, często — i niesłusznie — utożsamiano je z zwykłym tełhorstwem Strach, wstydliwie chowania, przeszedł niekiedy przez „szkieleto” i „oko” uczonego aż do chwili obecnej. Najwyższy czas rozprawić się z nim i sprawa, aby przestał być okryty milczeniem. O strachu trzeba po prostu mówić otwarcie i jawnie, gdyż jest to uczucie nieobecne każdemu bez wyjątku człowiekowi. O strachu trzeba mówić bez... strachu! Jeżeli założymy że w jednej z tej samej osobowości jest miejsce dla zachowań odważnych i postaw

lękliwych, to łatwo przyjdzie się zgodzić z twierdzeniem, że strach jest rzeczą naturalną. Zatem wybaczną. Zatem nie przynosiącą ujemny człowiekowi. Podatność na strach w miarę rozwoju ludzkości maleje. Obserwuje się nawet tendencje strachotwórcze. Dość wspomnieć filmowe horrory! Czy człowiek ma szansę wyzwolenia się spod panowania strachu, czy konieczne mu to jest do pełnego szczęścia? Delumeau nie daje odpowiedzi.

Czegóż to w ciągu wieków nie wymyślono, aby się straszyc? Wszelakość strachu — na którą wskazuje i którą udowadnia Jean Delumeau — przejawiała się różnorodnie. Bano się na przykład powszechnie — morza. Było ono czymś nad wyraz odstraszającym typowym miejscem strachu. Od starożytności po XIX wiek było setki przysłów, które przestrzegały przed żywiołem stonych wód Morze przynosiło niebezpieczeństwo niezliczone nieszczęścia. Kataklizm końca świata miał się również zrodzić z wody... Bano się również w Europie w okresie średniowiecza i renesansu krajów zamorskich. Był to jednakże lęk pełen pożądlivosti. Nieznane kusilo bowiem bogactwem i był to magnes, który pozwolił zachodniej Europie wyjść

na zawsze poza siebie. To był ten czas zrodzony ze strachu.

Lękano się uroków i wszelakiego wróżenia. Przestrach budziły różnego rodzaju spekulacje astrologiczne, nie mówiąc już o zaćmieniach słońca i księżyca. Powszechnie wierzone i bano się duchów zmarłych. Wierzone w widma osób nieżyjących. Ludzie jak mogli zabezpieczali się przed nieboszczykami. Potężna była też obawa przed nocą.

Długo można byłoby ciągnąć listę strachów. Osobiście najbardziej zdumiony byłem treścią rozdziału poświęconego agentowi szatana — kobiecie! Okazuje się, że można było jej bać się ponad wszystko. Jean Delumeau tłumaczy to m.in. tak, że postawa męska wobec drugiej płci była zawsze pełna sprzeczności, oscylując między podziwem a odrazą, między zachwytem a wrogością. Strachu wobec kobiety nie doceniali nawet psychoanaliza z niedawnych czasów. Korzenie lęku mężczyzny przed kobietą są liczne i bardzo złożone. Delumeau odśladania je centymetr po centymetrze i lektura tej części „Strachu w kulturze Zachodu” jest szczególnie interesująca.

Dzieła francuskiego historyka trzeba przede wszystkim polecić wszystkim sprawującym władzę. „Kultura warstwy przywódczej a strach” to właśnie tytuł drugiej części książki...

Jean Delumeau „Strach w kulturze Zachodu” — IW „Pax” Warszawa 1986, str. 436, zł 760, przełożył Adam Szymanowski.

(Od redakcji: **Bohumil Hrabal** to jeden z gigantów współczesnej literatury europejskiej. Czeski pisarz, ur. w 1914 r., prawnik z wykształcenia, zdobył sobie niepodważalną pozycję jako twórca oryginalny i obdarzony ogromnym poczuciem humoru. Odchodzi on od prozy tradycyjnie skonstruowanej. Jego rozwlekła, nieraz sprawiająca wrażenie niedbalej, narracja, oddaje wiele subtelności języka i głębię psychologiczną postaci. Takie książki prozatorskie, jak „Bar Świat” czy „Pociągi pod specjalnym nadzorem” zyskały mu sławę światową.)

W tym numerze drukujemy specjalnie dla „Polskiej Miedzi” przygotowany fragment nowej, nie drukowanej jeszcze w Polsce w całości powieści pt. „Jak obsługiwałem angielskiego króla”. Rzec archaiczna i pełna scen humorystycznych. Tłumacz, **Franciszek A. Bielaszewski**, przygotowuje powieść dla jednego z polskich wydawców. Początkowe fragmenty wprowadzają w atmosferę tej prozy i dają wyobrażenie o jej właściwościach językowych, o długich, nieraz tasemcowych zdaniach, o chropowatości stylu, o dramaturgii sytuacji. Jeśli czytelników „PM” zainteresuje publikowany fragment, a zażyczą sobie kilku następnych obrazów, zwrócimy się do tłumacza o przekaz kolejnych fragmentów dla „PM”.)

SZKLANKA LEMONIADY

Posłuchajcie uważnie, co wam powiem.

Kiedy przyszedłem do hotelu „Praga”, szef chwycił mnie za prawe ucho i ciągnąc za nie powiedział: „Ty jesteś pikolak, więc sobie zapamiętaj. Nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś. Powtórz to.” Więc powtórzyłem, że w miejscu pracy nic nie widziałem i nic nie słyszałem. Wtedy szef pociągnął mnie za lewe ucho i powiedział: „I zapamiętaj sobie, że wszystko musisz widzieć i wszystko musisz słyszeć. Powtórz to.” I ja zdziwiony powtórzyłem, że wszystko muszę widzieć i wszystko muszę słyszeć. W ten właśnie sposób rozpocząłem. Codziennie rano o godzinie szóstej staliśmy na placu, był to codzienny apel, pan hotelarz przechodził, po jednej stronie stał kierownik restauracji i jego kelnerzy a na końcu stałem ja, taki maleńki jak pikolo, a po drugiej stronie dywanu stali kucharze, pokojówki, bufetowa i pomocnice, a pan hotelarz chodził lustrując nasz wygląd, czy mamy czyste koszule, czy kołnierze u fraków są wy-czyszczzone, czy nie brakuje guzików, czy buty odpowiednio błyszczą i pochylał się, aby nosem sprawdzić, czy mamy umyte nogi, a później powiedział: „Dzień dobry panowie, dzień dobry damy...” I od tej chwili nie było nam wolno z nikim rozmawiać, a kelnerzy u-czyli mnie zawiązać przybory do serwetki, potem czyściłem popielniczki i codziennie musiałem wy-czyszczyć blaszany koszyk do rozno-szenia gorących parówek, dlatego, że ja teraz sprzedawałem gorące parówki na dworcu, nauczył mnie tego ten pikolak, który już pikolakiem nie był, on zaczął pracować w restauracji, ach, co on się naprosił, aby dalej mógł roznosić gorące parówki. Aż dziwiliem się, lecz później to zrozumiałem. Ja także nie chciałem nic innego robić, tylko roznosić po peronie gorące parówki, ileż to razy w ciągu dnia dałem paróweczkę za koronę osiemdziesiąt z rogalikiem, lecz podróży miał tylko dwadzieścia koron, czasami i pięćdziesięćkoronówkę, a ja zawsze miałem kłopoty z drobnymi, chociaż w rzeczywistości je miałem, lecz sprzedawałem dalej, kiedy już podróży wskoczył do wagonu i przedzierał się w stronę okna wyciągając rękę,

to ja w pierw stawiałem gorące parówki, a później grzebałem w kieszeni szukając drobnych, a podróży krzychał, że drobne mogą sobie zatrzymać, że on chce tylko banknoty, lecz ja i tych banknotów szukałem z ociąganiem w kieszeni, a dyżurny już gwizdał, i tak wyciągałem wolno te banknoty, a pociąg wolno ruszał, więc siedziałem obok pociągu, a kiedy pociąg nabierał szybkości, podnosiłem rękę z tymi banknotami, które już dotykały palców wychylającego się podróznego przez otwarte okno, czasami podróży wychylał się tak, że w przedziale musiano go trzymać za nogi, jeden nawet zahaczył o słup, a inny o semafor, lecz po chwili palce szybko się oddalały a ja zdyszany stałem z wyciągniętą ręką, w której trzymałem te banknoty, i tym sposobem banknoty stawały się moje, prawie nigdy żaden podróży nie upominał się o nie i w taki sposób doszedłem do własnych pieniędzy, w ciągu miesiąca zebrało się i kilkadziesiąt koron, doszło do tego, że posiadałem banknot tysiackoronowy, ale rano o szóstej i wieczorem przed spaniem szef chodził kontrolować czy umyłem nogi, a o dwunastej musiałem leżeć w łóż-

ku, to ja w pierw stawiałem gorące parówki, a później grzebałem w kieszeni szukając drobnych, a podróży krzychał, że drobne mogą sobie zatrzymać, że on chce tylko banknoty, lecz ja i tych banknotów szukałem z ociąganiem w kieszeni, a dyżurny już gwizdał, i tak wyciągałem wolno te banknoty, a pociąg wolno ruszał, więc siedziałem obok pociągu, a kiedy pociąg nabierał szybkości, podnosiłem rękę z tymi banknotami, które już dotykały palców wychylającego się podróznego przez otwarte okno, czasami podróży wychylał się tak, że w przedziale musiano go trzymać za nogi, jeden nawet zahaczył o słup, a inny o semafor, lecz po chwili palce szybko się oddalały a ja zdyszany stałem z wyciągniętą ręką, w której trzymałem te banknoty, i tym sposobem banknoty stawały się moje, prawie nigdy żaden podróży nie upominał się o nie i w taki sposób doszedłem do własnych pieniędzy, w ciągu miesiąca zebrało się i kilkadziesiąt koron, doszło do tego, że posiadałem banknot tysiackoronowy, ale rano o szóstej i wieczorem przed spaniem szef chodził kontrolować czy umyłem nogi, a o dwunastej musiałem leżeć w łóż-

ku, to ja w pierw stawiałem gorące parówki, a później grzebałem w kieszeni szukając drobnych, a podróży krzychał, że drobne mogą sobie zatrzymać, że on chce tylko banknoty, lecz ja i tych banknotów szukałem z ociąganiem w kieszeni, a dyżurny już gwizdał, i tak wyciągałem wolno te banknoty, a pociąg wolno ruszał, więc siedziałem obok pociągu, a kiedy pociąg nabierał szybkości, podnosiłem rękę z tymi banknotami, które już dotykały palców wychylającego się podróznego przez otwarte okno, czasami podróży wychylał się tak, że w przedziale musiano go trzymać za nogi, jeden nawet zahaczył o słup, a inny o semafor, lecz po chwili palce szybko się oddalały a ja zdyszany stałem z wyciągniętą ręką, w której trzymałem te banknoty, i tym sposobem banknoty stawały się moje, prawie nigdy żaden podróży nie upominał się o nie i w taki sposób doszedłem do własnych pieniędzy, w ciągu miesiąca zebrało się i kilkadziesiąt koron, doszło do tego, że posiadałem banknot tysiackoronowy, ale rano o szóstej i wieczorem przed spaniem szef chodził kontrolować czy umyłem nogi, a o dwunastej musiałem leżeć w łóż-

Jak obsługiwałem angielskiego króla

BOHUMIL HRABAL
przekład Franciszek A. Bielaszewski

ku, i tak zaczynałem nic nie widzieć i nic nie słyszeć, chociaż wszystko widziałem i wszystko słyszałem wokół siebie, widziałem ten porządek i to posłuszeństwo, kiedy szef jest zadowolony, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądało, że szef nas nie lubi, lecz tak nie było, gdyby kasjerka poszła z kelnerem do kina, od razu dostaliby wypowiedzenie, poznałem także gości w kuchni, był tam, stół dla stałych gości, codziennie czyściłem z tego stołu szklanki, każdy gość posiadał swój numer lub znak, szklanka z jeleniem, szklanka z fiołkami, szklanka z miasteczkiem, szklanki graniaste, i szklanki beczukowate, kamienny dzbanuszek ze znakiem HB, a z Monachium i każdego wieczoru przychodziła owa elita, pan notariusz i prezes sądu, weterynarz i kierownik szkoły muzycznej, fabrykant Jina, i wszystkim pomagałem nakładać i zdejmować płaszcze, kiedy przynosiłem piwo, musiała każda szklanka trafić do właściwych rąk, do swego właściciela, a ja dziwiłem się, jak ci bogaci ludzie potrafili cały wieczór dyskutować, na przykład o tym, że za miastem jest kładka i tam przy tej kładce przed trzydziestoma laty stała topola, i teraz się rozpoczęło: jeden mówił, że tam nie było kładki, że tam była tylko topola, a drugi, że tam nie było topoli, że tam była tylko kładka, właściwie nie kładka lecz deska z poręczą, i tak potrafili popijać piwo, dyskutować na ten temat krzyżać i przeklinać, lecz tak na niby, skakali sobie do oczu przez stół, że tam była kładka a nie topola, a z drugiej strony, że tam była topola a nie kładka, lecz po chwili uspokajali się i wszystko znowu było dobrze, krzyżali dlatego, żeby im lepiej smakowało piwo, kiedy indziej kłócili się o to, jakie piwo w Czechach jest najlepsze, jeden, że popowickie, drugi, że wodniańskie, trzeci, że pilzner, czwarty, że nymburskie i kruszowickie, i znowu na siebie

bowiem myśleli, że jestem sierotą. I tak we mnie dojrzał plan, że jednego wieczoru po godzinie jedenastej, gdy umyję nogi, wyskoczę przez okno ze swojego pokoju i zajdę do „Rajskich”. Ten dzień w „Złotym Mieście Praga” zaczął się ponuro. Przed południem weszło do naszej restauracji towarzystwo Cyganów, byli dobrze ubrani, mieli także pieniądze, byli to kotlarze, usiedli do stołu i zamawiali wszystko co było najlepsze, a i za każdym razem, kiedy zamawiali, wyciągali pieniądze, dyrektor Szkoły Muzycznej siedział przy oknie, a że ci Cyganie mówili głośno, więc przesiadł się do innego stolika na środek restauracji i czytał książkę, musiała to być interesująca książka, bowiem pan dyrektor wstał i odszedł o trzy stoliki dalej, ciałe czytając książkę, a kiedy siadał, to czytał, ręką namacał krzesło i czytał dalej, a ja czyściłem szklanki dla stałych gości, patrzyłem na nie pod światło, było jeszcze daleko do obiadu, była tylko zupa i gulasz dla kilku gości, to było właśnie to, że wszyscy kelnerzy, nawet wtedy kiedy nie mieli żadnego zajęcia, cały czas musieli coś robić, tak jak ja cały czas czyściłem szklanki, a i kierownik stojąc układał w przyborniku widelce i noże, a kelner układał serwetki, a teraz za oknem, kiedy patrzyłem przez szklankę, że „Złota Praga”, zobaczyłem, rozniewianych Cyganów, wbiegli do naszej „Złotej Pragi”, już w korytarzu wyciągnęli noże, i teraz zaczęło to być groźne, podeszli do tych kotlarzy, a ci jakby na nich czekali, powstał cięgnąc za sobą stoły aby ci z nożami nie mogli przybliżyć się do nich, lecz po chwili już dwaj Cyganie leżeli na podłodze z nożami w plecach, a ci Cyganie co przyszli cieli i siekali nożami gdzie popadło, tak że stoły były pełne krwi, lecz dyrektor Szkoły Muzycznej czytał dalej, uśmiechał się, a ta cygańska wichura przeleciała nie obok niego lecz przez niego,

dzilo gódes zza karniszy, odbija-
jąc się od sufitu padało w dół jak
galezie wierzby pływającej, usia-
dłem i kiedy w kieszeni namaca-
łem pieniądze, to wtedy odyska-
łem pewność siebie i powiedziałem,
czyż nie pani ze mną kolekcję?
I o będzie pani pila? a ona od-
powiedziała, że szampa, kiwnę-
łem głową że się zgadzam, a ona
klasnęła i przyszedł kelner z bu-
telką szampa i przyniósł kielisz-
ki, otworzył butelkę i nalał, pi-
łem szampa i bąbelki wlatywały
mi do nosa, kichałem a panienka
pila kieliszek za kieliszkiem, kiedy
mi się przedstawiła, zachciało mi
się jeść, i ja powiedziałem, tak,
proszę podać wszystko co jest naj-
lepszego, a ona powiedziała, że lu-
bi ostrzygi, że tutaj mają świeże,
więc jedliśmy ostrzygi i piiliśmy
drugą butelkę szampa, a potem
następna, a ona zaczęła głaskać
mnie po włosach i pytała skąd po-
chodzę, a ja jej odpowiedziałem,
że z tak małej wsi, że węgiel po
raz pierwszy zobaczyłem w ze-
szłym roku, a ona z tego się śmia-
ła i powiedziała, żebym poczuł się
jak u siebie, było mi gorąco, zdją-
łem marynarkę, a ona powiedziała,
że jej jest także gorąco, więc mo-
głaby zdjąć suknię, a ja jej po-
magałem i układałem jej sukien-
kę na poręcz krzesła, a ona mi
potem rozpięła rozporek i teraz
wiedziałem, że tutaj „U Rajskich”,
musi być pięknie, prześlicznie,
rozkosznie, wzięła mnie za głowę
i przytuliła do piersi, a te piersi
pachniały, zamknąłem oczy tak
jakby chciało mi się spać, tak
piękny był ten zapach i te kształ-
ty i delikatność skóry, a ona prze-
sławiła moją głowę coraz niżej
i niżej, wciąłem jej brzuszek,
ona coraz szybciej oddychała, i by-
ło to tak strasznie pięknie, że nie
innego sobie nie życzyłem, tylko
właśnie to, i właśnie na to będę
każdy tydzień oszczędzał na go-
rących parówkach, osiemset i wię-
cej, bo mam piękny cel, wzniosły
cel, jak mawiał ojciec, żebyż za-
wsze posiadać cel, i wtedy będę oca-
lony, dlatego, że będę posiadał ży-
cie wartościowe. Lecz to była do-
piero pierwsza część tego, Jarusz-
ka mi później delikatnie ścignęła
spodnie, zdjęła spodniaki i calo-
wała mnie w czule miejsca, a ja
wtedy zacząłem się cały trząść z
wrażenia, co się tutaj dzieje, tak
roztrzęsiony, skuliłem się w kłębek
i powiedziałem, co też Jaruszka
robi? A ona się opanowała na mo-
ment, lecz kiedy na mnie popatr-
zyła, to nie ustąpiła, wzięła mnie
do ust a ja ją odpychałem, lecz
ona była jak opętana, trzymała
mnie w ustach i poruszała głową,
przyspieszając coraz bardziej te
ruchy, i później już jej nie od-
pychałem, nie odrzucałem jej, lecz
cały się naprężylem, i trzymałem
ją za uszy, i poczułem jak wy-
ciekam, jak to jest całkiem coś
innego, kiedy to robiłem sam, a
teraz to właśnie do ostatniej kropli
ze mnie wypłyła panienka ze
słiznymi włosami, z zamkniętymi
oczami, wypłyła ze mnie to, co
wystrzykiwałem i strącałem ze
wstrętem na węgiel w piwnicy lub
do chusteczki w łóżku... kiedy pod-
niosła się, powiedziała głosem na-
miętnym, a teraz pokochajmy się...
lecz ja byłem zbyt przejęty i
zwindnięty, więc broniąc się po-
wiedziałem, że chce mi się jeść,
czy pani także? I do tego chciało
mi się jeszcze pić, wzięłem szklan-
kę Jaruszkę, starała się nie do-
puścić do tego, lecz nie mogła mi
w tym przeszkodzić i rozczarowa-
ny odożyłem szklankę, dlatego, że
w niej nie było szampa, lecz le-
moniada, ona od samego początku
pila lemoniadę, za którą płaciłem
jak za szampa, a ja wiedziałem
się o tym dopiero teraz, roz-
żemiałem się i zażądałem jeszcze
jedną butelkę, a kiedy kelner ją
przyniósł, otworzyłem ją sam i na-
lałem, a potem jeszcze jedliśmy,
z lokalu dochodziła muzyka, i kie-
dy dopiliśmy szampa poczułem
się trochę wstawiony, znowu u-
kloniłem i położyłem głowę na jej
kolanie i zacząłem je całować, roz-
wiałem językiem te piękne

pierścienki włosów, ja nie waży-
łem zbyt dużo, więc panienka
chwyciła mnie pod ramiona i
wciągnęła na siebie, rozłożyła no-
gi, a ja jak po masle wjechałem
pierwszy raz w kobietę, to na co
się cieszyłem, stało się, a ona przy-
cisnęła mnie do siebie i szeptała,
żebym wytrzymał, żeby jak naj-
dłuż, lecz ja tylko dwa razy się
poruszyłem, a za trzecim razem
wyciekłem w ciepłe mięso, a ona
wygięła się w łuk, i leżała tak, że
włosami i stopami dotykała kana-
py, a ja leżałem na moście z jej
ciała, aż do tego momentu, kiedy
całkowicie zwiędłem, pozostałem
w jej rozstawionych nogach, tak
długo, aż wyszliśmy się i położy-
łem się obok niej, oddychała szyb-
ko, namacała mnie ręką i głaskała
po brzuchu i po całym ciele... I
tak nadszedł czas ubierania i nad-
szedł czas pożegnania i czas płacenia,
a kelner liczył, i liczył, po-
dał mi rachunek na siedemset
dwadzieścia koron, a ja odchodzi-
łem dwie stówki Jaruszcze, a
kiedy wychodziłem od „Rajskich”
i stanąłem w ciemnościach, opar-
łem się o najbliższą ścianę, stojąc
nieruchomo, rozmarzony, pierwszy
raz dowiedziałem się, co dzieje się
w tych pięknych domach, gdzie są
panienki, lecz powiedziałem sobie,
sam widziałem, więc przyjdzie tu-
taj jutro i będziesz robił z siebie
wielkiego pana, bowiem wszyst-
kie zaszkowales, bo przyszedłeś
jak pikolak, który roznosi na
dworcu gorące parówki, a odcho-
dzisz wsiadując niżej jeden pan,
który siaduje w „Złotej Pradze”
przy stole dla miejscowej elity,
przy którym mogą siedzieć tylko
miejscowi notabie, miejska śmie-
tanka...

A na drugi dzień patrzyłem na
świat innymi oczyma, a pieniądze
otworzyły mi drzwi nie tylko do
„Rajskich”, ale także do szacun-
ku względem osoby, jeszcze
teraz sobie przypominam panią
Rajską w portierni, kiedy zoba-
czyła, że rzuciłem w powietrze
dwie stówki, to chwyciła mnie za
rękę i chciała mnie w nią pocało-
wać, a ja myślałem, że chciała zo-
baczyć która jest godzina, na tym
zegarku, którego jeszcze nie po-
sadałem, właściwie ten pocałunek
nie był dla mnie, lecz on był prze-
znaczony dla tych dwóch stówek,
i w ogóle dla wszystkich pieni-
dzy które posiadałem...

Tego ranka zostałem wysłany z
koszem po kwiaty, kiedy wraca-
łem, zobaczyłem jak emeryt lazi
na czterech łapach i szuka zagu-
bionych pięćdziesięciu halerzy,
właśnie wtedy uświadomiłem so-
bie, tak jak notabie chodzą do nas,
pan ogrodnik, wędliniarz, rzemie-
lnik i właściciel parowej młeczarni, że
właśnie u nas schodzą się ci, któ-
rzy dostarczają nam pieczywa i
mięso, kiedy szef raz sprawdził lo-
dówkę, to nie po raz pierwszy po-
wiedział, idź natychmiast do rzec-
nika i powiedz mu, niech on sobie
to wynajduje ciele natychmiast
odwiezie, teraz, w tej chwili, i rze-
czywiście do wieczora ciele zosta-
ło odwiezione a mistrz rzemie-
lnik siedział tak jakby nie się stało,
lecz ten emeryt miał chyba słaby
wzrok, bo grzebał w tym piasku
jak niewiedomy, mówię, czego szu-
kacie tatuśku? A on odpowiedział,
że zgubił pięćdziesiąt halerzy, a ja
odczekałem, aż więcej ludzi bę-
dzie przechodziło obok nas i wzią-
łem garść drobnych i rzuciłem w
stronę emeryta, szybko chwycił
kosz z kwiatami i poszedł dalej,
a kiedy po chwili się obejrzałem,
zobaczyłem jak po ziemi czołga się
jeszcze kilku przechodniów, wszy-
scy mieli wrażenie, że to im wy-
padły te pieniądze, i jeden osa-
czał drugiego, żeby mu te pienia-
dze oddał, i tak na czworakach
klócili się i parskali na siebie,
skakali sobie do oczu jak zdzieca-
łe koty, a ja roześmiałem się i
wiedziałem, co może ludzi wzru-
szyc, w co ludzie wierzą i do cze-
go są zdolni za kilka drobnych
monet. I zbiegłem po schodach,
przyjałem kwiaty i zawsze dwie
gałązki szaragusa i dwa goździki
widziałem do wazoniku, przy tym

patrzyłem przez okno, widać było
jak przechodnie lażą na czterech
łapach i zbierają drobne pienią-
dże, moje monety, a przy tym kló-
cą się, że te samą monetę widział
wczesniej ten który ja podniósł...
I w tę noc i w następne snilem
i marzyłem, później w ciągu dnia,
kiedy nie miałem nic do roboty,
choćbym musiałem udawać, że mam
dużo pracy, kiedy czyściłem
szklanki i spoglądałem na nie pod
światło i przykładałem szkło do
oczu i widziałem przez nie na dru-
gą stronę, na rozległy rynek i mo-
rowy słup i niebo a na nim chmu-
ry i w czasie dnia marzyłem o
tym, jak latam nad miastem, nad
małymi i wielkimi miastami, jak
mam nieskończenie wielką kie-
szeń i jak nabieram pełną garść
monet i rzucam je na chodniki,
zawsze się rozsypują jak ziarno
przy siewie, lecz zawsze na ple-
cach przechodniów lub stojących,
pełne garście drobnych monet,
i widzę, że prawie żaden nie wy-
trzymuje i zbiera te pieniążki, wi-
dząc jak jeden drugiego odrzuca ba-
ranim sposobem, jak się klóć,
lecz ja już lecę dalej i to mnie
uszczęśliwia, i podczas snu się
wznosiłem w tym błogostanie, kie-
dy brałem pełne garście pieniędzy
i rzucałem następnym ludziom za
plecami, a pieniążki brzęcząc
dźwięcznie rozbiegały się, a ja po-
sadałem taką właściwość, że jak
poszła wlatywałem do wagonu
lub tramwaju i niespodziewanie
rozrzuciłem garść miedzików po
podłodze, wszyscy natychmiast po-
chyłali się wzajemnie się odpycha-
jąc, żeby tylko pozbiierać te drob-
ne, o których każdy myślał i uda-
wał, że wypadły z jego kieszeni...
I te marzenia dodawały mi wiary,
a że byłem taki maleńki, więc mu-
siałem nosić wysoki kauczkowy
kolekier, miałem małą i krótką
szyję, i ten kolekier wrzynał mi
się w brodę, dlatego — aby to
mnie nie bolało — miałem głowę
ciągle podniesioną, i w ten sposób
nauczyłem się patrzeć na ludzi,
bowiem nie mogłem bez zadawania
sobie bólu patrzeć w dół, więc
pochylałem się całym ciałem chcąc
schylić głowę, powieki mi opadały
i na świat patrzyłem tak, jakbym
nim pogardzał, drwił, naśmiewał
się, tak więc i goście myśleli, że
jestem nadęty, i w ten właśnie
sposób nauczyłem się stać i cho-
dzić, stopy miałem cały czas roz-
palone jak żelazo, aż zdziwiłem się,
że nie spaliły mi się buty, tak mnie
paliły stopy, czasami byłem tak
wyczerpany tą boleścią, że wlewa-
łem do butów wodę sodową, zwa-
szała na dworcu, lecz to pomagało
tylko na chwilę, wtedy byłem na
granicę wytrzymałości, rzucić bu-
ty i we fraku biec do potoku i
tam zanurzyć te swoje nogi w lo-
dowatej wodzie, i tak, znowu wle-
wałem sobie do butów wodę so-
dową, a czasami i trochę lodu,
teraz zrozumiałem, dlaczego kie-
rownik i kelnerzy w czasie służby
noszą najstarsze buty, te najbar-
dziej rozczłapane, te, które znaj-
dujemy na wysypiskach śmieci,
dlatego, że w tych butach można
wytrzymać cały dzień, chodzić
i stać, i w ogóle wszyscy, poko-
jówki i kasjerki cierpieliśmy ze
względu na nogi, a wieczorem,
kiedy zdjąłem buty, to nogi mia-
łem zakurzone aż do kolan, tak
jakbym brodził cały dzień po ha-
dzie węglowego pyłu, nie po dy-
wanach i parkietach, to była dru-
ga strona mojego fraka, podszew-
ka wszystkich kelnerów, pikolo-
ków na całym świecie, biała na-
krochmalona koszula i jaskrawo
białe mankiety i kolekierzyk, i
wolno czarniejące nogi, jak przy
jakiejś straszliwej chorobie, kiedy
człowiek zaczyna umierać od stro-
ny nóg... ale! każdego dnia za-
oszczędzałem sobie na następną
panienkę i za każdym razem na
nową, ta druga panienka w moim
życiu, to była blondynka. Kiedy
wzszedłem i zapytali mnie co sobie
życze, powiedziałem, że chcę zjeść
kolekcję i zaraz dodałem, w ambre
separé, a kiedy zapytali mnie z
kim? wskazałem blondynkę i zno-
wu byłem zakochany w tej blon-

dynee, i było to piękniejsze niż
ostatnim razem, chociaż to pier-
wsze jest zawsze przeżyciem je-
dynym w swoim rodzaju. I tak
cały czas próbowałem magicznej
siły pieniędzy, zamówiłem szam-
pana, lecz wpiw sam posmakowa-
łem, bowiem panienka musiała
pić razem ze mną, tego już nie
znosiłem, żeby mnie nalewano
szampa a panience lemoniady.
I kiedy leżałem nagi i byłem wpa-
trzony w sufit, a blondynka leża-
ła obok mnie i także wpatrywała
się w sufit, nagle wstałem i wzią-
łem z wazonu piwówkę, zerwałem
z niej płatki i obłożyłem panien-
ce dookoła brzuszek, to było takie
piękne, aż się sam zdziwiłem, a
panienka podniosła głowę i popa-
trzyła na swój wystrojony brzu-
szek, ale płatki spadały a ja ją
na powrót przycisnąłem delikat-
nie żeby leżała, że ściany zdjąłem
lustro i ustawiłem je tak by pa-
nienka mogła się zobaczyć, jak
piękny jest jej brzuszek ozdobo-
ny płatkami piwówki, powiedziała,
że kiedykolwiek tutaj przyjdę bę-
dzie cudownie, bo wtedy takim
kwiatami jakie będą w wazonie
ozdobie jej brzuszek, i ona jeszcze
powiedziała, że to jej się jeszcze
nie zdarzyło, taki hold dla jej kra-
sy, i zaszeptała mi, że dzięki tym
kwiatom rozkochała się we mnie,
a ja jej powiedziałem, jakie to bę-
dzie piękne, kiedy na Boże Naro-
dzenie narwę świerkowych gałą-
zek i ustroję jej brzuszek tymi ga-
łązkami, a ona powiedziała, że do-
brze będzie, jeżeli ona załatwi, by
nad kanapą na suficie wisiało
z zwierciadło, żeby widzieli siebie
leżąc, a zwłaszcza ona jaka jest
piękna, kiedy jest naga z wian-
kiem wokół kołuszka, z wianusz-
kiem, który będzie się zmieniał
według pór roku, i kwiatów, które
są symbolem dla każdej pory
roku dla każdego miesiąca, jakie
to będzie piękne, kiedy obłożę jej
lono paprotkami, chryzantemami i
jesiennymi liśćmi... i wstałem i
poczułem się wielki, byłem wielki,
kiedy odchodziłem, dałem jej je-
szcze dwieście koron, lecz ona mi
je oddała, a ja je położyłem na
stole i odchodząc miałem wraże-
nie, że jestem teraz wysoki metr
osiemdziesiąt, i pani Rajskiej po-
dałem przez okno dwieście koron,
w którym ona siedziała pochylo-
na i patrzyła na mnie przez oku-
lary... i wszedłem w noc, a niebo
wisiało w ciemnych uliczkach peł-
ne gwiazd, a ja nie widziałem nic
innego jak saskanki, przebieżniki,
niezapominajki ułożone w wianu-
szuszek na brzuszku blondynki,
im dłużej szedłem, tym bardziej
podziwiałem siebie, skąd mi przy-
szło do głowy obłożyć jak szynkę
sałatą na talerzu, brzuszek pa-
nienki z wysepką włosów po śro-
dku i tak, jak znalazłem kwiaty, ma-
rzyłem dalej, strojąc naga blon-
dynkę ziółkami i płatkami tulipa-
nów, piwonii, i postanowiłem so-
bie, że wszystko jeszcze zrealizu-
ję, dlatego, że przez cały rok bę-
dę miał zabawę, że za pieniądze
można kupić nie tylko ładną
dziewczynę, lecz można kupić i sa-
mą poezję. Na drugi dzień rano,
kiedy stałymi na przegładzie,
szef przechadzał się i lustrował
nas, czy mamy czyste koszule,
wszystkie guziki, a kiedy powie-
dzał Dzień dobry panowie, dzień
dobry damy, popatrzyłem na po-
kójkowie i bufetową, patrzyłem na
ich białe fartuszki tak, że mnie
pokójkowie wytarła za ucho, tak
przenikliwie patrzyłem, i odkry-
łem, że ani jedna nie pozwoliłaby
sobie obłożyć brzuszek i włoski
paprotkami ani piwówkami, a co
dopiero, jak sarenka gałązkami
świerkowymi... i tak czyściłem
szklanki, patrzyłem przez nie na
światło wielkich okien, za którymi
chodzili przecięt na pół ludzie, a
ja wędrowałem w marzeniach w
mozaice letnich kwiatów, i kwia-

(Ciąg dalszy na str. 22)

łami lub płatkami kwiatów stroiłem brzuszek blondynki, ona leżała na plecach z rozchyłonymi nogami, a ja stroiłem ją całą wokół ud, a kiedy te kwiaty zsuwały się, lepiłem je klejem, albo lekko przypinałem je pineskami lub małymi gwioździkami, i tak czyściłem wzorowo szklanki, nikt nie chciał tego robić, a ja plukałem szkło w wodzie, patrzyłem na szklankę pod światło czy jest czyista, patrząc na nią myślałem o tym co jeszcze zrobić u „Rajskich”, i tak doszedłem do ostatniego kwiatu z ogrodów, łak i pół, posmutniałem, co będę robił w ziemi? Lecz po chwili roześmiałem się szczęśliwy, dlatego, że kwiaty w ziemi są piękniejsze, kupię magnolie lub pojedę do Pragi po orchideę, albo przeprowadzę się do Pragi na stałe, tam są także wolne miejsca w restauracjach, i tam będę miał całą zimę kwiaty... zbliżało się południe, rozosiłem talerze i serwetki, czerwona i żółta lemoniada, piwo, a kiedy była pora obiadowa, to było najwięcej pracy, wtedy otworzyły się drzwi, wprawy weszła, a potem się odwróciła, ta piękna blondynka od „Rajskich”, usiadła i otworzyła torebkę i wyjęła z niej białą kopertę, i rozejrzała się, przekleknąłem żeby zawiązać sobie but, a serce łomotało mi w kolanie, przyszedł kierownik i powiedział idź szybko obsługiwać, lecz ja się wahalem, tak jakby kolano zamieniło się miejscem z sercem, tak mi wtedy ono waliło, lecz zebrałem się w sobie, wyprostowałem, przetrząsnąłem przez rękę serwetkę, i zapytałem się panienki, jakie ma życzenie, a ona odpowiedziała, że chce zobaczyć mnie i malinową lemoniadę, a ja widziałem, że ma na sobie sukienkę, letnią sukienkę pełną piwonek, zrobiło mi się gorąco, poczerwieniałem jak najczerwieńsza piwonia, tego nie oczekiwalem, tam były moje pieniądze, tam były moje tysiące, to co widzę teraz, za to nie muszę płacić, więc poszedłem po tacę malinowych lemoniad, kiedy je przyniosłem, blondynka wzięła kopertę z której powoli na obrus wysunęły się te dwie stówki, moje dwie stówki, i patrzyłem na nie tak, że aż zadzwoniłem butelkami, i ta pierwsza z brzegu się przewróciła, pochylając się wolno, wylewając się na jej sukienkę i kolana, przybiegli natychmiast kierownik, i zaraz po nim sam szef, przepraszając blondynkę, szef chwycił mnie za ucho i zakręcił nim, lecz tego nie miał robić, bowiem blondynka krzyknęła na całą restaurację: Na co pan sobie pozwala? A szef: Oblał panią lemoniadą i zniszczył sukienkę, a ja będę za to musiał zapłacić... A ona: Co panu do tego, ja od pana nie chcę, wy tego człowieka tak poniewieracie? A szef głodko: Oblał pani sukienkę..., wszyscy przestali jeść, a ona powiedziała: Nie panu do tego, i ja zabraniam panu, niech pan patrzy... Wzięła butelkę lemoniady i wylała ją sobie na głowę, później wzięła drugą i cała była w malinowej lemoniadzie i pęcherzykach wody sodowej, a potem wylała na siebie ostatnią lemoniadę za dekolot... i powiedziała: Płacę... i wyszła, a za nią zapach malin, i ona wyszła w tej sukience jedwabnej, pełnej piwonek, a teraz była w towarzystwie pszczoł, szef wziął kopertę ze stołu i powiedział: Idź za nią, przypomnieliś na stole... i wytłęknąłem za nią.

Nie wszyscy sprzedawcy, bowiem byli pomiędzy nimi tacy, których towar był kiepski, byli to agenci z „dopłać wodą”. Najbardziej lubiłem tłustego sprzedawcę, który przyszedł do nas po raz pierwszy, więc poszedłem po samego szefa, aż się szef przestraszył, i zapytał co się stało? A ja z siebie wykrztu-

siłem, panie szefie, przyszedł porządny jegomość, i tak szef przyszedł zobaczyć, i naprawdę, nigdy jeszcze takiego tłustego człowieka nie mieliśmy, szef mnie pochwalił i wybrał dla niego pokój, w którym ten sprzedawca zawsze siedział, specjalne łóżko tam było, pod które nasz palacz podłożył cztery kłocce a do tego wzmocnił całe łóżko drągami. I ten sprzedawca przedstawił się nam z dobrej strony, miał z sobą jeszcze pomocnika, który nosił na plecach coś ciężkiego, wyglądał ten pomocnik jak tragarz na dworcu, na plecach miał coś, co wyglądało jak wielka maszyna do pisania. A wieczorem, kiedy ten agent zjadł kolację, on jadł kolację zawsze tak, że w jadłospisie wybierał, tak jakby nie mógł z niego nic wybrać, a następnie powiedział: więc oprócz płuczek na kwaśno, proszę mi przynieść wszystkie główne dania, jedno po drugim, jak będę kończył jedno przyniesiecie następne, aż powiem dosyć. A kiedy się najadł, zjadał zawsze dziesięć obiadów, rozmarzył się i powiedział, że chciałby coś na deser, i na początek to było dziesięć deko salami. Kiedy szef mu je przyniósł, ten sprzedawca wziął

jest właśnie to, pierwszy jest Bóg, druga jest firma Internacjonal, właśnie to macie tutaj, jest to maszyna, która cały dzień bez pomyłki liczy, która jest pożądana na całym świecie, jest nią kasa, kiedy cały dzień bez pomyłki wciśkacie guziki, to wieczorem zamiasz liczenia, ta kasa zrobi za was bilans z całego dnia dalej, jako trzecia firma po Bogu jest firma van Berkel, która produkuje wagi, która waży na całym świecie, na równiku, na biegunie wszędzie waży dokładnie, a także produkujemy wszelkiego rodzaju maszyny do krojenia mięsa i salami, zaletą tej maszyny jest to... powiedział i ściągnął z salami skórkę, położył ją na wagę a następnie kręcił korbką i drugą ręką przykładł salami do kręcącego się ostrza, po drugiej stronie zaczęła rosnąć kupka nakrojonego salami, była tak duża, jakby pokroił całe salami, lecz z tego salami ubył tylko trochę... i agent przestał kręcić i zapytał, jak myślicie, ile tego salami nakroiłem? Szef powiedział piętnaście deko, kierownik powiedział jedenaście. A co ty mały? zapytał się mnie. A ja powiedziałem osiem deko i szef wziął mnie za ucho, zakręcił

zał sobie przynieść do pokoju wodę mineralną. Zawsze, kiedy mu ją przynosiłem, był już w piżamie, leżał na dywanie. A ten ogromny brzuch leżał obok niego, jak wielka beczka, i to mi się spodobało, że on się nie wstydył tego brzucha, lecz na odwrót nosił go przed sobą, jako reklamę na cały świat, który wychodził mu naprzeciw. Zawsze mi mówił, usiądź syneczku, i znowu uśmiechał się, czułem się zawsze tak, jakby pogłaskał mnie tatuś, może nie tatuś, lecz jak mamusia. Raz mi opowiadał, wiesz, i ja rozpoczynałem tak samo jak ty, taki całkiem mały, w firmie Koreff, och, ty moje dzieciętko, do dzisiaj pamiętam mojego szefa, ten mi zawsze mówił, dobry handlowiec ma zawsze trzy rzeczy: nieruchomości, sklepy i magazyny, kiedy stracisz interes, pozostanie ci magazyn, kiedy stracisz magazyn, pozostaną ci nieruchomości, a tych stracić nie możesz, ale pewnego razu posłano mnie po grzebień, miałem przywieźć grzebień, piękne grzebień, osiemset koron kosztowały te grzebień, wiozłem je na bagażniku na rowerze w dwóch wielkich torbach, weź sobie ten cukierek, weź ten, to są wiśnie w czekoladzie, i tak jadę pod górę, ile masz lat? powiedziałem, że piętnaście a on pokijał głową, wziął cukierek i młaskał i mówił dalej, więc wiozę pod górę te grzebień i wtedy wyprzedziła mnie wieśniaczka, także na bicyklu i na górce w lesie zatrzymała się, a kiedy dojechałem, to ona popatrzyła na mnie, tak natarczywie, że spuściłem oczy, a ona pogłaskała mnie i powiedziała, pójdziesz ze mną na maliny? I ja położyłem swój bacyk z tymi grzebieńiami do rowu, a ona ten damski bacyk położyła na mój i wzięła mnie za rękę i zaraz za pierwszym krzakiem przewróciła mnie na ziemię i rozpięła rozpiętek, ani się nie spodziewałem kiedy już leżała na mnie, i ja leżałem przykryty tą wieśniaczką, i tak ta wieśniaczka była moją pierwszą dziewczyną, wtedy ja przypomnieliśmy sobie o moich grzebieńiach i o bacyku, więc natychmiast pobiegłem, ten damski bacyk leżał na moim bacyku, w tym czasie damskie bacyki miały przy tylnych kołach taką siateczkę, taką jakie mają konie na łbach i karbach, kiedy się je wystrói na jakieś święto, i ja namacałem moje grzebieńie i odetchnąłem z ulgą, a ta wieśniaczka, kiedy przybiegła i zobaczyła, że nie mogę wyciągnąć pedału z jej siatki, tak mi powiedziała, że to jest znak, abysmy jeszcze pozostali z sobą, lecz ja się bałem o moje grzebieńie, weź sobie jeszcze ten cukierek... i odjechaliśmy bacykami w głąb lasu, i tam wieśniaczka znowu włożyła rękę do moich spodni, tak, byłem wtedy młodszy niż dzisiaj, i wtedy ja leżałem na niej, tak jak leżały nasze bacyki w krzakach, więc ten jej leżał na ziemi, a ten mój na nim, i tak kochaliśmy się, tak jak te bacyki, i to było piękne, zapamiętaj sobie synku, że życie jeżeli chociaż trochę się powiedzie wtedy jest piękne... ach... lecz idź już spać, rano musisz, weźnieś wstawać, wiesz syneczku? I wziął butelkę i cała jej zawartość wlał do gardła, słyszałem jak woda pluśkała mu w zóładku, tak się przelewała jak z rynny deszczowej do zbiornika, wtedy kiedy przewróciłem się na bok, woda głośno przelewała się mu w zóładku, żeby wyrównać poziom.

Nie lubiłem wędrownych sprzedawców, którzy sprzedawali jedzenie, margarynę, kuchenne przybory, oni nosili jedzenie z sobą i jadal w pokoju, a niektórzy wozili z sobą turystyczne kucharki i przyrzadzali sobie posiłki w pokojach, a odpadki po jedzeniu wrzucali pod łóżko, a jeszcze chcieli byśmy im czyścił buty za darmo.

Jak obsługiwałem angielskiego króla

garść monet, otworzył drzwi i wyrzucił je na ulicę, a kiedy zjadł kilka plasterków salami, to znowu jakby się rozżość, znowu nabrał pełną garść drobnych i znowu wyrzucił je na ulicę i rozniewany usiadł, a stali bywalcy patrzyli na niego zdziwieni, a następnie patrzyli na szefa, a ten nie wiedząc co się dzieje, wstał i uklonił się, podszedł do agenta i zapytał, dlaczego rozrzuca pan drobne monety, jeżeli wolno zapytać. A ten agent odpowiedział, dlaczego nie miałby rozrzucać drobnych, kiedy właściciel tego lokalu, każdego dnia wyrzuca codziennie w ten sposób dziesięć koronówek... szef powrócił do starych gości i opowiedział wszystko, a oni zaniepokoił się jeszcze bardziej, więc szef się zdecydował i powrócił znowu do stołu tłusciucha i powiedział, jeżeli wolno zapytać, bowiem chodzi w tym wypadku o mój majątek, wy rozrzućcie swoje monety jak chcecie, lecz co wspólnego mają moje dziesięć koronówek... Tłusciuch wstał i powiedział, gdy pan pozwoli, to wyjaśnię całą rzecz, czy możemy pójść do kuchni? Szef uklonił się i wskazał ręką kuchenne drzwi, a kiedy tam wszedł, słyszałem jak się przedstawił, jestem przedstawicielem firmy van Berkel, proszę nakroić dziesięć deko salami. I szefowa nakroiła, zważyła i położyła na talerzyk, a wszyscy patrzyli przestraszeni, bowiem myśleli, że to jest kontrola, lecz agent zaklaskał i z kaptą podniósł się ten pomocnik i podniósł ten ciężki bagaż, który teraz wyglądał jak kółorotek, i ten pomocnik wszedł do kuchni, postawił ten maszynę na stole, agent ściągnął pokręciwie i ukazała się nam piękna czerwona maszyna płaska okrągła błyszcząca pila, która kręciła się na osi, a na jednym końcu osi była korbka z rękojeścią, a do tego była jeszcze gałka, którą można było kręcić... i ten tłusciuch uśmiechnął się zadowolony i powiedział, więc tak, największą firmą na świecie, jak Kościół katolicki, która sprzedaje coś czego jeszcze nikt nigdy nie widział, jak świat światem nikt

nim i przepraszał agenta, bowiem on mamusi, kiedy jeszcze ssal piersi, upadł na podłogę głową w dół, lecz ten agent pogłaskał mnie po włosach i tak pięknie się do mnie uśmiechnął i powiedział, że ten chłopiec jest najbliższy prawdy i rzucił nakrojone salami na wagę, a waga pokazała siedem deko... wszyscy patrzyli po sobie zdziwieni, obstarpił tę cudowną maszynkę i wszystko stało się jasne, że ta maszyna potrafi zarażać, a kiedy rozstąpił się, ten agent wziął garść drobnych monet i wrzucił je do węglarki, zaklaskał i pomocnik przyniósł jeszcze jedną paczkę, kiedy zdjął opakowanie, stała tam waga, taka jak w aptece, a ten języczek w tej wadze był strasznie cieniutki, ta waga ważyła tylko do jednego kilograma, i agent powiedział, więc proszę, waga jest tak dokładna, że kiedy na nią dmuchnę to ona wskaże ile waży mój oddech... i dmuchnął i rzeczywiście, waga zareagowała, a potem wziął z naszej wagi to nakrojone salami i położył je na tej nowej wadze, a ta waga wskazała, że tego salami jest dokładnie sześć i pół deka, i agent obliczył natychmiast, to daje nam... i potem zsumował, i powiedział, że jeżeli sprzedacie w ciągu tygodnia dziesięć kilogramów salami, to ta waga wam zoszczędzi sto razy ewierś deko, a to jest prawie połowa całego salami... i oparł się pięściami o stół i uśmiechnął się zwycięsko ten agent, a nasz szef powiedział, niech wszyscy wyjdą, będziemy rozmawiali o kupnie, ja sobie życzę abyście mi wszystko pozostawili, tak jak to tutaj stół, maszynę do krojenia i wagę kupię. To jest mój egzemplarz, powiedział sprzedawca i wskazał na pomocnika. Proszę, przez tydzień chodźliście po górskich schroniskach i prawie w każdym schronisku sprzedawaliśmy maszynkę do krojenia i wagę, obie te maszyny pracują na płacenie podatku tak ja to określiam. I ten agent chyba mnie polubił, bo przypominałem mu jego młodzież, pogłaskał mnie delikatnie po włosach i uśmiechnął się do mnie przymiłnie, aż mi się w oczach lay zaćmienie. Czasami ka-

— Czy mógłby Pan powiedzieć krótko o historii powstania legnickiego oddziału Towarzystwa?

— Wprawdzie nie od początku uczestniczyłem w jego pracach, ale wiem, że działa ono od 1984 r. Mniej więcej od tego czasu datują się perepety lokalowe — nadal brakuje nam miejsca, gdzie moglibyśmy się spotykać. My — to znaczy ludzie rozmawiani w historii i kulturze Japonii. Właśnie te



kłopoty z uzyskaniem stałego miejsca spotkań sprawiły, że część osób zniechęciła się, zrezygnowała z systematycznego uczestnictwa w działalności Towarzystwa...

— Jest was obecnie...

— ...około czterdziestu osób, o przeróżnych profesjach: nauczyciele, pracownicy fizyczni legnickich zakładów pracy, rzemieślnicy, mamy też jedną studentkę...

— Przez dwa lata zorganizowaliśmy wiele ciekawych imprez.

— Odzwierciedleniem działalności naszego Towarzystwa jest książka pamiątkowa — w niej kolejne wpisy ilustrowały naszą aktywność. Spośród wielu imprez, jakie miały miejsce, chciałbym przypomnieć wykład dr Krystyny Okazaki z Instytutu Japonistyki w Warszawie pt. „Papier w sztuce i religii Japonii. Origami, jako szczególny sposób widzenia świata”, który spotkał się z ogromnym zainteresowaniem, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, także dzięki obecności Masukato Oshida z Sapporo.

— Mamy na swoim koncie spotkania z red. Adamem Sarem, sekretarzem generalnym naszego Towarzystwa, który bardzo barwnie przedstawił współczesną Japonię, np. podczas prelekcji „Dzieciństwo Oshin a współczesne rolnictwo japońskie”. Popularny serial telewizyjny był okazją do zaprezentowania rewelacyjnych informacji. Kraj, w którym użytki rolne stanowią 16–17 proc. powierzchni, w 70 proc. jest samowystarczalny, jeśli chodzi o żywność! Mają np. takie dziwne ministerstwo: Kolei i Użytków Rolnych — nas to połączenie dziwi, a im pozwala maksymalnie wykorzystać każdy metr ziemi, także i ten między szynami, czy na nasypach kolejowych! Sieją tam rośliny, z których później produkuje się oleje techniczne. Dla Polaka jest tych rewelacji znacznie więcej: na zdjęciach widzieliśmy, że pojęcie miedzy czy plotu nie istnieje, każdy centymetr ziemi jest racjonalnie wykorzystany... Albo rybołówstwo — w ciągu roku hodują cztery razy tyle ryb, ile my jesteśmy w stanie złowić na wszystkich łowiskach razem!

— Uważa pan, że z tych fascynacji może coś wynikać?

— Od Japończyków cały świat powinien się uczyć, a my szczególnie. Każdy, kto pamięta o nie tak przecież odległych czasach, kiedy Japonia była krajem bardzo zacofanym, nie może przejść obojętnie wobec licznych dowodów ogromnego — technicznego i materialnego postępu, jaki jest udziałem tego kraju. A przy tym jest to kraj o tak ciekawej, egzotycznej i fascynującej kulturze...



— Powróćmy do spraw, związanych z działalnością Towarzystwa w naszym regionie.

— Przyjeliśmy zasadę organizowania przynajmniej jednej ciekawej imprezy w ciągu miesiąca. Stąd pokaz (zorganizowany wspólnie z legnickim Klubem Karate) siedmiu dyscyplin sztuk walki Wschodu, stąd pokaz i odczyt na temat komputerów, stąd wieczór poświęcony malarstwu japońskiemu, wieczór japońskiej muzyki, wystawa ikebany połączona z pokazem jej przygotowywania. Na listopad — grudzień zaplanowaliśmy dni kultury japońskiej, ale jeszcze za wcześnie, by mówić o dokładnym programie ich przebiegu.

— Jaki jest stosunek japońskiej ambasady do waszych poczynań?

— Jest nimi ogromnie zaciękwiona, systematycznie przysyła nam czasopisma w języku angielskim, rosyjskim i... polskim. Wspomogła nas oryginalnymi publikacjami, niezwykle pomocnymi przy organizacji wieczoru poświęconego malarstwu i sztuce japońskiej. Niedawno w Krakowie odbyło się spotkanie z Zarządem Głównym Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Polskiej, w trakcie którego omawialiśmy formy dalszej współpracy. Oprócz ścisłego zarządu przyleciała do Polski ponad 50-osobowa grupa członków towa-

ratkacyjniejsze. Kilka osób koresponduje z Japończykami, najbliższe i najszerze kontakty ma z nimi prezes, Andrzej Kaczowski, jednocześnie wiceprezes Klubu Karate. Jego żona Yuriko, od października będzie w TWP prowadzić kursy origami, dysponuje oryginalnym japońskim certyfikatem, zezwalającym na wprowadzenie w tajniki tej sztuki instruktorów klubów, świetlic itp. Może później uda się nam zainteresować jej umiejętnościami nauczycieli przedszkół i szkół? Zależy nam ogromnie na utrzymywaniu kontaktów listownych z Japończykami, zresz-



ta oni sami zabiegają o to usilnie. Chcielibyśmy utworzyć w ramach Towarzystwa koła zainteresowań, grupujące tych, którzy interesują się fotografią i filmem, muzyką, kulturą, malarstwem, poezją haiku, techniką wreszczie. Wypożyczamy różne filmy, z ambasady otrzymaliśmy plakaty, nawiązaliśmy kontakt z biblioteką japonistyczną w Warszawie, powiększają się też zbiory naszej własnej biblioteki. Zbieramy książki beletrystyczne, wydawnictwa albumo-

Nie tylko haiku

Rozmowa z HENRYKIEM KUŁAKIEM, animatorem działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Japońskiej w Legnicy

rzystwa, niezmiernie zainteresowana naszym krajem.

— Nasze fascynacje Wschodem łatwo zrozumieć, jak Pan sądzi, co u nas dla nich jest szczególnie ciekawego?

— Trudno mi za nich odpowiadać, ale podejrzewam, że oni interesują się całym światem, są nań otwarci. Nie bez znaczenia jest na pewno kwestia (choćby perspektywiczna) drożności rynku. Oni bardzo logicznie patrzą na wszystko, co ich otacza, ze wszystkiego, co może kiedyś dać jakiegokolwiek korzyści ekonomiczne, polityczne, gospodarcze, potrafią właściwie korzystać.

— Czy ktokolwiek z was, członków legnickiego Towarzystwa



Przyjaźni Polsko-Japońskiej, był w Japonii?

— Jeszcze nikt, choć mamy takie plany i zastanawiamy się, jak doprowadzić do takiego wyjazdu. Jeszcze nie wiemy, czy będzie to wyjazd na zasadach wymiany, czy też typowa wycieczka z „Orbisem”.

— Kto finansuje waszą działalność?

— Z tym mamy olbrzymie kłopoty, jak to zwykle z pieniędzmi bywa. Utrzymujemy się — z wysiłkiem — ze składek członków Towarzystwa.

— Jeśli wycieczka nie dojdzie do skutku, to czy nie obawiacie się spadku zainteresowania proponowanymi przez was zajęciami z racji ich abstrakcyjności?

— Staramy się ze wszystkich sił, by to, co robimy, było jak naj-

we, plakaty, czasopisma, artykuły. Zamierzamy opracować w miarę obszerne katalogi wydawnictw japonistycznych, filmów dokumentalnych i fabularnych, których dotąd obejrzelśmy już bardzo wiele. Na razie mieści się to wszystko w mieszkaniu prywatnym. Mamy nadzieję, że kiedy dostaniemy własny kąt, który urządzić chcemy na styl japoński, zrobimy wiele, by upowszechnić sprawy i problemy kultury i gospodarki tego kraju tak, jak na to zasługują. Na razie i filmpoteka legnicka, i WDK, i LCK, MPiK i „Dziennik” pomagają nam bardzo chętnie, w miarę posiadanych środków i możliwości technicznych.

— Ponoć chodzi wam po głowach pomysł bardzo konkretnego wykorzystania japońskiej żyłki i zainteresowania naszym krajem?

— Kiedyś Japończycy zaproponowali Polsce przekazanie nieodpłatnie trzech różnych oczyszczalni ścieków. Jeśli to jest jeszcze aktualne, to chcielibyśmy tym bliżej zainteresować wydział ochrony środowiska legnickiego UW. Zamierzamy też, wykorzystując kontakty z ambasadą, przeprowadzić obszerny merytoryczny i wzbogacony o liczne ekspozyty wykład dotyczący aktualności przemysłu komputerowego. Myślę, że ludzie powinni być tym zainteresowani...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
BOGUSŁAWA MACHOWSKA



Kwiaty dla pokoju

Pod takim hasłem otwarto w pierwszych dniach grudnia w Domu Kultury Zagłębia Miedziowego wystawę miniatur, wykonanych techniką olejną, których autorem jest Ziwicko POPOWSKI z Jugosławii.

Czterdzieści prac, które przez ponad tydzień prezentowano w foyer DKZM, obejrzało wiele osób, wzbudziło duże zainteresowanie i podziw. Wystawa towarzyszyła występom młodzieżowego zespołu pieśni i tańca z Pionierskiego Domu Kultury „Karpóz” w Skopje i była próbą wzbogacenia i rozszerzenia form dotychczasowej współpracy i wymiany kulturalnej pomiędzy Lublinem a przyjaźnionym Skopje.

Inicjatywa okazała się bardzo udana. Autor prac, amator — co w informacji o sobie mocno podkreśla — jest z wykształcenia inżynierem rolnikiem, na co dzień odpowiada za sprawy planowania i rozwoju w jednym z rolniczych kombinatów w Skopje. Malarstwem zajmuje się od kilkunastu lat. Swoje prace (olej na płótnie i na drewnie) prezentował w wielu miastach Jugosławii, a także w Szwecji, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, RFN. Swoje malarstwo określa jako „kwiatowe orędzie na rzecz pokoju, przyjaźni i współpracy”, adresując je do wszystkich nieznanym humanistom, walczącym o wolność w świecie. Zakochany w najpiękniejszych kwiatach próbuje je odmalować, oddać ich piękno znanymi mu sposobami, osiągnąć niekiedy zaskakujące efekty. „Ogród kwiatów jest w naszych sercach, w każdym jego uderzeniu na rzecz piękna, szczęścia, na rzecz takiego świata, jakiego w gruncie rzeczy każdy z nas pragnie”.

Ziwicko Popowski często wystawia swoje prace, prezentuje je w różnych środowiskach. Tematyka i kolorystyka miniatur bardzo szybko znajduje chętnych, gotowych zakupić te prace. Autor sprzedaje je zazwyczaj, iż cały dochód przeznaczają na rzecz głodujących dzieci w Afryce.

Wystawa, prezentowana w Lublinie, cieszyła się dużym zainteresowaniem. Niestety, żadna z prac nie była przeznaczona na sprzedaż — zapewne dlatego trzy miniatury zniknęły w nieznany nikomu sposób. Ale czyż jest lepsza reklama dla autora niż fakt, że zachwyceni widzowie posuwają się do kradzieży, by zdobyć jego prace?

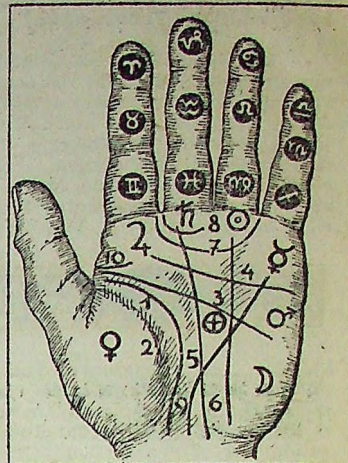
Ziwicko Popowski przekazał wszystkie miniatury na rzecz Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Ich barwna treść ucieszy zapewne wiele dzieci, o których smutku i cierpieniu pomyślał malarz — amator, mieszkający w dalekim Skopje.



Fot.: J. Kosiński

Czym ręce bogate

ANDRZEJ WRZOS



Człowiek jest ciemnością. Człowiek jest światłem. Oto dwie, sprzeczne opinie o człowieku. Profesor W. Sedlak dowodzi w swoich pracach naukowych, że człowiek jest światłem. I że to, co stanowi jego istotę, jest właśnie światłem. Kiedy światło opuści człowieka, człowiek przestaje istnieć. Ale między tymi skrajnymi opiniami o człowieku znajdują się tysiące zdań o człowieku jako o zjawisku biologicznym, psychicznym, społecznym, politycznym, chemicznym, fizycznym, materialnym, duchowym itp., itd. I każdy punkt widzenia oferuje niemało dowodów, żeby przekonać, że jest tak, a nie inaczej. I pewnie z biegiem czasu dowiemy się znacznie więcej, kim jesteśmy i ku czemu zmierzamy. Jak na razie, wciąż mało wiemy o samej naturze człowieka, o ciele, o widzialnej stronie naszego gatunku. Niby wiemy



i widzimy wszystko, ale nie zawsze potrafimy w sposób wystarczająco klarowny wyjaśnić, co oznaczają i jak się zachowują poszczególne organy człowieka. A przecież już przed wiekami badacze dowodzili, że każdy detal, każda rysa, wgłębienie czy wypukłość ma swój sens i coś znaczy. Tak więc poznajemy detale, szczegóły, niemal niezauważalne, a przecież istniejące cechy naszego ciała.

Chiromancja, jak wiadomo, zajmuje się ludzką ręką, jej właściwościami i mapą znaczeń. Naszą rękę widzimy na co dzień, a tak mało przecież o niej wiemy. Wiemy tylko tyle, że jest mała albo duża, ciężka albo lekka, silna albo słaba, delikatna albo mniej delikatna. Ale rzadko kto przygląda się całej siatce wzgórek, kresów, gwiazdek, kwadratów, wysepek, trójkątów, krzyżyków, gałązek, łancuszków, linii włoskowatych, krat i pajęczyn. Czyżby one istniały tak sobie, bez przyczyny i bez specjalnego znaczenia? Otóż nie, każdy kwadracik, każda gwiazdka, każda linia włoskowata coś znaczy, bowiem każdy znak w świecie coś znaczy, tylko należy go umiejętnie odczytać. Jedni znają alfabet tej tajemnicy czytania, inni nie znają i pogardzają nim, kpią sobie z niego, lub całkowicie lekceważą. Każdy ma prawo do własnych sądów. Spróbujmy jednak spojrzeć na rękę człowieka, jako na zapis stanu i możliwości pojedynczego organizmu. Oto otwieramy dłoń i widzimy dziesiątki linii, biegnących we wszystkie możliwe strony. Ale niektóre linie są bardzo wyraźne i jakby same wskazywały swoje przeznaczenie. Inne giną w klebowisku znaków całkowicie dla nas nieczytelnych. Poszczególne linie, dawno już otrzymały swoje nazwy, tak samo, jak wszystkie części ciała mają swoje nazwy i swoje funkcje, swoje zadania do spełnienia. Nie ma więc powodu są-

dzić, że skoro nerki mają jakieś przeznaczenie, to żadnego przeznaczenia nie ma taki mały, ledwie zauważalny trójkącik na lewej dłoni. Otóż ten trójkącik także coś znaczy.

Poszczególne linie, jak się rzekło, mają swoje nazwy i coś bardzo ważnego mówią o właścicielu ręki. Oto linia serca, przyjrzyjmy się jej dokładnie, przebiega ona w poprzek dłoni, niemal przez sam środek i ma różny kształt. I te różnice w kształcie i przebiegu tej linii mówią nam już coś o życiu emocjonalnym człowieka. Nieco dalej od palców znajduje się pozioma, również rozwinięta linia, która symbolizuje głowę i wszystko, co jest z nią związane. Przy samych zaś palcach, na środku dłoni widzimy linię Wenerę. Tuż przy dużym palcu, na ukośno biegnie bardzo ważna linia życia, na której jest zapisany cały nasz los.

Na samym środku dłoni, ale pionowo, biegnie linia Saturna, a obok niej, na prawo od niej, także pionowo, biegnie, nieco chyba krótsza, linia Słońca. To byłoby główne linie, cała mapa znaków i sensów, które wcześniej czy później człowiek powinien zrozumieć. Naturalnie, na dłoni znajdziemy jeszcze dziesiątki nie wymienionych i nazwanych linii i znaków, i wszystkie one także nam coś mówią o człowieku. Pozostawmy na chwilę jednak przy głównych liniach.

Powiedzmy sobie o takim przykładzie: jeśli linia serca sięga swoim początkiem głęboko we wzgórze Jowisza, to znaczy, że właściciel tej ręki jest człowiekiem wielce uczuciowym, dysponuje uczuciami szlachetnymi i wzniosłymi, bowiem początek tej linii oznacza miłość idealną, a dalsza część — miłość zmysłową. Ba! Ale gdzie jest owo wzgórze Jowisza? Otóż znajduje się ono pod palcem wskazującym. Pod następnym palcem, środkowym, znajdziemy górę Saturna, przedostatni palec — to góra Słońca i wreszcie mały palec, to góra Merkurego. Jeszcze jest góra Wenerę, stanowiąca nasadę wielkiego palca, oddzielona od reszty dłoni linią życia; góra Marsa, znajdująca się, poniżej góry Słońca, a góra Księżyca usytuowana jest w pobliżu i poniżej góry Merkurego.

Nie brakuje także dolin w pobliżu poszczególnych gór, ale to już są dokładniejsze wskazówki.

Wracając do linii serca, trzeba powiedzieć, że jeśli linia serca przebiega przez całą dłoń i przecina ją, oznacza to, że właściciel tej linii dysponuje nadmierną e-



nergia uczuciowa i to może np. powodować czy wywoływać u tego człowieka stany zazdrości, niepokoj, przyczyniając się nieraz do braku stabilności emocjonalnej.

Linia serca pokruszona, popękana i jakby uległa jakiejś kraksie znaczy, że jej właściciel nie jest

zbyt stały w uczuciach, ale także zawodzi w przyjaźni. Nieraz zdarza się, że linia ta gwałtownie załamuje się przy górze Saturna, i to znaczy, że nad człowiekiem ciąży przeznaczenie, od którego trudno się uwolnić. Kiedy linia załamuje się między Saturnem a Słońcem, to rzecz przykra, dowodzi głupoty, na szczęście, rzadko się to zdarza. Jeśli się załamuje pod Merkurym, oznacza skąpstwo, jeśli linia serca mocno zabarwiona, ciemnoczerwona, to oznacza skłonność do uczuć gwałtownych i do czynów szalonych.

Można by o linii serca w nieskończoność. Już tylko tych kilka przykładów wskazuje, jak ważna to linia, a także, jak ważna jest jej droga, załamania, pęknięcia, wgłębienia, kolory, towarzystwo itd., itd. A przecież to tylko jedna z linii. A nie daj Bóg, ktoś się dokładnie przyjrzy naszej linii głowy. I co? Jeśli dojrzy prostą i długą, to pomyśli sobie o nas, że posiadamy umysł jasny i o-



twarty, że dysponujemy silną wolą i zdrowym rozsądkiem. Ale nie daj Boże, gdy zobaczy, iż nasza linia głowy przyczaiła się tuż pod górą, albo nawet na samej górze Księżyca, to z miejsca będzie wiedział, że grozi nam zabobon, i o zgrozo, grożą nam romantyczne marzenia i jakieś podejrane mrzonki. A jeszcze gorzej, jeśli wykryje, że mamy linię głowy bładą, czy bardzo bładą, i na dół, szeroką, to już — jak grom z nieba — spada na nas wiadomość, że brak nam inteligencji. Z taką linią lepiej nie otwierać dłoni, gdy obok siedzi znawca

No, ale dość z liniami, jeśli by kogoś bardzo zainteresowała linia głowy, a jeszcze bardziej linia serca, prosimy kierować pytania i opinie do naszego eksperta, który nie odmówi odpowiedzi, chyba, że sam straci rozeznanie, jako że linie także potrafią płać figle, nieoczekiwanie zmieniając swoje ścieżki.

Może warto jeszcze zwrócić uwagę na kształty palców. Otóż wyróżniamy na ogół trzy formy naszych palców, szpiczaste, kwadratowe i szufelkowate. Mogą one być na dodatek z wężłami lub gładkie, i to także ma swoje znaczenie. Jeżeli ktoś ma palce szpiczaste, znamionują one mistycyzm, ekstazę, natchnienie, sztukę, a więc dominację świata idealistycznego. Jeśli więc ktoś z takimi palcami boi się być posadzony o idealizm, najlepiej trzymać dłonie nieco skurczone, można zresztą także własne palce formować, najlepiej formuje się je praca.

Za to palce kwadratowe wróżą porządek i organizację. Spójrzcie, czy nadajecie się na szefów, przywódców i naczelników gmin. Dalej, co innego oznaczają ręce twarde, a co innego miękkie, no, a już zupełnie co innego znaczy ręka lubieżna.

Najgorzej jest, jeśli palce są nadmiernie kwadratowe. Jak najdalej od takich palców, bowiem

oznaczają one, że władca i pan tych palców ma szczególne skłonności do pedanterii, despotyzmu i tyranii. Właściciel takiej ręki nie toleruje cudzych poglądów, oraz jest przeciwnikiem wszelkich nowości, staje się zasiedziałym konserwatystą i wstecznikiem we wszelkich przekonaniach. I proszę, co znaczą zbytne kwadraty.

I parę słów o ręce lubieżnej. Najczęściej spotykamy ją u kobiet. Przeważnie ma taką rękę kolor białej, jest nieco wałkowata i tusta, ze szpiczastymi palcami. Taka ręka, to istne gniazdo lubieżności. Ech, spotkać by taką ręką! Skóra takiej ręki jest miła w dotyku, miękka. Zwykle wielki palec jest krótki, czy nawet bardzo krótki, um więcej zmysłowości, tym krótszy. Część artystów i twórców kultur uznaje taką rękę za najpiękniejszą, zdarzają się pieprzki i kuszące dotyczki. Taka ręka uwielbia lenistwo, bezczynność i zajęcia erotyczno-estetyczne.

Kobiety posiadające lubieżne ręce, jak pisał fachowiec Piotr Majewski, „jeśli są również wyposażone w wolę i lotny umysł, bywają bardzo niebezpieczne. Nic z siebie nie dając, wchłaniają wszystkich o”. My mamy nieco odmienną opinię o takich kobietach. Wiemy, że z siebie także co nieco dają, tylko to trzeba umieć brać. Oczywiście, takie kobiety działają na mężczyzn w sposób magiczny, elektryzująco i zabórco. Pewna nasza współpracownica zdradziła nam, dysponując wyżej wspomnianą i charakterystyczną ręką, że nie powinni się jej mężczyźni (to znaczy takiej ręki) nadmiernie obawiać, jeśli sami dysponują dobrze rozwiniętą górą Marsa. Ponieważ Mars to symbol wojny, a także bóg wojny, mężczyźni z dobrze zorganizowaną górą Marsa poradzi sobie z najbardziej rozwiniętą ręką lubieżną. Bowiem sam dysponuje dużym ładunkiem spokoju, opanowania i wykazuje przy zagrożeniu zimną krew. Nieraz wprawdzie bywa gwałtowny i brutalny, ale jak twierdzi nasza ekspertka, to nie przeszkadza lubieżnej ręce. A nieraz wprost przeciwnie, bardzo się podoba.

Jak widać z powyższych informacji, cała dłoń człowieka a także ręka, stanowią wielką skarbnicę wiedzy o pojedynczym „egzemplarzu” jak i o całym gatunku, ponieważ można się w liniach dłoni przegłębiać także, jak w wielkim głębokim zwierciadle, które nie tylko współczesność pokazuje, ale i całe drzewo genealogiczne poszczególnej jednostki.

Mamy nadzieję, że świąteczna lektura tego artykułu skieruje większą uwagę naszych czytelników na znaki rozpoznawcze ludzkich rąk. Patrzymy więc na ręce, z nadzieją!



Świat egzotycznych roślin szybko się kurczy. Dzisiaj już prasa nie donosi o rewelacyjnych odkryciach roślin nieznanymi botanikom. Niestrudzeni poszukiwacze dziwów flory i fauny przestali penetrować dżunglę i gonia raczej w poszukiwaniu Yeti czy Nessi. Wróćmy jednak do roślin. To co dla naszych przodków było wyszukana ozdoba, jak np. kwiat ziemniaka, lub też nowinka kulinarna dla nas jest czymś normalnym. Dobrze znanym Rządzą dziś zastanawiamy się, skąd pochodzi surowiec na nasz chleb powszedni, ot zebrać się z pola, mieć później piekarnia i chleb gotowy. Spójrz-



my jednak na nasz stół uważniej, wtedy okaże się, że żyto i pszenica pochodzą z Azji. Ameryce zawdzięczamy kukurydzę, ziemniaki, słonecznik, fasolę, truskawki, a rodowód jabłek, gruszek, śliwek, wiśni, winogron, porzeczek, agrestu, szparagów i salaty sięga po części Azji i Europy. W pewnym, niewielkim stopniu egzotycznymi wydają się nam rośliny, których uprawiać w naszym klimacie nie można. Przynajmniej w skali przemysłowej. Powszechnie znane są cytryny, pomarańcze, banany, wanilia oliwki. Najczęściej jednak stykamy się z owocami wyrosłymi w ciepłym klimacie, rzadziej



Zbiór kawy.

Repr. J. Kosiński

oglądamy natomiast całe rośliny. Od kilku lat coraz modniejsze staje się uprawianie tych „egzotów” w naszych domowych warunkach. Efekty pracy ogrodników — zapaleńców dowodzą, że i u nas jest możliwe wypicie filiżanki kawy wyprodukowanej przez nas samych, od a do z. Może więc warto spróbować tym bardziej, że coraz łatwiej można kupić w kwiatarniach sadzonki kawy, cytryny. Również na tegorocznych targach Interagra w Poznaniu można było zaopatrzyć się w różne ciekawe rośliny na przyszły rok. Zapowiedziano jeszcze bogatszą ofertę. Droga dotarcia do sadzonek oliwki czy wanilii mogą być też zastraszające wyprawy bądź też dotarcie do ogrodników lubujących się w hodowaniu oryginalnych roślin.

Niezmiennie wdzięczną i ciekawą rośliną jest oliwka. Jej widok nieodłącznie kojarzy się z wybrzeżem Morza Śródziemnego. W czasach, gdy nie uprawiano rzepaku, słonecznika, nie znanych wtedy jeszcze na naszym kontynencie, jedynie z oliwki wyrabiano olej sadalny. Miał on wtedy wielkie znaczenie. Tłuszcze zwierzęce



Nie tylko w pustyni i dżungli

w gorącym klimacie niegowały szybko psuciu zapotrzebowanie na tłuszcze zaspokajano więc dzięki oliwce. Niektórzy twierdzą, że oliwka jest królową drzew. Opiewano ją w literaturze, o tej roślinie mówi się we wszystkich mitologiach. Gdy powstał Akropol, Ateńczycy zastanawiali się, jakie bóstwo powinno zostać jego patronem. Do rywalizacji stanęli: Posejdon — władca mórz i oceanów, Atena — pupilka swego ojca Zeusa. Posejdon obiecał dać miastu wodę, uderzył o skałę trójzębem i wytrysło źródło — niestety słonej, niezdadnej do picia wody. Dar nie wywołał entuzjazmu, morskiej wody w obłiskim morzu nie brakowało. Zmyślniejsza okazała się Atena, która włożyła w rozpadlinę skalną różdżkę. Wyrosło z niej piękne drzewo. To była pierwsza oliwka. Tym sposobem Atena stała się patronką zamku i miasta, które przybrały jej imię. Niejako na pamiątkę tego zdarzenia ga-



strownie, gdyż w naszym klimacie nie zakwita i nie owocuje (przynajmniej do tej pory, nie udało się skłonić tej rośliny do ulęgiłości) zawsze jednak stanowi ciekawą i ładną ozdobę wnętrza. Nie wymaga zbyt wiele światła, można więc zagospodarować nią kącik w łębi pokoju.

Nieco łatwiejsza w uprawie i równie wdzięczna jest wanilia. Roślina ta należy do rodziny storczykowatych. Pochodzi z wilgotnych południowoamerykańskich lasów tropikalnych. Jest to onacz, które przy pomocy korzeni powietrznych wspina się po pniach i konarach drzew w poszukiwaniu pożywienia i światła. Osiąga imponujące długości, nierzadko dochodzi do kilkudziesięciu metrów. Liście, osadzone na łodydze, są niewielkie, barwy jasnozielonej, sztywne i płaskie. Kwiaty wanilii wymagają zapyłania, tak aby mógł powstać owoc zwany strakiem.

Historia tej rośliny jest bardzo długa, świadczyć o tym może fakt, że już Majowie i Aztecy używali jej jako przyprawy. Świat poznał ją dzięki Hiszpanom, którzy w czasie wypraw do Ameryki przywieźli ją do Europy. Przez lata sadzono, że uprawa tej rośliny wymaga bardzo specyficznych warunków, a tymczasem doniczkowe wanilie coraz częściej można spotkać w klimacie umiarkowanym. Tym, których zachęciłyśmy do wkomponowania w swoje otoczenie wanilii, podajemy kilka rad, jak ją w warunkach domowych uprawiać. Wanilia wymaga przede wszystkim sporej ilości ciepła, doniczke umieszczamy więc na



najbardziej nasłonecznionym parapecie nad kaloryferem. W naturalnych warunkach roślina ta rośnie w wilgotnych i ubogich w światło lasach, dlatego też latem musimy zapewnić jej trochę cienia i oczywiście nie zapominać o częstym i obfitym, całorocznym zraszaniu. Pilnujemy też, aby ziemia w doniczce była stale wilgotna. W naszym klimacie wanilia nie przechodzi okresu spoczynku, chociaż w najbardziej gorących mieszkaniach roku może zahamować swój wzrost. Wanilia rośnie najlepiej na podłożu z obumarłej akacji. Z onia zdejmujemy korę i zalewamy wrzątkiem, aby nie dopuścić do rozwoju drobnoustrojów. Po wysuszeniu korę ścieramy na tar. a, podkompostujemy i umieszczamy ukorzoną sadzonkę wanilii. Przesadzamy co 2-3 lata. Przy donicze musimy wykonać podpórki, aby roślina mogła wspinać się i złożyć nasze wnętrza. Rozmnażanie odbywa się za pomocą sadzonek posiadających co najmniej dwa liście.

Przy znanych kłopotach z nabyciem kawy w sklepach proponujemy hodowanie tej rośliny chociaż w własnym domu. Nie ma oczywiście sensu stawiać się na to, że dzięki uprawie stanemy się samowystarczalni, ale na jedną filiżankę po 5-6 latach powinno wystarczyć. Kawa pochodzi z Afryki, spotyka się ją także w Etiopii, gdzie stanowi po prostu posycie lasów. Jest to bardzo interesująca roślina. W sprzyjających warunkach drzewko osiąga do 15 metrów wysokości. Liście tej są niewielkie, ciemnozielone, błyszczące. Kwiaty białe nie są zbyt piękne, chociaż w dużej ilości wyglądają imponująco. Drzewko najpiękniej prezentuje się w czasie dojrzewania owoców. Powstaje

wtedy zielono-czerwona kompozycja. Niektórzy owoce kawy porównują z wiśniami. Wewnątrz owocu znajdują się dwie zielonkawo-żółte pestki.

Kawa ma bogatą i ciekawą historię. Przez jednych uznawana była za dar niebios, inni walczyli ze zwycaim picia tego napoju — widząc w nim oręż szatana. W historii naszych dziejów zdarzały się nawet takie przypadki, że władcy zabraniali picia kawy

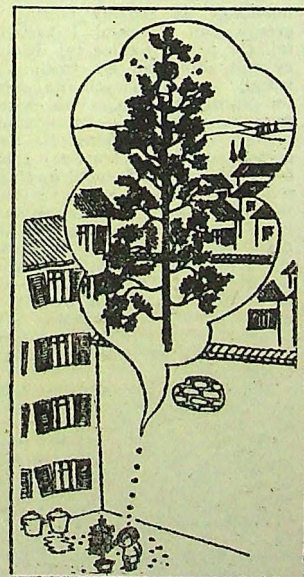


przez poddanych. Mimo to kawa lubiana jest na całym świecie i jej największy eksporterzy robią na niej znakomite interesy. Ale dość tych rozważań, jeśli zdecydujemy się na kawę pod własnym dachem, na pewno bliżej zainteresujemy się jej dziejami.

Kawa, podobnie jak wanilia, naga miejsca ciepłego, lecz nie zbyt silnie nasłonecznionego. Najlepiej postawić ją na parapecie okiennym, ale pamiętajmy o lekkim ocienieniu. Ziemia do uprawy musi być mocno próchniczna, o odczynie lekko kwaśnym. Podlew — trzeba obficie, ale nie nadmiernie, gdyż roślina po prostu nam zgnije. Od lutego do października musimy kawę wzmacniać przez zasilanie np. dostępnym bez większych problemów Florovit. Dwa razy dziennie rano i wieczorem, zraszamy roślinę wodą.

Roślina o której mowa, rozmnaża się jedynie za pomocą nasion, oczywiście świeżych. Coraz łatwiej możemy jednak zdobyć gotową sadzonkę w specjalistycznych kwiatarniach. Może więc warto spróbować i zamiast tradycyjnej pelargonii czy coleusa, spożyładać jak rośnie oliwka, wanilia czy też kawa.

(bmk)



Pi-May czyli Nowy Rok po laotańsku

TADEUSZ SAMBORSKI

Laotańczycy to naród szanujący tradycję oraz zdradzający wyjątkowe skłonności do uciech i zabawy. Łaskawa natura tego kraju nie wymaga zbyt wielkiego wysiłku dla uzyskania niezbędnego minimum środków do życia. Mieszkańcy tego kraju nad Mekongiem nie mają jeszcze rozbudzonych nawyków bogacenia się i znanej w naszym kręgu cywilizacyjnym pazerności. Uważają — zwłaszcza chłopcy — że pracować należy tylko tyle, ile potrzeba na utrzymanie siebie i swojej rodziny. Resztę czasu chętnie poświęcają na różnorodne zabawy, festyny, turnieje itp. Władze rewolucyjne w Laosie chcą zwiększyć tempo produkcji i rozwinąć ekonomikę tego zacofanego kraju, mobilizują społeczeństwo do zwiększonego wysiłku i intensywniejszej niż dotychczas pracy. Nie likwiduje się jednak różnorodnych świąt, lecz tylko zmniejsza ilość dni świętowanych z danej okazji. Świąta, które dawniej obchodzono 6 dni, obecnie czci się tylko 2-3 dni.

Jednym z najważniejszych i najhuczniej obchodzonych świąt jest laotański Nowy Rok, czyli „pi-may”, przypadający na połowę kwietnia. Nawiąsem mówiąc, nasz 1993 r. odpowiada 2537 rokowi kalendarza buddyjskiego. Początkowo zdziwienie u Europejczyka budzą daty wypisane na słupach nagrobnych, zwanych „that”. Futurologia technicznie informacja, że ktoś urodził się w roku 2457 i zmarł w 2524. Oczywiście do czasu — kiedy nie uświadomimy sobie, że chodzi o odmianę od naszej chronologii. Tak więc początek nowego 2527 r. był obchodzony w Laosie jak zwykle bardzo uroczystie

i radośnie. Regułą jest, że w dniach poprzedzających Nowy Rok robi się w domach generalne porządki, co jest nie tylko zabiegiem higieniczno-estetycznym, ale także pewnego rodzaju obrzędem religijnym, mającym na celu wypędzenie z pomieszczeń mieszkańców wszystkich złych duchów, które mogły się tam zagnieździć wskutek niewłaściwych postępów człowieka, jakich dopuścił się on w ciągu minionego roku. W pierwszym dniu nowego roku Laotańczycy udają się do pagód, gdzie oblewają posągi Buddy i modlą się o jego łaskawość na cały nadchodzący rok.

W czasie świąt Nowego Roku w każdym laotańskim domu odbywa się „basi” — ludowe misterium łączące w sobie elementy religijne, teatralne i towarzyskie. „Basi” to obrzęd przywoływania dobrych dusz opiekuńczych. Zgodnie z szeregiem rozpowszechnionym w Laosie wierzeniem, każda część ludzkiego organizmu ma swoją duszę opiekuńczą. Tylko równocześnie obecność wszystkich dusz w organizmie gwarantuje zdrowie i pełną harmonię. Dlatego w czasie „basi” robi się wszystko, żeby te dusze hasające po świecie zwabić, związać na długo z organizmem. Temu celowi służy m.in. pięknie przystrojone drzewko rytualne „pakhuan”, wokół którego na bambusowych matach zasiadają wszyscy uczestnicy obrzędu. Po części rytualno-religijnej rozpoczyna się wspaniała uczta, w czasie której do licznych potraw podaje się samogon z ryżu nazywany tam laokhao. No i na koniec, jak w każdej tego typu uroczystości, odbywają się tańce. Laotańczycy tań-

czą narodowy taniec o nazwie „Lamvong”, zbliżony sposobem wykonania do naszego chodzonego.

Nieodłącznym elementem obchodów „pi-may”, czyli laotańskiego Nowego Roku, jest dyngus, który swoimi rozmiarami i powszechnością przewyższa znacznie nasz „oblewany” poniedziałek wielkanocny. W Laosie wylewa się na bliznich znacznie więcej wody niż u nas, gdyż święto to trwa trzy dni, a skóre do uciech dzieci przedłużają sobie okres przyjemności oblewania przechodniów do pełnego tygodnia. W dniach świąta laotańskiego Nowego Roku ludzie pozdrawiają się słowami: „Sambaydi pi-may”. Jeśli pozdrawiającymi są dzieci, w oczach których dostrzec można figlarnego diablika, a ręce mają założone do tyłu, niechybny to znak, że zaraz nastąpi „wodny atak”, któremu nie sposób się nie poddać.

Na podwórzach klasztorów, na brzegach rzek i na piaszczystych plażach Laotańczycy budują piramidy z piasku na kształt stóp zwanych „that”. Motło odprowadzających wspólnie przy tych piramidach modłów sprowadza się do prośby, aby szczęśliwych dni w rozpoczynającym się roku było tyle, ile ziarenek piasku jest w piramidzie.

Do roli lokalnego obyczaju stołecy Laosu, Vientiane, urosły rodzinne spacery po obszarze sezonowej wyspy Done Chanch na Mekongu, gdzie można się do woli wylasać, zwiaszcza po tych jej zakątkach, które pokrywa mialki, jasny piasek. Większość obszaru tej istniejącej tylko w porze suchej wyspy pokrywa żyzna warst-

wa iłu, przyniesiona przez wody rzeki w porze deszczowej. Ta okoliczność jest skwapliwie wykorzystywana przez mieszkańców domów na palach usytuowanych wzdłuż urwistego brzegu rzeki. Sadzą oni na tych niezwykle żyznych kawałkach gruntu orzeszki arachidowe, salate, kukurydzę, pomidory i inne warzywa. Kiedy przychodzi pora deszczowa i Mekong znów urasta do rozmiarów wielkiej i groźnej rzeki (często bywa nazywany „Rzeką Wielkiego Dragona”) — wyspa znika pod wodą aż do następnej pory suchej. Ale w okresie „pi-may” wyspa jest faktem i można suchą stopą dojść do niej po równie suchym dnie rzeki, a najdogodniejsze zejścia z wysokiego brzegu znajdują się naprzeciwko hotelu „Lan-Xang”, stojącego przy bulwarze Fa Nguma, pierwszego króla zjednoczonego Laosu. Tak więc przez trzy kolejne dni świąteczne wyspa rozbrzmiewa gwarem rozmów, śmiechem, a wieczorami śpiewem i nawoływaniem barczystych młodzieńców.



„Pi-may” w Laosie to święto, w czasie którego bawi się każdy. Oczywiście, na miarę swoich możliwości i upodobań. Wszystkich cechuje niezwykle pogodny nastrój, radość i wzajemna życzliwość. Stan ten niestety jest wywołany wśród Laotańczyków, gdyż skłonność do wspomnianych uczuć jest częścią immanentną ich narodowego charakteru.

Bywalcy twierdzą, że nic się tu nie zmieniło. Na nic zdała się wielka prasowo-telewizyjna prezentacja faktów, jakie wydarzyły się niedawno w słynnej hamburskiej dzielnicy seksu. Wprawdzie nadal szefowie policji twierdzą, że nadchodzi czas, by nareszcie osuszyć bagno na Sankt Pauli, i twierdzą, że wygaszać podobne okragie stwierdzenia w świetle telewizyjnych jupiterów niż zmieścić cokolwiek tam, gdzie rządzi pieniądź i żądza.

Noc na Sankt Pauli jest gwarna i kolorowa. Neony seks-shopów i hotelików na godziny pulsują agresywnymi kolorami i kształtami. Od portu granicę tej dzielnicy wyznacza rząd nieleńnych dziewcząt, wyciekających na ulicę. Im bliżej centrum, tym więcej swobodnego luksusu — ekskluzywnej bielizny, perfum, wnętrza. Na Herbertstrasse swój światowej sławy biust prezentuje Domenica. Naganiacze u wejść do lokali ze strip-teasem przeciągają się w zachwalanym atrakcji programu. W barach na Flans-Albertplatz pustawo i nudno, niewielu widzów przygląda się scenom z filmu porno, wyświetlanego na ekranie w głębi lokalu — podające piwo dziewczyny w strojach topless pozwalają dioniom klientów błądzić i przyćmiewać.

Żądza i pieniądź. A raczej żądza pieniądza. Opowiadanie miało o niej Werner Pinzner „Mucki”, 39-letni morderca z Sankt Pauli, którego w nie znany do dzisiaj sposób udało się nakłonić do zeznań na temat praw rządzących światem tej słynnej dzielnicy. Mówi się, że szefowie hamburskiej policji kryminalnej mieli Pinznerowi obiecać 30 tys. marek, absolutną ochronę przed zemstą kolegów, całkowitą anonimowość Pin-

zner jednak zrobił coś, czego nikt nie brał pod uwagę. W kolejnym dniu zeznań, naszpikowany heroiną, którą podrzucił mu ktoś nieznaną, wziął od uczestniczącej w przesłuchaniu żony przemycyony przez nią rewolwer i zastrzelił ją, prokuratora i siebie. Wiadomość o rzezi w biurze hamburskiej policji błyskawicznie przedostała się na zewnątrz. Podobnie jak i częste zeznań Pinznera, ujawniających bezprecedensowe przykłady skorumpowania policji, uczestniczącej w interesach mafii sutenerów i

kimi rządzi się ta dzielnica. Jednego z konkurentów rozciągnięto między dwoma autami — wyrwanie rąk i nóg ze stawów było jedną z form ostrzeżenia... „Przyjaćielskie rady” otrzymują także dziewczyny, które przynoszą swym właścicielom zbyt nikłe zyski lub którym zamarzy się inne życie. Zgwałcone, poniżone i pobite, pod groźbą utraty życia wracają do miejsc, które wyznacza szef.

Jak powiedział „Mucki”, na Reeperbahn nie stosuje się pu- stych groźb. Dwunastu zabitych

Skorumpowani i brutalni

właścicieli lokali z Reeperbahn. Bossowie mafii opłacali łapówkami milczenie policjantów, tajnych agentów. Za 70 tys. marek jeden z nich powiadomił właściciela kasyna, kiedy przygotowywany był kontrolny nalot. Za przyjmowanie łapówek został zwolniony z pracy tajny agent Hajo R., były szef policji kryminalnej Hans Z. najpierw długo przebywał na urlopie, a wreszcie został przeniesiony na emeryturę po ujawnieniu, iż wiedział o przypadkach wielkosobowych przywlecz dla urzędników i funkcjonariuszy hamburskich, których życzliwość kupowano grupowym seksem.

„Zabiłem pięciu. Byłem pijany” — powiedział „Mucki”, płatny morderca, działający na zlecenie osławionego króla Reeperbahn, „Wiedeńskiego Piotrusia”. Kogo wskazał „Piotrus”, tego należało sprzątnąć. A wskazywał tych, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi próbowali wejść do interesu na Sankt Pauli bez opłacenia się mafii. Mafia najpierw wysłała ostrzeżenie — bojownik rosyjskich chłopaków biciem usiłują przestrzec przed próbą ominięcia praw, ja-

jest tego przerażającym dowodem. Ofiarami byli ci, którzy wcześniej na Sankt Pauli pracowali lub usiłowali „pracować”. Charli Linan został odnaleziony w zabetonowanej beczce pływającej po jednym z kanałów Laby. 35-letniego zarządcę domu publicznego zabito w nocnym barze w chwili, gdy dopijał piwo. Helmut Ohlerich, pracujący w jednym z lokali, miał kiedyś powiedzieć publicznie, że istnieje ścisłe powiązanie między policją a hamburskim półświatkiem. Ta uwaga kosztowała go życie — znaleziono go spalonego we własnym garażu. Zginął też „Piękny Michał”, słynny hamburski naganiacz, który próbował własnych, niedozwolonych interesów.

Lista ofiar jest długa, do popełnienia pięciu morderstw przyznał się Pinzner, o sześciu innych chciał prawdopodobnie jeszcze opowiedzieć, ale zmienił zamiar. Czy jednak świadomie podjął decyzję popełnienia ostatniego, zbiorowego mordu? Naoczny świadek morderstwa była jego obrończyni Isolda Oechsle-Misfeld, znana na Sankt Pauli jako „Ostra Isolda”.

Dotychczas chętnie podejmowała się obrony oskarżonych z tego środowiska, broniła twardych i bogatych mężczyzn. Co jest prawdą, a co kłamstwem — czy przedstawicielka prawa uległa jednak namowom świata przestępczego i miała swój udział w masakrze? Prokuratura zarzuca jej, iż dopomogła żonie Pinznera w zdobyciu broni, że zaopatrywała „Muckiego” w narkotyki. Zaareztowano ją pod zarzutem, iż wiedząc o planie Pinznera, nie przeszkodziła w jego realizacji.

Skompromitowana hamburska policja próbuje oczyścić się z zarzutów nieudolności i rażącego lekceważenia prawa przez swoich funkcjonariuszy. Gdyby dopełniło podstawowego obowiązku — zrewidowania żony Pinznera, być może nastąpiłby dalszy ciąg jego zeznań i wiele faktów, o których dotąd szeptano, wreszcie znalazłoby swój sądowy epilog. Niekiedy twierdzi, że jeszcze raz mafia z Sankt Pauli wykazała swoją przewagę: usunęła zdrajcę na oczach policji, praktycznie bezkarnie.

Prasa niemiecka twierdzi, że ta bomba może jeszcze wybuchnąć. Mówi się, że Isolda Oechsle jest w posiadaniu listu, napisanego przez „Muckiego”, w którym opisuje on wszystkie popełnione przez siebie morderstwa, wskazuje też swoich „sponsorów”. Wiadomo też o filmach, ukazujących znanych hamburskich polityków i wysokich urzędników państwowych, zabawiających się na grupowych sekwach.

Czy jednak ta kobieta odważy się ujawnić fakty, które skompromitowałyby kilku oficjalnych prominentów i wywołały nienawiść nieznaną bossów świata podziemnego? Nienawiść tych ostatnich oznacza podpisanie na siebie wyroku.

Rozmowa z G. Szerszenowiczem i A. Wościechowskim (1)

Doskonała postawa piłkarzy Zagłębia w spotkaniach o mistrzostwo I ligi oraz 6 lokata w tabeli po zakończeniu rundy jesiennej była przyjemnym zaskoczeniem dla większości kibiców lubińskiego zespołu. Sympatycy piłki nożnej zagłębia miedziowego, którzy dopiero drugi rok oglądają najlepsze zespoły krajowe na stadionie GOS, jeszcze w pełni nie wierzą w możliwości swoich pupili, a jak przekonaliśmy się, są one już bardzo duże. O ocenę minionego sezonu, poprosiliśmy szkoleniowców I zespołu GRZEGORZA SZERSZENOWICZA oraz II trenera ANDRZEJA WOJECIECHOWSKIEGO.

— Czy ktoś przewidział tak wysoką lokatę Zagłębia?

G. Szerszenowicz: — O tak wysokiej pozycji nawet nie marzyliśmy, choć musimy przyznać, iż nasz wiceprezes ds. piłki nożnej Mieczysław Kulczycki „wrożył” nam tę lokatę i można by powiedzieć, że on jako jedyny trafił w dziesiątkę. Ja wraz z moimi współpracownikami byliśmy trochę mniej optymistami i widzieliśmy naszą drużynę na dziesiątej — dwunastej pozycji. Ale kiedy mówimy o aktualnym, szóstym miejscu na pewno z tego faktu nie można się cieszyć i jakiś powód do satysfakcji mamy z tego powodu... Zakładamy, że dziesiąta pozycja na zakończenie rozgrywek tej edycji mistrzostw jest w granicach naszych możliwości. Pamiętamy jednak, że to nie koniec rozgrywek, że w drugiej, wiosennej rundzie terminarz mamy z pewnością mniej korzystny, a wiosenne spotkania — jak wiemy — przynoszą zawsze zaskakujące wyniki, nie wiemy też jak to będzie z regulaminem. Cieszymy się bardzo z lokaty, kto by bowiem przypuszczał, że będziemy przed Lechem, przed Widzewem, ŁKS który ma niezłą drużynę. Znajdujemy się obecnie z zespołem na drodze, dobrej, asfaltowej drodze z wyprofilowanymi zakrętami. No, a kto umiejętnie tę drogę pokona ten bezkolizyjnie przejdzie, dotrze do celu. Natomiast będziemy się znajdowali niewątpliwie i na zakrętach. Jeśli w tej chwili przystąpimy do przygotowań do wiosennych rozgrywek z przekonaniem, że ta szósta lokata jest, a co najwyżej będzie ósma, to możemy się bardzo szybko z tego pięknego snu przebudzić i będzie to przebudzenie bolesne. Przed sezonem powiedziałem, że możliwości drużyny są na dziesiątę — dwunaste miejsce a upierałem się nawet przy 12 pozycji — w tych granicach. Ale mówię również, że na pewno zrobimy wszystko żeby zawodnicy rutynowali tak jak Koszarski, Krakowski, Kowalski, Stelmasiak czy Kujawa, Kurant i Ptak byli w formie w miarę dla nich optymalnej i żeby oni kierowali tym zespołem. Ale o tym czy zrobimy postępy zdecydują piłkarze młodzi, wchodzący do zespołu. Przypominam, że na stałe została wprowadzona do zespołu czwórka młodych piłkarzy: dwóch 21-latków: Gierekiewicz i Godlewski, 20-latek Cebula i 18-latek Ciliński. I o dobrej grze zespołu zdecydowali — można powiedzieć, nie umniejszając zasług „rutyniarzy” — ci młodzi, którzy się sprawdzili.

— Na ile ta szósta pozycja jest trafem, szczególnie w zbieganiu okoliczności a na ile miernikiem wzrostu umiejętności, rozwoju zespołu?

Andrzej Wościechowski: — Wydaje mi się, że na pewno poprzedzająca poszła w górę, gdyż, jak powiedział Grzegorz, zakładaliśmy 10—12 pozycję. W sumie — znaleźliśmy się na szóstej, chwala więc zawodnikom ale pamiętajmy, że wywalczone miejsce stawia przed nami wszystkimi: piłkarzami, działaczami i szkoleniowcami nowe, wyższe wymagania. Ciesząc się z pozycji jaką wywalczyła nasza jedenaśka, chciałbym przypomnieć,

że w czasie sezonu przeżywaliśmy różne stresy, gdy baliśmy się o wynik przed meczem i cieszyliśmy się z uzyskanego rezultatu — zakładaliśmy, że drużyna zademonstruje przede wszystkim dobrą grę i tu chciałbym posłużyć się przykładem meczu z Górnikiem w Zabrzu. W czasie jazdy na Śląsk rozmawialiśmy z zawodnikami o taktyce jaką należałoby obrać przy spotkaniu z mistrzem Polski, mieliśmy obawy, czy Eugeniusz Ptak, który miał kontuzję wyjdzie na boisko. W tej sytuacji nasze zalecenia zmierzały do tego, by nie stracić zbyt dużo bramek — znaliśmy bowiem umiejętności strzeleckie przeciwnika — ale również, gdyby nadarzyła się okazja, uderzyć z kontrą. Zespół przystąpił do meczu w pełni skoncentrowany, z... Plakiem, który w ostatniej chwili zdecyd-

sukcesem było bezapelacyjne zwycięstwo w Zabrzu i ono zrobiło największe wrażenie w kraju. Dla mnie jednak największą osobistą satysfakcją jest relacja z Mielca red. Niemca, który dosłownie napisał: „Pod względem przygotowania motorycznego piłkarze Zagłębia zaprezentowali się imponująco”. Były różne „przepychanki” na temat przygotowania zespołu do sezonu. W pierwszych pojedynkach ligowych Zagłębie nie zaprezentowało wszystkich swoich walorów — szwankowała zwłaszcza skuteczność ale biegowo zespół prezentował się naprawdę dobrze. Widoczne to było w ostatnim meczu ligowym w Chorzowie z Ruchem, gdzie byliśmy szybsi i wytrzymaliśmy lepiej mecz kondycyjnie niż gospodarze. My już nie jesteśmy drużyną, która gdzieś tam pojedzie, sędzia nie tak

ze walczymy o czternaste miejsce. Myślimy jednak o rzetelności, że stac nas na 10 lokatę. Ze wysła została — chwala za to piłkarzom! Ale patrząc realnie, chcielibyśmy by na zakończenie rozgrywek nasz zespół zmieścił się w pierwszej dziesiątce i to byłby największy sukces piłkarzy. Wiem jednak, że zostałoby to przyjęte przez część działaczy i kibiców jako pewne rozczarowanie.

G. Szerszenowicz: — Gdybyśmy ja i Andrzej byli asekurantami, to na pewno nie zgodzilibyśmy się na pracę z zespołem, który 13 miesięcy temu miał w dorobku tylko 7 punktów a także — co musimy podkreślić — nie usunęliśmy z I zespołu zawodnika, który zdaniem pewnych działaczy był podporą drużyny. Gdybym był asekurantem nie zrezygnowałbym np. ze Stanki i Kuboty, którzy naszym zdaniem osiągnęli optymalny dla siebie poziom. Zbyt jednak mały na I ligę. Nigdy nie miałem z nimi żadnych konfliktów, co zresztą potwierdziłem ostatnio podczas pobytu w Głogowie. Przebudowując drużynę ryzykowałem, że młodzi wchodzący na ich miejsce: Ciliński czy Gierekiewicz mogą się nie sprawdzić. Nie grał też Budka — zawodnik, który w swej normalnej formie należał do najlepszych w Zagłębiu. Jego brak jest poważnym osłabieniem lubińskiej jednostki. Drużyna została odmołdżona i ma realne szanse dalszego rozwoju. Wszystko rozstrzygnie się wiosną.

— Na jakim odcinku widać wyraźny postęp, a które wymagają jeszcze doskonalenia?

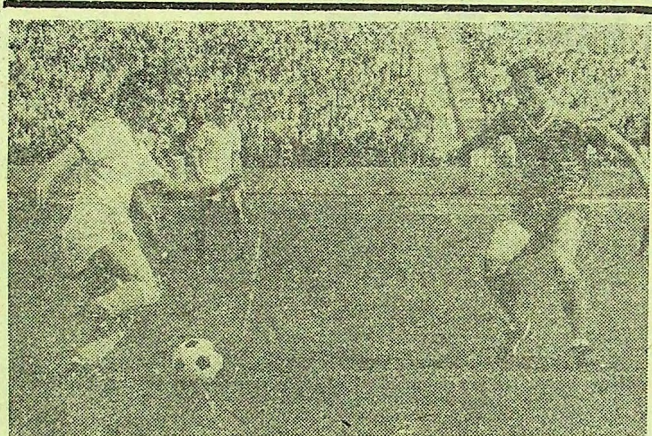
G. Szerszenowicz: — My ciągle jeszcze mamy zastrzeżenia do pewnych elementów gry, ale fakt utraty tylko 13 bramek coś jednak mówi. To mianowicie, że nasza defensywa, a zwłaszcza Koszarski, którego uważam za najlepszego bramkarza ligi, skutecznie radzi sobie z ofensywnymi formacjami przeciwnika. Świadczy to równocześnie o jej konsolidacji, wzajemnym zrozumieniu, choć zdarzają się różnego rodzaju gaffy. Za mało włączają się do gry obronnej napastnicy po utracie piłki, a pomocnicy zbyt często robią błąd taktyczny podświadomie cofając się zbyt głęboko zamiast neutralizować poczynania przeciwnika już w strefie środkowej. I to są mankamenty. Na treningach wiele pracujemy nad usunięciem braków. Jeśli ktoś przyszedłby raz czy dwa na boisko to mógłby powiedzieć, że Szerszenowicz i Wościechowski znają po pięć ćwiczeń i powtarzają je. Nie o to idzie. Powtarzamy pewne elementy gry, by wyrobić nawyki u zawodników np. prostopadłe podanie piłki wzdłuż linii, dośrodkowania czy wycofanie piłki na strzał partnera. Chcemy wrócić do klasycznego sposobu rozgrywania piłki i gry skrzydłami. Mamy na tej pozycji rasowego piłkarza, jakim jest Kurant, a również Cebula rokuje duże nadzieje. Bowiem przy obecnym zagęszczeniu środka pola i naszym słabym wyszkoleniu technicznym, coraz trudniej jest oddać celny strzał na bramkę. Nie mamy takich indywidualności jak Dziekanowski, który potrafi na 3 metrach wymanewrować przeciwników i zdobyć gola, mimo że przez większość meczu stał. Nie będę tu mówił o przydatności Ptaka jak również o innych członkach drużyny — znamy ich zalety.

Wiele jeszcze cennych uwag padło z ust szkoleniowców Zagłębia. Z uwagi jednak na ograniczoną ilość miejsca przerywamy naszą relację obiecując czytelnikom, że powrócimy do niej w następnym numerze „PM”.

Na razie więc dziękujemy za rozmowę, przekazując czytelnikom od szkoleniowców życzenia pogodnych świąt i Nowego Roku.

Wszystko rozstrzygnie się na wiosnę

MŚCISŁAW MACHNICKI



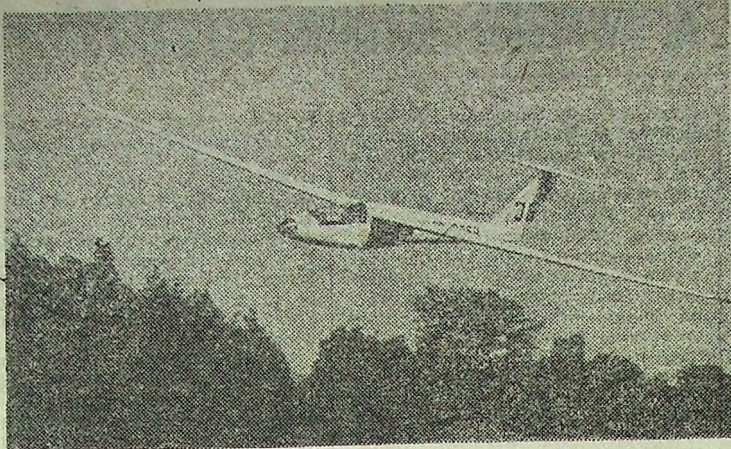
Fragment jednego z I-ligowych spotkań. Na pierwszym planie Kurant. Fot. J. Kosiński

wał się grać. Końcowy wynik i dobra gra naszej drużyny była kompletnym zaskoczeniem dla słaskich kibiców. Odezwały się głosy, że wyszedł nam fuks, że Górnik... że sprawa nieczysta. Skoro jednak odnieśliśmy tak znaczące zwycięstwo, trzeba było z tego faktu wyciągnąć jak największe korzyści. I to nam się udało. Zdajemy sobie jednak sprawę, nie ujmując nic umiejętnościom zespołu, że w rundzie wiosennej różnie jeszcze mogą się układać sytuacje na boisku, nie wszystkie mecze musimy też wygrać. Dlatego obawiamy się nieprzychylnych głosów, że drużyna w słabej formie, że miało być szóste miejsce a jest np. 8—10, że Zagłębie gra słabiej niż szkodziliwali się pewni działacze. Ale taka jest właśnie piłka w I lidze i trzeba realnie oceniać nasze możliwości. Zagłębie zrobiło pewien postęp, a jak twierdzą niektórzy, nawet duży. Pyta pan czy mieliśmy szczęście — przyznaję, że w kilku spotkaniach i ono może zawazyło na wyniku. Ale, co mocno podkreślam, nie zawazyło na końcowym układzie tabeli.

G. Szerszenowicz: — Nasza drużyna zaaklimatyzowała się już w lidze i jest równorzędnym rywalem dla najlepszych. Nawijając do szczęścia w grze, o którym mówił Andrzej — chciałbym jeszcze dodać, że to nie my mówiliśmy o szczęściu a nieprzychylna nam do niedawna prasa o tym pisała. Bez wątpienia największym naszym

gwizdnem, a kibice głośniejszy krzykną i my trzęsiemy się jak galareta. Zagłębie potrafi już w każdej fazie kontrolować grę, potrafimy zwolnić, przyspieszyć, nie gramy „wybijanki” po trybunach. Potrafimy już skutecznie skontrolować a jak trzeba — prowadzić atak pozycyjny, chociaż z tym ostatnim są jeszcze kłopoty. I właśnie dlatego taki jest końcowy efekt rundy jesiennej. Ale nie oszukujemy się, bądźmy realistami i popatrzmy na skład kadrowy trzech zespołów: Widzew przebudowywany od nowa, Lech i ŁKS, który ma w swym składzie kilku reprezentantów kadry młodzieżowej i olimpijskiej. Jak byśmy nie porównywali, to te zespoły są kadrowo dużo, dużo silniejsze a jednak my jesteśmy w tabeli przed nimi. Trzeba się liczyć z tym, że te zespoły mogą grać o wiele lepiej na wiosnę. Natomiast kadrowo powiedziałbym, że my jesteśmy na poziomie Ruchu. Podkreślam jeszcze raz, tak jak i Andrzej, jest dobrze, dziękujemy piłkarzom za dobrą grę, dziękujemy, że zadali kłam pewnym mitom, ale pamiętajmy, że znajdujemy się w jeszcze trudniejszym okresie niż przed rozpoczęciem rozgrywek latem. Nie chciałbym aby przyjęto to jako naszą asekurację przed rundą wiosenną. Mamy po prostu dobre rozczucie i właściwą ocenę możliwości zespołu.

A. Wościechowski: — Mogliśmy przecież powiedzieć przed sezonem



Szybowiec „Cobra” na dolocie.

Po okresie pewnej stagnacji działalność sportowa w Aeroklubie Zagłębia Miedziowego znów nabrała rozmachu. Wszystkie sekcje: szybowcowa, samolotowa, modelarska i spadochronowa mogą poszczycić się dużymi osiągnięciami. Piąta — balonowa, jest w trakcie organizacji. Znacząco, iż już w przyszłym sezonie zobaczymy pierwsze próby wzniesienia się nad Lubinem pilotów balonowych.

Od 1 lipca br. kierownikiem lubińskiego aeroklubu został były zawiadowca ZG „Rudna” mgr inż. Zygmunt Wróblewski, a kierownikiem wyszkolenia Mirosław Grzelak — znany dolnośląski instruktor samolotowy. Prezesem zarządu jest Alfred Wolczyński — dyrektor ds. górnictwa KGHM Aeroklub Zagłębia Miedziowego jest bowiem integralnie związany z kombinatem, jego działalność finansuje Zakład Transportu.

Poprosiliśmy p. Mirosława Grzelaka, który dopiero od 1 września br. rozpoczął etatową pracę na stanowisku kierownika wyszkolenia (ale z aeroklubem związany jest od lat), o udzielenie nam informacji o pracy AZM.

— Zaczęć może od sekcji spadochronowej — mówi M. Grzelak — której kierownikiem jest instruktor-pilot Andrzej Frąckowiak, gdyż posiada najliczniejszą kadrę — 62 liczących się w kraju pilotów oraz 22 szybowce różnych klas. Aktualnie największym sukcesem poszczycić się może Piotr Kuchta, 22-letni lubinianin, zdobył



w pięknym stylu tytuł wicemistrza Polski na zawodach w Lesznie, które odbyły się w lipcu br. W naszej ekipie znajduje się także 3-krotna mistrzyni kraju i dwukrotna wicemistrzyni krajów

Ikary nad Lubinem

MŚCISŁAW MACHNICKI

demokracji ludowej Bożena Demczenko-Grzelak. W roku bieżącym miała przerwę w startach z powodów macierzyńskich — wychowanie dziecka. Mamy jednak nadzieję, iż w 1987 r. znów zobaczymy



my ją za sterami szybowca Podczas mistrzostw Dolnego Śląska, które odbyły się w Opolu, duże szanse na zajęcie czołowej lokaty miał Waldemar Hareś — (2 miejsc). Niestety z powodu złych

warunków atmosferycznych zawody zostały przerwane. W Opolu startowała nasza 5-osobowa ekipa.

— Słyszałem, iż najpoważniejszym mankamentem jest brak odpowiedniego sprzętu.

— Jest to problem, z którym borykają się wszystkie ośrodki



szybowcowe w kraju i — co najważniejsze — trudny do rozwiązania Wytwórnia sprzętu w Bielesku oraz zakład remontowy w Krośnie mają ogromne trudności materiałowe. W związku z tym np. czas remontu szybowca trwa około 4 lat. Liczymy na dostawę kilku nowych szybowców, ale — mimo

— Ano właśnie. Jak przedstawia się szkolenie narybku?

— Corocznie organizowany jest dla wszystkich chętnych kurs nauki latania. Przyjmujemy kandydatów, którzy ukończyli 16 lat, przede wszystkim uczniów szkół

zawodowych i średnich. Po zdaniu egzaminu teoretycznego adepci przed rozpoczęciem praktycznej nauki latania, muszą przejść specjalistyczne badania w ośrodku medycyny lotniczej we Wrocławiu. Dopiero po otrzymaniu pozytywnego atestu można przystąpić do latania, początkowo wraz z instruktorem, a później już samodzielnie. Pozytywne zdanie egzaminu nadaje kandydatowi uprawnienia pilota III klasy. Do zdobycia uprawnień pilota II klasy potrzebne jest pokonanie odległości powyżej 500 km. W lubińskim Aeroklubie posiadamy 8 pilotów klasy II. Są to: Piotr Kuchta, Waldemar Hareś, Krzysztof Smyk, Waldemar Berezowski, Jarosław Plaga, Stanisław Haczynski, Dariusz Haraś. Największe trofeum — złotą odznakę szybowcową, równoznaczną z uzyskaniem I klasy, uzyskuje się podczas startów w Jeleniej Górze i Bielsku, gdzie znajdują się odpowiednie warunki termiczne do uzyskania dużych odległości lub wysokości. Nasi członkowie naszej sekcji przebywali tego roku w powietrzu 1860 godzin, pokonując przeszło 23 tys. km. Dotyczy to zarówno lotów szkoleniowych, jak i akrobacji, lotów bez widoczności (w chmurach i nocy). Posiadamy 8 mistrzów sportu. Odznaki te przyznawane są przez GKKPIT: Krzysztof Mróz, Bogdan Kasprzycki, Mirosław Grzelak, Bożena Demczenko-Grzelak, Zenon Skalski, Zbigniew Wawrzyniak, Paweł Piłat i Stanisław Porębski.

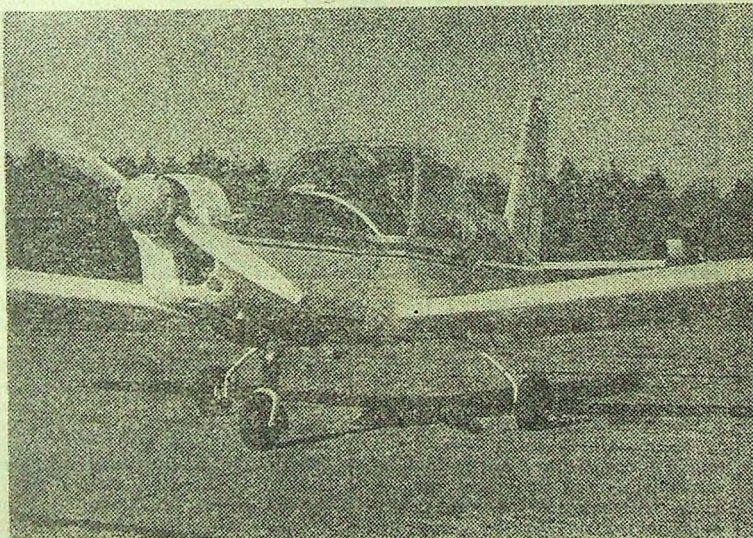


— A teraz trochę danych o sekcji samolotowej, której jest pan kierownikiem.

— Z uwagi na to, że jest to jedna z trudniejszych dyscyplin — mówi dalej M. Grzelak — ograniczyć się tylko do pewnych faktów. Otóż prowadzimy szkolenie w zakresie akrobacji, i rajdowo-nawigacyjnym oraz pilotażu grupowego i w nocy. Naszym asem atutowym jest Jerzy Kosierkiewicz, pracownik ZG „Polkowice”, tegoroczny wicemistrz Polski w akrobacji. 4 osoby posiadają uprawnienia pilota turystycznego, a 10 pilota II klasy. Wszyscy natomiast przeszli do nas po opanowaniu latania na szybowcach. W chwili obecnej mamy w sekcji 32 osoby.

— Kiedy pierwsze balony wzniosą się nad Lubinem?

— O założeniu sekcji balonowej myśleliśmy już od dawna, dopiero jednak w bieżącym roku kwestia ta — jak mi się wydaje — zo-



Zlin-12 M — samolot szkoleniowo-treningowy.

Astrologiczna tablica Azteków

Już ponad dwa tysiące lat liczy horoskop Azteków i do dziś nie stracił ze swej aktualności. Posługując się nim można za pomocą bardzo łatwych wyliczeń przepowiedzieć najbliższą przyszłość określoną przez dziewięć figur „uskrzydłonego węża”, związanych z liczbami od 1 do 9. Aby uzyskać przepowiednię — odnaleźć właściwą dla siebie liczbę — trzeba dodać wszystkie cyfry daty urodzenia (np. dla 14.10.1959 1+4+1+0+1+9+5+9=30 3+0=3), następnie wszystkie cyfry daty dnia w którym dokonujemy jest wróżba (np. 22.10.1985 2+2+1+0+1+9+8+5=

=2672:3=1971+0=1) i w końcu dodać oba wyniki (3+1=4). Otrzymany rezultat wskazuje figurę w której znajdziesz prognozę dotyczącą najbliższego okresu w twoim życiu, w wypadku który podaliśmy w przykładzie — jest to TRZCINA — 4. Może się oczywiście zdarzyć, że uzyskana na końcu liczba wyniesie np. 15 — wtedy należy dokonać kolejnego działania: 1+5=6.

Nie należy przeprowadzać wróżby wcześniej niż przed upływem miesiąca od chwili pierwszej prognozy, tyle bowiem czasu potrzebuje liczby znajdujące się w „uskrzydłonym wężu” aby znaleźć nowe miejsce i wskazać ci swoją przepowiednię. Mniej zabawy!

1 — KAJMAN

Jeśli ostateczny wynik wysy-

kich ważnych dla ciebie liczb wynosi 1 lub 10 przeżywasz magiczne wprost chwile. Jest to jeden z najszcześniejszych okresów w twoim życiu, najbliższy czas będzie obfitować w miłość, spotkania, radość, wesoły nastroj, liczne towarzysztwo. Pogodnie chwile również dla stałych partnerów, którzy właśnie teraz odkrywają nowe uroki bycia razem.

2 — KOZICA

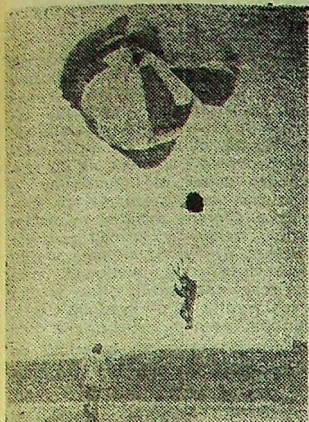
Jest to moment wyczekiwania, zatrzymywania. Tak jak koczka staje niekiedy w biegu, aby prześledzić z wysoka okolicę, tak ci, którzy zebraли taką właśnie liczbę muszą właśnie teraz zastanowić się przez chwilę nad tym, co osiągnęli do tej pory. Okres paury pomoże im w uświadomieniu sobie faktów i nabraniu sił. Cenne nowiny, jeśli chodzi o finanse i pracę zawodową.

3 — WODA

Woda jest symbolem wróżbiarstwu nadzwyczaj pozytywnym, oznacza najczęściej oczyszczenie i rozwianie wszelkich chmur, które mogłyby założyć nad twoim losem. A więc radość, szczęście, uczucie, wszystko to powinno teraz znaleźć się w rozkwicie. Skorzystaj z tej niezwykłej sytuacji i spróbuj jak najpełniej ją przeżyć. Jeżeli pojawią się momenty niezrozumienia, bardzo szybko rozwiewią się. Szczęściu w miłości nie będzie jednak towarzyszyła korzystna sytuacja w pracy, nie jest to dla niej najbardziej sprzyjający okres.

4 — TRZCINA

Ten znak astrologiczny można interpretować jako skłonność do zamknięcia się w sobie, często oznacza charakter dążący do samotności i do życia wspomnieniami, osobą wpadającą w depresję, jeśli coś nie potoczyło się zgodnie z jej



Lądowanie.

stała rozwiązana. Powstała sekcja grupująca sympatyków tej dziedziny sportu lotniczego, planujemy i mamy już konkretne zapewnienia producentów, zakup jednego lub dwóch balonów na ogrzewane powietrze. Mamy równocześnie nadzieję, że ta nowa dyscyplina sportowa zainteresuje młodzież lubińskich szkół oraz innych miejscowości regionu.

— W każdy pogodny dzień widać nad naszym miastem opadające chmury spadochronów. Ten sport cieszy się chyba największym powodzeniem?

— Sekcja liczy aktualnie 63 osoby — przede wszystkim uczniów szkół zawodowych i techników oraz pracowników różnych zakładów kombinatu miedzi, 10 skoczków zdobyło już I, a 29 — II klasę. Najliczniejszą grupę stanowią sportowcy, którzy zaliczyli od 25 do 30 skoków i otrzymali tytuł skoczka spadochronowego.

Pierwsze skoki z linką zaczepioną do samolotu oddają adepci tej dyscypliny sportu, po przejściu kursu teoretycznego. Następnie już są z opóźnieniem 3-, 5-sekundowym. Ćwiczenie na celność lądowania jest już „wyższą szkołą jazdy”, a później egzamin końcowy. II klasę sportową otrzymuje się po wykonaniu 70 skoków, a I — za skoki do koła oraz akrobację w powietrzu. I w tej dziedzinie posiadamy doskonałych zawodników: Józef Dupla — 800 skoków. Stanisław Dobrowolski — 870, Tadeusz Jung — 1250, Marian Beller — 830, bracia Wejksznia — Roman 570 i Edward — 1000, Norbert Paradowski — 630. Członkinią kadry narodowej jest Krystyna Wejksznia, a czołowa nasza za-



przewidywaniami. Trzecina to jednak również symbol niepoddawania się, rękodzieła drobnym przeciwnościom i stawiania czoła temu, co czas niesie. Twoja najbliższa przyszłość rysuje się w różowych barwach, wymaga jednak dużej woli i chęci życia.

5 — OCELOT

Niewielki leśny drapieżnik będący symbolem twojej najbliższej przyszłości jest bystry, sprytny, żywoty. Możesz liczyć na okres obfitujący we wszelkie możliwości w pracy zawodowej, w interesach. W sferze uczuć udane spotkania i załaski przyjaźni mogących przekształcić się w trwałe związki, też małżeńskie i to niezależnie od wieku.

6 — SEP

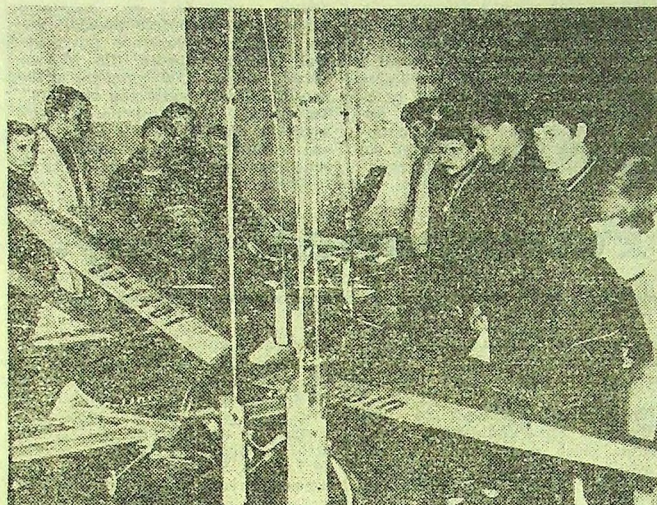
Jest dość złożonym znakiem wróżbiarskim, ale niekoniecznie negatywnym, ponieważ większość

wodniczką Dorota Szezynek. Prowadzą także szkolenie w ratownictwie spadochronowym pilotów szybowcowych i samolotowych. Wszyscy bowiem muszą nie tylko umieć obsługiwać się spadochronem, ale także wykonać prawidłowy, bezpieczny skok.

Chciałbym na zakończenie rozmowy — o sekcji modelarskiej o- powie p. Stefan Jureczeniak — podkreślić najważniejsze osiągnięcia Aeroklubu Zagłębia Miedziowego, a mianowicie to, że grupujemy w naszych sekcjach przede wszystkim sympatyków sportu lotniczego — pracowników KGHM, a także młodzież szkolną, związaną z przemysłem miedziowym.

— Czym zajmuje się lubiński ośrodek modelarstwa lotniczego i kosmicznego?

— Jak już sama nazwa wskazuje — mówi S. Jureczeniak — za-



W modelarni

kres naszej działalności jest bardzo szeroki. Zajmujemy się m. in. modelami rakiet, rakietałoplanów zdolnie sterowanych, dużych latających statków kosmicznych, redukcyjnych modeli ostatecznych oraz o napędzie silnikowym i gumowym. Nasz ośrodek mieści się w Lubinie na zapleczu Przyszłości Przeciwności — aleja 1 Maja 14 i grupuje 42 seniorów — mieszkańców Głogowa, Polkowice, Legnicy, Jawora, Ścinawy, Chocianowa i naszego miasta. Młodzież w większości zajmuje się modelarstwem w szkolnych klubach. Mamy bardzo utalentowanych zawodników. Do wyróżniających się należą: 13-letni uczeń Szkoły Podstawowej w Lubinie Robert Klepner. Jego specjalność to modele F-1A (szybowce), Piotr Achenbrenner — modele o napędzie ga-

mowym oraz Grzegorz Świeca — małe formy modelarskie. Międzynarodowe uznanie zdobył Roman Czerwiński. Zajął on m. in. pierwsze miejsce w kategorii modeli z napędem silnikowym podczas zawodów w Czechosłowacji i w Gliwicach. Na mistrzostwach Europy, które odbyły się w Rumunii w kategorii szybowców Stefan Jureczeniak zajął trzecie miejsce, a R. Czerwiński — 10 w grupie modeli silnikowych. Na mistrzostwach Polski, rozegranych w Lesznie, w grupie modeli gumowych najlepszy okazał się S. Jureczeniak, a 7 miejsce zajął Włodzimierz Grzesia. Również na tej samej pozycji sklasyfikowany został w grupie modeli silnikowych R. Czerwiński. Na zawodach w Bielsku-Białej wśród modeli sterowanych zдалnie ze zbocza zwyciężył Józef Grochol — mieszkaniec Jawora. We Wrocławiu wygrał R. Czerwiński. Spośród 46 istniejących w kraju ośrodków na czele

znajdują się Gliwice i Lubin. Nasza sekcja przoduje w grupie modeli swobodnie latających. Tutaj decyduje technika i walka sportowa (zmienne warunki meteorologiczne).

Po 10 latach starań udało się nam otrzymać dodatkowe pomieszczenie. Wymaga ono jednak dość dużego remontu. Liczymy na pomoc zakładów kombinatu.

— Dziękuję za rozmowę.



T. ŁAWICKI WYGRAŁ BIEG ULICZNY

W Lubinie odbył się I Barborkowy Bieg Uliczny o Lampę Górniczą dyrektora ZG „Lubin”, w konkurencji kobiet i mężczyzn.

Na starcie stanęło 187 zawodników z całego kraju, a trasę długości 9,700 m pokonało 151 osób. Najlepszy okazał się reprezentant Zagłębia Tadeusz Ławicki — 28.32,00, wyprzedzając przedstawiciela PGWAR Igora Jefimowa o 5 sek. Na następnych pozycjach uplasowali się zawodnicy wrocławskiego Śląska, 3. Ryszard Krupanek — 29.29,00, 4. Wiesław Ziembicki, 5. Dariusz Rudzik.

W pozostałych kategoriach wiekowych zwyciężyli: kobiety — 1. Ludmiła Miedwiediewa (PGWAR), 2. Galina Jefimowa (PGWAR), 3. Marianna Stolarek (Wrocław).

Do lat 29 — 1. Jefimow (PGWAR), 2. Ryszard Krupanek (Śląsk), 3. Wiesław Ziembicki (Śląsk).

Od lat 30 do 39 — Tadeusz Ławicki (Zagłębie), 2. Henryk Warszawski (KBK Zielona Góra), 3. Czesław Lichota (ZANAM Polkowice).

Od lat 40 do 49 — 1. Zdzisław Lipowski (HM „Leśnica”), 2. Józef Wołoszyn (ZRM Lubin), 3. Edward Kościak (ZPL „Len” Kamienna Góra).

Od 50 do 59 lat — 1. Stanisław Kuźniak (Klub Biegacza Zary), 2. Michał Kujawiakowski (ZANAM Polkowice), 3. Hldefons Górniak (TKKF Legnica).

Powyżej 60 lat — Stefan Mielczarek (TKKF Legnica), 2. Edward Kusik (LZS Błotnica), 3. Jan Domoradzki (TKKF, Zastal Zielona Góra).

W klasyfikacji KGHM zwyciężyła ekipa ZANAM-u z Polkowic, Czesław Lichota, Sandro Kunyck, Teofil Zieliński, 2. ZG „Lubin”, Mieczysław Bobiński, Jan Bielawski, Krzysztof Sabat, 3. ZG „Polkowice”, Jan Kurzeja, Jan Siewkowski, Adam Drzygza. Drużyna ZANAM zdobyła puchar dyrektora generalnego kombinatu.

Zawody, które zostały bardzo dobrze zorganizowane przez działaczy społecznych ZG „Lubin” cieszyły się dużym zainteresowaniem mieszkańców miasta, i odbyły się przy słonecznej pogodzie.

Wydało się, iż jest obecnie szansa na przeprowadzenie w Lubinie i jego okolicach biegu maratońskiego — wielu uczestników barborkowego biegu ulicznego deklarowało chęć startu w takiej imprezie. Opinie te przekazujemy organizatorom pod uwagę.

(mm)



Na zdjęciu: D. Rudzik (72) i W. Ziembicki (70) — obaj ze Śląska. Fot. C. Sobon

8 — OGIEN

Oznacza siłę, vitalność, działanie — teraz nadszedł jeden z tych momentów, w których musisz zdecydowanie ująć swój los i formować go zgodnie z twoją wolą, oczekiwaniami, pragnieniami. Dysponujesz taką siłą, więc użyj jej bez obawy i spojrz na swoją najbliższą przyszłość ze spokojem i zaufaniem. Nie trać czasu na wahania.

9 — DESZCZ

Deszcz w starożytności był zawsze uważany za przychylność fortuny, szczęście, opiekę bogów 9 to jedna z najszybszych liczb azteckiej tablicy astrologicznej: wróży okres zbioru owoców tych wysiłków, które włożyłeś w stworzenie ważnej dla ciebie rzeczy. Jesteś pod znakiem dobrego losu — zdaj sobie z tego sprawę. Nadszedł moment śmiałych działań, przede wszystkim w miłości, szczęście znajduje się na wyciągnięciu ręki.

Początkowo Jan N. nie chciał się zgodzić. Wprawdzie jemu też pociągły były bardzo potrzebne, ale kradzież? przestępstwo? Tej propozycji swego najlepszego przyjaciela nie zaakceptował. Andrzej W., który z pomysłem swego życia na szybkie wzbogacenie się pojechał z Legnickiego aż w Olsztynskie, gdzie od pewnego czasu Jan N. zamieszkiwał ze swoją nową dziewczyną, wrócił do Głogowa zdesperowany. Żona domagała się pieniędzy, potrzebowała ich też przyjaciółka, u której mieszkał na prawach towarzysza życia, a on, niestety, ich nie miał. Dość dawno



zarzucił mrzonki o dorobieniu się czegokolwiek codzienną pracą, a ponieważ dość często zmieniał miejsca zamieszkania, więc nawet zwolennicy metod wychowania przez pracę mieli poważne kłopoty z ustaleniem jego miejsca pobytu. Czas upływał, pomysłów na łatwy zarobek przybywało, ale nadal brakowało pomocników do ich realizacji...

Po kilkunastu dniach Jan N., wraz z dziewczyną Jolantą R. przyjechali do Głogowa, do przyjaciółki Andrzeja W., Ewy K. Był sierpień, pełnia lata sprzyjała dobrym nastrojom, alkohol pomagał w prowadzeniu rozmowy na różne tematy, także i ten: jak zdobyć trochę grosza? Jolanta R., która podobnie jak Jan i Andrzej wywodziła się z terenów gminy Jerzmanowa, kontynuując wątek rozmowy o niesprawiedliwości losu, który jednym daje wiele, a innym nic, rozpoczęła opowieść o bogatych rolnikach z Kotli. Andrzej popatrzył wymownie na Janę, a później, gdy zostali sami, wznowił namowy pójścia „na włam”. Jan wahał się znacznie krócej niż poprzednim razem, wreszcie zgodził się. Koledzy przystąpili do omawiania szczegółów, ale po chwili doszli do wniosku, że nie ma co teoretyzować, najlepiej na miejscu sprawdzić, co i jak. Pojechali do Kotli, chodząc po wsi obserwowali różne zabudowania, przysłuchali się, ile psów biega po podwórzach. Wybrali budynek stojący na końcu wsi, w pobliżu przejazdu kolejowego i cegielni. Wiedzieli już, że mieszkają tam starzy ludzie, których możliwości stawiania oporu ocenili jako niewielkie.

Po powrocie do Głogowa zaczęli przygotowywać się do włamania: ze starych sukienek Ewy zrobili maski na twarze, opatrunki osobiste typu wojskowego uznali za najlepsze do kneblowania, sznur do wieszania bielizny miał posłużyć do krepowania napadniętych, dwa noże...

Do Kotli pojechali pociągłem, pod budynkiem państwa S. znaleźli się, gdy było już całkiem ciemno. Ukryli się w ogrodzie, zza krzaków porzeczek obserwowali budynek. Widok nieznanego młodego mężczyzny spłoszył ich; obawiając się oporu zrezygnowali z napadu, wrócili pieszo do Głogowa, wyrzucając po drodze maski i sznur. Wrócili jednak po kilku dniach, 15 sierpnia. Oprócz nowych masek, sznura, opatrunków — knebli, latarki, rękawiczek — mieli przy sobie wędki i pół litra



wódki. W biały dzień pojechali autobusem do miejscowości obok Kotli, pieszo doszli do upatrzonej zabudowy, rozłożyli wędki i łowiąc ryby czekali nad pobliskim stawem, aż zapadnie zmrok. Było po 22.00, gdy podeszli pod okna domu małżeństwa S. Zatrzasnęli — tym razem starszyszkowie (ona — 71 lat, on — 73) byli sami, przy-

gotowywali się do obrządzenia inwentarza. Obydwójce wyszli na podwórze, później do stajni. W tym czasie Jan i Andrzej wdrapali się po pniu drzewa na dach przybudówki, stamtąd — usuwając dachówki — weszli na strych budynku mieszkalnego. Zeszli po schodach na dół, ale drzwi, zamknięte od zewnątrz skobieniem, nie ustępowały. Próbowali je otworzyć nożem — bez skutku. Właściciele domu wrócili już z podwórka. Słyszając jakieś hałasy S. postanowił sprawdzić, co dzieje się na strychu. Otworzył drzwi i poczuł silne uderzenie w pierś — włamywacze przystąpili do realizacji planu. Napadnięty krzyczał, wzywał pomocy — nadbiegła jego żona, którą „zajął się” Andrzej W.: złapał za włosy i jednym szarpnięciem powalił na podłogę. Później wszystko potoczyło się szybko: Jan N. podniósł mężczyźną, Andrzej W. kobietę, wykręcając ręce zaprowadził ich do jednego z pokoi — sterroryzowani starszyszkowie nie stawiali oporu. S. pytał jeszcze, czego od nich chcą, z kieszeni wyjął pieniądze (około 10 tys. zł w banknotach i monetach 200 i 100 zł), prosił, by ich uwolnili i zostawili w spokoju. Włamywacze wzięli pieniądze, bez słowa przecięli przygotowany sznur na połowę, związały ręce obojgu, zakneblowali usta. Kazali S. położyć się na podłogę, skrupowali nogi, zawi-

Potrzebowali forsy...

nęli w koldrę i... wsunęli pod stół. Jego żonę Andrzej W. przywiązał do krzesła i przeniósł do sypialni.

Teraz mogli przystąpić do plądrowania mieszkania — z szaf, szafek, łóżek wyrzucali całą zawartość na podłogę, rozpruwali materace. Znaleźli blisko 190 tys. zł, 150 rubli, złotą biżuterię (zegarek, łańcuszek, pierścionek, kolczyki, parę obrączek). Zabrali wszystko, co uznali za wartościowe, także czekolady, herbatę, kawę, spirytus, wódkę. Właściciele ocenili później straty na ponad 300 tys. zł. Pozostawiając napadniętych skrupowanych wyszli z domu przez strych, polnymi drogami, by zmylić ewentualny poś-



cig, pieszo doszli do Głogowa. Już na moście nad Odrą przypomnieli sobie o maskach — obydwie, także i latarkę, noże i torbę wyrzucili do rzeki. Takśówką pojechali do Polkowic, gdzie mieszkała żona Andrzeja W. Tam wypili kradzioną wódkę i zaczęli dzielić łup. Swojej żonie Andrzej dał 50 tys. zł, żonie Janę N., którą odwiedzili w następnej kolejności, zostawili 40 tys. zł. „Tatuś” podarował córeczce skradzione kolczyki i „drobne”, którymi S. chcieli okupić swoje życie i zdrowie. Całą resztę sprzedali, żywność także, dzieląc się proporcjonalnie do zasług i wkładu pracy. Tak nieoczekiwanie wzbogaceni bawili się jeszcze razem przez kilka dni, po czym Jan N. razem z dziewczyną wrócił w olsztyńskie.

Andrzej pozostał u Ewy. Coraz częściej odwiedzał ich mieszkającą jej brat, Krzysztof B., który właśnie opuszczał zakład karny, gdzie służył za włamania. Obydwaj panowie dość szybko zaprzyjaźnili się, a ponieważ nie pracowali, mieli więc sporo czasu, by planować najbliższą przyszłość. Nie wiadomo, czy Andrzej opowiedział o sierpniowym skoku, w każdym bądź razie jedna z wrzesniowych rozmów dotyczyła podgłogowskich wsi, gdzie wiele domów stoi w sporym od siebie oddaleniu, sprzyjającym włamaniom. Tym razem sam Andrzej W. poszedł spraw-

z budynków stojący na uboczu. Aby wyeliminować wszelkie ryzyko przez dwie kolejne noce obserwowali dom: wiedzieli, że mieszka tam młoda kobieta z dziećmi i starszyszkami, domyślali się, że może też być jakiś mężczyzna. Zdecydowali się działać: jeśli w domu zastaną kogokolwiek, nie cofną się przed rozbojem i użyją siły, gdyby zaś dom okazał się pusty — włamią się i skradną to, co ma jakąś wartość. Uznali jednak, że



najbezpieczniej byłoby zrealizować plan we trzech. Tym trzecim został Marek G., znajomy Krzysztofa, który właśnie wrócił z domu poprawczego w Głogowie. Przygotowując się do napadu na polu w pobliżu domu ukryli maski i dwa kolki. W dniu napadu urządzili w mieszkaniu Ewy małą imprezę, zapraszając na nią przegrodnie poznane w kawiarni dziewczyny. Wspólnie popijali wino, Andrzej w łazience przygotował trzecią maskę, dla Marka. Gdzieś około 21.00 panowie przeprosili panie, wyszli „na chwilę”. Takśówką pojechali do Nielubi, wysiedli na przystanku PKS, pieszo wrócili w stronę Głogowa. Ze schowka wyjęli maski, kolki, mieli

przy sobie noże. W domu państwa S. paliło się światło, ale nie już nie mogło zmienić zamiaru chłopaków. Włożyli maski, rękawiczki, weszli na podwórze, nie zwracając uwagi na ujadającego psa. Krzysztof zapukał do drzwi, otworzyła je Lucyna S. Na widok trzech zamaskowanych mężczyzn zaczęła krzyczeć rozpaczliwie. Nadbiegł mąż — niewiele mógł zdziałać, napastnicy wykorzystali kolki, stojąc na progu domu okladali kijami jego właściciela czekając, aż ulegnie. Napadnięty próbował uciekać — złapał go za rękę i nogi, wciągnęli do mieszkania zażądali pieniędzy. Tomasz S. odpowiadał, że nie ma, przyłożyli mu więc nóż do gardła i lekko nacinając grozili, że za chwilę poderzną mu gardło, jeśli nie wyda kosztowności. Lucynę S. Marek G. zaprowadził do pokoju i pilnował. Tomasza S. związano i porzucono na podłodze. Plądrowanie zawartości szaf i segmentów nie zdało się na wiele, dopiero sterroryzowana nożem Lucyna S. wydała obrączkę i dwa pierścionki, młynek do kawy, zegarek, suszarkę do włosów, 500 złotych. Rabusie, jakby nie wierząc, że może to być ich całym łupem, nadal plądrowali mieszkanie. W pozostałych pomieszczeniach nie znaleźli jednak nic cennego. Nie kryli złości — leżącego w łóżku starszyszka zmusili do wstania, rozebrali



do naga, związali. Już wychodzili, gdy na rowerze nadjechał sąsiad — zaatakowali go brutalnie, bili, kopali, zawlekli do korytarza domu, dokładnie obszukai. Kiedy okazało się, że niczego cennego nie ma przy sobie, związali i zakneblowali groźąc nekora, gdyby myślał o obronie. Zamknęli drzwi od zewnątrz i wyrzucili klucz. Zli i zdenerwowani niepowodzeniem postanowili wracać, wtedy Andrzej W. krzyknął, że pieszo nie pójdzie. Oknem wrócił do mieszkania, od wewnątrz dostał się do garażu, uruchomił stojący w nim dostawczy Volkswagen i wyjechał na drogę. Wszyscy trzej samochodem wrócili do Głogowa, porzucając auto na osiedlu Kopernik. Po drodze pozbyli się masek, wrócili do mieszkania Ewy. Podział mizernej łupy wykonał następująco: Andrzej zabrał biżuterię, Krzysztof

zegarek i młynek do kawy, Marek — resztę.

Czy był to jedyny przypadek zbiorowego rozboju trzech kolegów — nie wiadomo. Sledztwo wykazało, że Andrzej i Marek nie zaprzestali przestępczej działalności. W Wigilię wybrali się do Kamionnej, próbowali włamać się do wybranego domu, ale spuszczonej z łańcucha pies wystraszył ich skutecznie. Ciemne okna w pobliskim domu zachęciły ich do podjęcia kolejnej próby: kamieniem wybili okno w łazience, ponieważ nikt nie reagował, weszli do środka przez wybite okno, kradnąc ciasta, wędliny, alkohol. Wieczorem dnia następnego rowerem pojechali do Domanowic, gdzie w ten sam sposób (wybić szybę, otworzyć okno, wejść do środka) splądrowali mieszkanie, zabierając tym razem oprócz ciast, wędlin i wódki kilka tysięcy z pozostawionej portmonetki. Spróbowali jeszcze zobaczyć,



co znajduje się w stojącym obok budynku. Weszli doń przez wybite okno, świecąc latarkami obszukiwali kolejne pokoje. W jednym z nich natknęli się na leżącą w łóżku 76-letnią właścicielkę, która na ich widok zaczęła głośno wzywać pomocy. Andrzej W. zwał ją z łóżka, próbował obezwładnić, zatkał usta, związał ręce. Starszyszka broniła się uporczywie, dając radę także i drugiemu napastnikowi. Jej krzyk sprawił, że włamywacze rzucili się do ucieczki. Na rowerach wrócili do domu, cały łup... zjedli w drugim dniu świąt.

Kilka dni później, 28 grudnia, postanowili włamać się do mieszkania polkowskiego lekarza-ginekologa. Po północy podeszli pod budynek, w którym mieszkał lekarz, Marek wszedł na balkon, kopniemkiem wybił szybę. Andrzej miał stać na czatach, ale nie dowierając koledze wszedł za nim do mieszkania. Trzeci, który wszedł tą samą drogą był funkcjonariusz MO, który patrolując rejon stał się świadkiem włamania. Marek nie pozwolił się ująć wyskoczył przez okno w kuchni, uciekał ulicą nie reagując nawet na ostrzegawcze strzały milicjanta, który biegł za nim. Andrzej, zauważywszy wchodzącego do mieszkania milicjanta ukrył się w mieszkaniu lekarza, podczas poscigu wyszedł przez balkon i spokojnie wrócił do domu. Już następnego dnia obydwaj zostali zatrzymani jako podejrzeni.

Marek G. przyznał się do popełnionych czynów, Jan N. również, podobnie jak Andrzej W. Jedynie Krzysztof B. nie przyznał się twierdząc, że są to jedynie pomowienia kolegów. Sąd okazał się bardzo surowy: Andrzeja W. skazano na 14 lat pozbawienia wolności, 400 tys. grzywny, Marka G. na 12 lat więzienia i 250 tys. grzywny, Krzysztofa B. na 12 lat pozbawienia wolności i 200 tys. grzywny. Janę N. na 9 lat pozbawienia wolności i 250 tys. grzywny. Wszyscy oskarżeni zostali skazani na 8 lat pozbawienia praw publicznych. (m)



PSYCHOZABAWA

1. Myślisz o świętach...
a) wypełnia cię radością (10),
b) jest ci obojętne (0),
c) napawa trwogą ze względu na konieczne przygotowania (5).

2. Święta Bożego Narodzenia są...
a) świętami wyłącznie rodzinnymi (10),
b) świętami, które można spędzić ze znajomymi i przyjaciółmi (0),
c) świętami, w których mogą uczestniczyć osoby niespokrewnione, ale na przykład samotne (5).

3. Czy jesteś w stanie wymienić bez zastanowienia potrawę, jakie powinny pojawić się na wigilijnym stole?
a) tak (10),
b) jest już wreszcie nakryty (5),
c) raczej nie (0).

4. Do wigilijnego stołu zasiadasz gdy...
a) na niebie pojawi się pierwsza gwiazdka (10),
b) jest już wreszcie nakryty (5),
c) jak się zdarzy (0).

5. Czy niedostatki rynkowe zostawiają ślad na świątecznym stole w twoim domu?
a) tak, oczywiście (5),
b) nie, przecież to święta (0),
c) tak, ale jest ci to obojętne (0).

6. Czy przestrzegasz zasad postu?
a) nie (0),
b) tylko w Wigilię (5),
c) tak (10).

7. Czy wiesz, jakie jest pochodzenie święta Bożego Narodzenia?

Tradycja świąteczna i ty

a) tak, oczywiście (10),
b) mniej więcej (5),
c) raczej mgliście albo w ogóle (0).

8. Czy uważasz za uroczystość Bożego Narodzenia sprawę osób religijnych?
a) tak (0),
b) nie tylko (10),
c) raczej tak (5).

9. Czy w twoim domu choinka ze sztucznego tworzywa zastąpiła już drzewko z lasu?
a) nie i nigdy nie nastąpi (10),
b) nie ale myślisz o tym (5),
c) tak (0).

10. Czy jesteś zwolennikiem tradycji?
a) tak (10),
b) nie, każdemu (5),
c) nie (0).

65-100 pkt., święta to dla ciebie ważny moment w roku. I to z wielu powodów. Ważne są i twoje przekonania i przywiązanie do tradycji. Cenisz sobie wartości, które zostały sprawdzone przez czas i poprzednie pokolenia. Tak też chciałbyś wychowywać swoje dzieci, wnuki... Razi cię jeśli ktoś

tego nie przestrzega albo odnosi się do tego w sposób nonszalancki.

40-60 pkt., lubisz święta i praktyczniej jest raczej jako okazję do serdecznych rozmów i spotkań z bliskimi ci ludźmi. Tobie również trudno byłoby zrezygnować z tego obyczaju.

0-35 pkt., święta dla ciebie mogłyby prawdę powiedziawszy nie istnieć, choć jeśli już są, poddajesz się ich zwyczajom. Szkoda, gdyż mógłbyś i ty dostrzec w nich coś milego dla siebie.



niecznych. W trzecim kwartale będzie kilka dobrych szans. Mogą zająć pewne zmiany w kręgu zawodowym, które cię uciechają. W sprawach serca — pełna harmonia.



■ KOZIORÓŻEC (22 XII — 20 I) Wkraczasz w dobry rok. Możesz oczekiwać powodzenia zarówno w sprawach zawodowych jak i serca. Dojdzie też do zawarcia znajomości, która nie będzie obojętna dla twojej przyszłości. Twoje finanse dotychczas sprawiały ci kłopot, teraz powinno być lepiej.

■ WODNIK (21 I — 18 II) Na pierwszy plan wysuną się w tym roku sprawy osobiste. Podejmiesz jakąś od dawna odkładaną decyzję, załatwisz kilka „życiowych” spraw. W pracy zawodowej — duża aktywność, nowe propozycje współpracy. Twoja życzliwość i starania podejmowane dla przyjaciół przyniosą satysfakcję. W finansach nie najgorzej.



■ RYBY (19 II — 20 III) Niezły rok pod względem finansowym. W sprawach osobistych idylla i harmonia. Będziesz pełen satysfakcji, twoje zdanie będzie się liczyć. W pracy powodzenie i dobra atmosfera (choć mogą się znaleźć zaradcy, którzy zechcą intrygować). Czeka cię jakaś nowa, interesująca propozycja. Przygotuj się bardzo pilnie i mądrze. To może być życiowa szansa!

■ SKORPION (23 X — 22 XI) Będzie to rok bardzo dla ciebie ważny, pełen nowych prac, znajomości, obowiązków i nowych sympatii. Twoje ambicje zawodowe pchną cię do ryzykownych poczynań, musisz wykazać więcej odwagi. W sprawach osobistych możesz liczyć na życzliwość, ciepło i zrozumienie. Musisz jednak i sam okazać więcej serca.

■ STRZELEC (23 XI — 21 XII) Przyprzyj energii i chęci działania. Będziesz zbierać pochwały i słowa uznania. W połowie roku czeka cię trochę nieprzewidywalnych wydatków, chyba jednak ko-

WROŻBY SPÓD MIEDZIAKA

Co nas czeka w nowym roku 1987? Pełną odpowiedź otrzymamy w... grudniu przyszedł roku, ale dla tych bardziej niecierpliwych mamy najświeższe wiadomości z „wyższych sfer niebieskich”. Co więc wroży nam gwiazdy? Postuchajmy z przyszywanym oka...

■ BARAN (21 III — 18 IV). Doskonale! Dobra passa zawodowa czeka cię już od początku roku. Pojawi się niejedna szansa warta wykorzystania. Wiele też będzie spotkań z ludźmi których erudycja i urok wprawia cię w zachwyt i będą miały wpływ na twoje plany życiowe. Materialny luz. W sentymentach — też nie najgorzej.

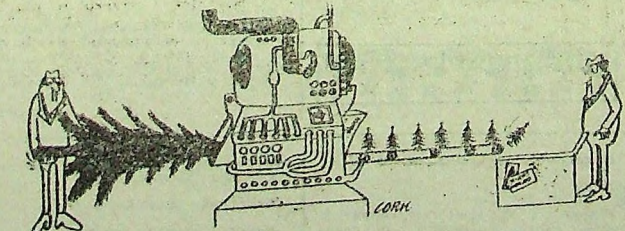
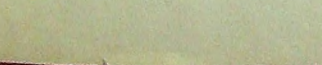


■ BYK (19 IV — 20 V). Ożywia się twoje kontakty z ludźmi, zmienia nieco zainteresowania, jak też grono przyjaciół. Będzie to miało dobry wpływ na twoje dalsze losy. W połowie roku spotkanie z osobą, która przykuje twoją uwagę na dłużej. Szczególnie korzystnie zapowiada się trzeci kwartał. Finansowo — zupełnie dobrze.

■ BLIŹNIĘTA (21 V — 22 VI) Duży ruch wokół twojej osoby. Możesz się liczyć z pewnymi zmianami tak w sprawach zawodowych jak i osobistych. Dużo spraw będziesz musiał przemyśleć, wiele decyzji podjąć. Będą to jednak wszystkie zmiany korzystne. Odczuwalna poprawa sytuacji materialnej.



■ RAK (23 VI — 22 VII) Dynamiczny rozwój wydarzeń i to na wszystkich frontach. Będziesz też miał okazję zrealizować swój wymarzony plan. U boku czarującej indywidualności zapomnisz o problemach dnia codziennego. Końcówka roku będzie pomyślna i rozrywkowa. Finansowo — w normie.



GŁOCH Z KAPUSTA

18 WYDANIE „QUO VADIS”

Tym co łączy Czechosłowaków i Polaków jest m.in. uwielbienie dla prozy Sienkiewicza. W ciągu minionego 30-lecia powieści naszego wielkiego rodaka wydawano w Czechosłowacji w 100-tysięcznych nakładach. Ogromnego popytu czytelników nie zaspokoiła nawet 11-tomowa edycja jego dzieł. Ostatnio, dla uczczenia 70 rocznicy śmierci Henryka Sienkiewicza wydawnictwo „Odeon” wznowiło powieść „Ogniem i mieczem” a wydawnictwo „Wyszehrad” z tej samej okazji dostarczyło osiemnaste z kolei wydanie „Quo vadis”.

USTERKA
Zamiast na lotnisku, na dachu Chevroleta wyładował w pobliżu Flint (USA) sportowy samolot. Usterka motoru zmusiła pilota do lądowania „na bardzo ruchliwej autostradzie”. Chevrolet został tylko lekko uszkodzony natomiast siedząca w nim pasażerka zemdliała z wrażeń...

UCZUCIOWI
Wyrzuty sumienia dręczyły dwóch włamywaczy, którzy obrabowali mieszkanie pewnego emeryta w Salzburgu i przed ucieczką z łupem związali swoją ofiarę. Zatelefonowali więc na posterunek policji i poprosili, aby policjanci udali się na miejsce rabunku i uwolnili obrabowanego emeryta z więzów.

NAJSTARSZE
W rezerwacie przyrody w Kambodży w Indiach rośnie drzewo tekowe, które ma 42 m wysokości i 840 m w obwodzie. Wiek drzewa szacuje się na 600 lat. Naukowcy, którzy bez przerwy obserwują olbrzyma, oceniają ten niezwykły egzemplarz drzewa, którego wciąż rośnie, jako najstarszy tego gatunku okaz w Azji.

ILE CZASU MÓWIMY
Na to pytanie postanowili odpowiedzieć specjaliści amerykańscy. Badania wykazały, że człowiek mówi przeciętnie przez 30 minut w ciągu dnia. W ten sposób w ciągu całego życia zużywa na mówienie około 2 lat. Gdyby spisać wszystko, co mówimy przez całe życie, powstałoby dzieło złożone z 1000 tomów, każdy po 400 stron. Uczeń nie wyjaśnił jednak, co z tego wszystkiego wynika, czyli jakiemu celowi służyły ich badania...

POTĘGA ABSURDU
O potęgę reklamy świadczy eksperyment przeprowadzony w Norwegii. W gazetach ukazało się tam ogłoszenie następującej treści: „Lirium-3000 — cudowny środek amerykański, zapobiega łysieniu, lecz różne dolegliwości, zmniejsza zużycie benzyny w samochodzie o 15-20 proc.”. Mimo oczywistej absurdalności tego ogłoszenia, tysiące ludzi dzwoniło pod wskazany telefon, by kupić ten „cudowny środek”.

Na starszą panią wpada na ulicy długowłosy młodzieniec. Pani z irytacją: — Ty chuliganie! I dodaje: — Nie trać czasu na odpowiedź, jestem głucha.

— Poprozę pastę do butów.
— Do jakich?
— Numer trzydziści osiem.

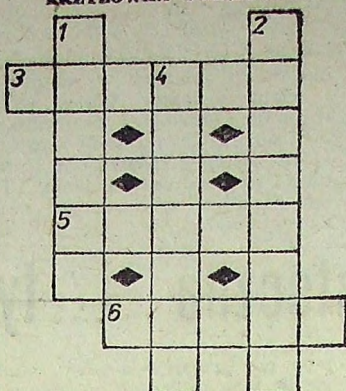
Szkot, McKenzie jedzie taksówką. Nagle przerażony kierowca woła: — Jesteśmy zgubieni! Przed nami przepaść a mnie zepsuły się hamulce! Pobladły McKenzie szepce: — Wyłącz pan przynajmniej licznik...

— Czy złapałaś kiedyś męża na flircie?
— Właśnie w ten sposób go złapałam...



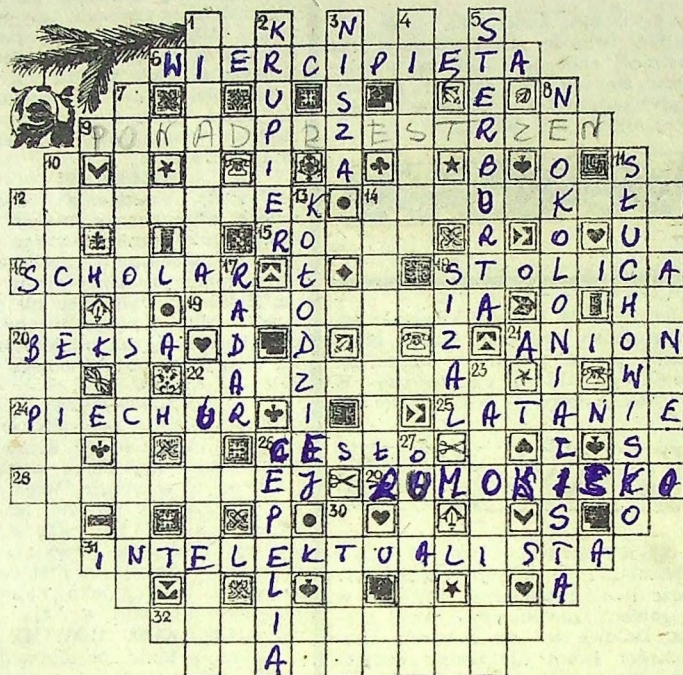
Nr 51 (146)

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA



Poziomo: 3) ozdoba choinki, 5) słodycze i owoce na świątecznym obiedzie, 6) świąteczna biesiada.
Pionowo: 1) śpiewana przy wigilijnym stole, 2) w niej świąteczna ryba, 4) wigilijne danie z uszkami.
„GANIMEDES”

KRZYŻÓWKA



W rozwiązaniu wystarczy podać litery w krzyżówce występują litery: C, L, R.

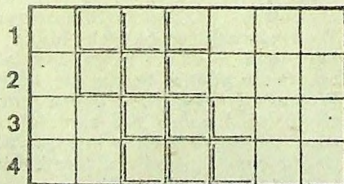
Poziomo: 6) nie usiadł w miejscu, 9) czwarty wymiar, 12) ptak z rodziny krukowatych, 14) wersalik, 15) welocyped, 16) średniowieczny student, 18) Warszawa, 19) nadudzie, 20) mazgaj, 21) jon o ładunku ujemnym, 23) wódka owocowa, 24) lubi chodzić, 25) fruwante, 26) tłuszcz kuchenny, 28) szczególnie uprawnienie, 29) szczątki budowli, 31) człowiek o dużej kulturze umysłowej, 32) forma przysposobienia kadr pedagogicznych na wyższych uczelniach.

Pionowo: 1) przepojone solami wapnia ciało skrobiowate powstałe w wyniku zwyrodnienia sterobianicy, 2) pracuje w kasynie gry, 3) zagłębienie w ścianie, 4) rodzaj wiązara, 5) prawa burta statku, 7) region nad Wisłokiem, 8) zwolennik współczesnego kolonializmu, 10) żyje na cudzy rachunek, 11) radiowy przekaz sztuki teatralnej, 12) zawód Piasta, 14) twórca opery „Hugonoci”, 17) urządzenie radiolokacyjne, 18) włókno z liści agawy, 22) rocznicowa uroczystość, 23) część fortyfikacji, 26) sprzedaje wyroby artystów ludowych, 27) dyktator indonezyjski, 30) lepsza satyna.
„VICTOR”

KALAMBUR KOŁOWY

Narzuta i kierownictwo. Wigilijna uroczystość.
„GANIMEDES”

LOGOGRYF



Litery z oznaczonych pól czytane kolejno rzędami poziomymi utworzą aktualne rozwiązanie.

- 1) zboże ozime,
- 2) uwodzieleń, kobieciarz,
- 3) głos podobny do gwizdu,
- 4) matacz, lawirant.

„Lo-rys”

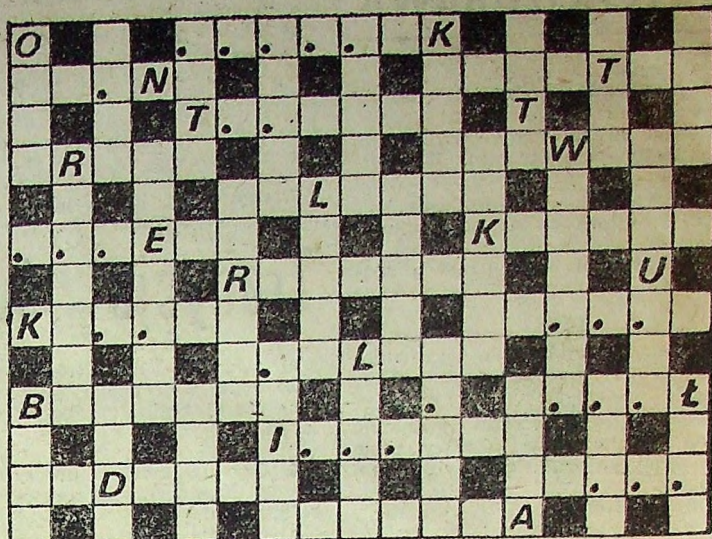


Rozwiązanie zadań z nr 49 (144)

Jolka

Poziomo: Maroko, zbór, miedziak, uszak, banal, panowanie, metodolog, karat, elki, stołek, izolacja.
Pionowo: grzyb, ametyst, norma, orzeł, stód, kurz, ośnik, apel, mamiaka.

JOLKA



Objasnienia wyrazów podane są w innym szyku niż ich kolejność wpisywania do diagramu. Ujawnione litery mają ułatwić rozwiązanie. Po



prawidłowym wpisaniu odgadniętych słów, litery z pol oznaczonych czytane kolejno rzędami poziomymi utworzą aktualne hasło, które należy nadać jako rozwiązanie jolki.

— zbiór dokumentów, — śmieszek, dowcipniś, — odprowadza wodę z dachu, — wymiana jednego na drugie, — elastko z pianą, pudełeczko na kosztowności, — połowa toru, — w karabinie i w drzwiach, — daje L-4, — choroba świń, — taśma na kokardę, — rzepka, — burda, zwada, — dawniej sygnał wzywający do broni, — aureola, — figlowanie, — głęboki

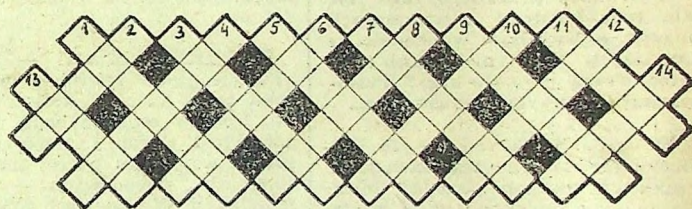
zał za wyrządzone zło, — nieporządek, — pieczętowanie o małym dziecku, — zagadnienie, problem, — skrzyżnia do przechowywania żywych ryb, — czarodziejska laska, — narzędzie dechowy stawonogów, — podhalanśki smerek, — dolna część kieliszka, — zachęta, podniecie, — z literą przy maszynie do pisania, — wyczeski lnu lub konopi, — myśliwy, — anatema, — polanie ptynem, — olimpijski ogień, — opinia, ocena, — rebela, — pusty frazes, — porośnięta trawa i kwiatami, — hotel plażowy, — bywa podwodna, — materiał opatrunkowy, — wprawia



szyby, — omasta, — naczynie krwionośne, — dawniej lud, pospólstwo, — zasłona, portiera, — miejsce wieprzowe na kotlety.

„ZBIGNIEW”

UKOŚNIK TAUTOGRAMOWY



Prawooskośnie: 1) najeźdźca, okupant, 3) zaliczka, 5) bufor, 7) Czarny Rycerz z Garbowa, 9) nierówność powierzchni w odlewach, 11) oddanie, zwrócenie, 13) nie buduj go na lodzie.

wynagrodzenie, 5) sprzedawczyk, od-szczepienie, 4) zator w żyłę, 10) zakrętas, 12) dzika bestia, 14) batalion Kedywu, powstał w 1943 r. z członków Szarych Szeregów.

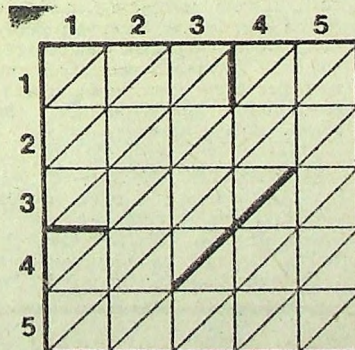
Lewoskośnie: 2) rezerwa, 4) zysk.

„ZBIGNIEW”

MAGICZNA KRZYŻÓWKA MOZAIKOWA

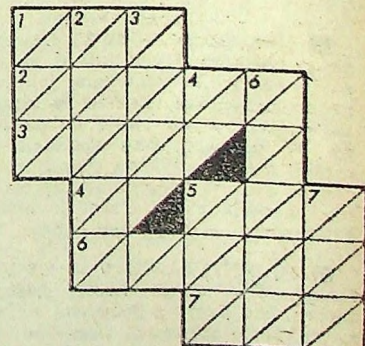


MAGICZNA KRZYŻÓWKA MOZAIKOWA



1. płat blachy x w kopercie, 2. mistrz sztuki kulinarnej, 3. pomadka x postać z „W pustyni i w puszczy”, 4. wykaz spis x 1891-1980, włoski polityk, laureat Leninowskiej Nagrody Pokoju, 5. wojskowa lub sportowa.

„Lo-rys”



1. zgilek, narmider, 2. niedotlenienie, 3. cena, 4. długa, cienka gałązka wierzbowa, 5. stos, 6. miasto w Anglii, siedziba arcybiskupa, 7. urządowy wykaz cen towarów.

„Lo-rys”



kaszmir, potrawa, kraska, schab, ita-ka, test.

Magiczna krzyżówka dwuliterowa

Aniwigilamina, tyrozyna, wazyła, Plisz, Tana, skroć, pirosen, namasz-czenie.

Algebrat: 58471, 53174-106948.